

John Updike

GERTRUDA I KLAUDIUSZ

tłum. Maciej Świerkocki

2001

Dia Marty

*De dezir mos cors no Fina
vas selha ren qu'ieespus am*

Słowo wstępne

Imiona, które nadałem bohaterom w części I pochodzą ze streszczenia pradawnej legendy o Hamlecie, zamieszczonej w łacińskojęzycznym dziele „Historia Danica” pióra Saxo Grammaticusa, pochodzącym z końca XII wieku, a opublikowanym po raz pierwszy w Paryżu w roku 1514. Odmiany tych imion, użyte w części II, zaczerpnąłem z piątego tomu „Histoires tragiques” Francois de Belleforest, swobodnej przeróbki dzieła Grammaticusa, wydanej drukiem w Paryżu w roku 1576 (w swoich „Sources of Hamlet” [1926] sir Israel Gollancz przedrukowuje wydanie z roku 1582), przełożonej zaś na język angielski w roku 1608, prawdopodobnie pod wpływem popularności, jaką cieszyła się już wówczas sztuka Szekspira. Imię „Corambis” (w przekładzie polskim tłumacz - dla wygody czytelnika - w nie wielkim stopniu modyfikuje wersję imion użytych w oryginale angielskim przez Updike’a, a zaczerpniętych z podanych źródeł. Stosuje na przykład formę „Korambis” zamiast „Corambis”, „Geruta” zamiast „Gerutha”, „Amlet” zamiast „Amleth”, „Roryk” zamiast „Rorik” itd. przyp. red.) występuje w pierwszym wydaniu dzieł Szekspira (First Quarto Version, 1603) i powraca echem jako Corambus w niemieckim „Der bestrafte Brudermord odour Prinz Hamlet aus Daennemark” (pierwodruk z roku 1781, wykonany na podstawie zaginionego rękopisu, datowanego na rok 1710), utworze znacznie skróconym i obniżającym rangę dzieła Szekspira, możliwe jednak, że odnoszącym się do tak zwanego „Pra-Hamleta”, dramatu pochodzącego z lat osiemdziesiątych XVI wieku, o którym można zasadnie przypuszczać, że wyszedł spod pióra Thomasa Kyda i został następnie zakupiony do przeróbki przez zespół Sług Lorda Szambelana, czyli trupę teatralną, do której należał Szekspir. W części III stosuję Szekspirowską wersję wszystkich wspomnianych wyżej imion własnych.

Część pierwsza

Król był wzburzony. Geruta, jego zaledwie szesnastoletnia i dopiero co zaokrąglona na ciele córka sprzeciwiała się poślubieniu mężczyzny, którego wybrał dla niej ojciec, Horwendila Juta, potężnego wojownika i pod każdym względem odpowiedniego dla księżniczki konkurenta, o ile w ogóle Jut był właściwym kandydatem do ręki zelandzkiej dziewczicy, urodzonej i wychowanej w królewskim zamku Elsynor.

- Nieposłuszeństwo władcy oznacza zdradę stanu - skarcił Roryk dziecko, którego policzki, nakrapiane dyskretnymi piegami, pałały różanym pąsem strapienia i sprzeciwu. - A kiedy winowajczynią jest jedyna księżniczka w królestwie, zbrodnia nabiera posmaku cudzołóstwa i staje się samobójcza - ciągnął dalej król.

- Niewątpliwie Horwendil pod każdym względem odpowiada tobie - odparła Geruta, podążając za głosem własnych instynktów, przypominających cienie, które królewskie spojrzenie ojca zapędzało w najdalsze zakamarki jej umysłu. - Mnie jednak wydał się za mało subtelny.

- Za mało subtelny! Horwendil posiadał dokładnie tyle mądrości wojownika, ile potrzeba każdemu prawowiernemu Duńczykowi! To on zgładził łupieżcę, nękającego nasze wybrzeża. Kolia, króla Norwegii: pochwycił oburącz swój długi miecz, odsłaniając pierś, ale nim Koli zdążył go pchnąć, Horwendil strzaskał tarczę wikinga i odrąbał mu stopę, przez co krew uszła z niego do ostatniej kropli. Leżąc na plaży, której piaski zamieniały się pod jego ciałem w błoto, Koll układał się z Horwendilem o warunki pogrzebu, a młody zabójca wyraził na nie zgodę w swojej łaskawości.

- Można by to uznać za ujmujący gest w dawnej, mrocznej epoce wielkich wyczynów i zdarzeń, o których prawią sagi, a zatem w czasach, kiedy ludzie, bogowie i siły natury stanowiły jedność - powiedziała Geruta.

Roryk nie zgodził się z córką.

- Horwendil żywi na wskroś nowoczesne poglądy... Jest godnym synem mojego bitewnego druha, Gerwindila, i okazał się nader zręcznym współnamiestnikiem Jutlandii, gdzie rządził wspólnie ze swoim bratem, Fengiem, który wywarł na mnie mniej korzystne wrażenie. Mógł bym właściwie rzec, że Horwendil sprawował swą funkcję samodzielnie, i tym bardziej wywiązywał się z niej znakomicie, Feng bowiem bawi ciągle w południowych krainach, walcząc po stronie świętego cesarza rzymskiego i każdego władcy, który zawierzył jego ramieniu i obrotnemu językowi. Wojuje i oddaje się rozpuście, jak powiadają. A lud go uwielbia. To znaczy Horwendila. Fenga nie darzą miłością.

- Cechy potrzebne, by zyskać miłość ludu, mogą krępować miłość w zaciszu domowym - odparła Geruta. Różany rumieniec na jej policzkach ustępował z wolna, jako że

chwila najgorętszego sporu między ojcem a córką już minęła. - Podczas naszych przelotnych kontaktów Horwendil traktował mnie z obojętną, pospolitą kurtuazją, jak ozdobę dworu, której wartość wynika jedynie z łączących mnie z tobą więzów krwi. Kiedy indziej przeszywał mnie wzrokiem na wylot, niby powietrze, dostrzegając je dynie wyczyny rywali, pragnących mu dorównać. Prawdziwy galant, zaiste. Wyprawił Kolla w zaświaty, złożywszy jego ciało i odpowiednią miarę złota na czarnej łodzi, którą pogrzebano w ziemi, a potem ruszył w pościg za siostrą zabitego króla, Selą, i zaszlachtował ją bez żadnej litości dla słabej płci niewieściej.

- Sela była wojowniczką i zbójczynią, dorównującą mężczyźnie. Dlatego zasłużyła, by umrzeć jak mężczyzna.

Słowa Roryka rozdrażniły Gerutę.

- Ciekawe...Czy skon kobiety mniej waży niż skon mężczyzny? Wydaje mi się, że śmierć jest dla obu płci tak wielka, jak być musi, niby czarny księżyc, który przesłania zupełnie słońce i życie, aż po ostatni dech, będący czasem westchnieniem nad zmarnowanymi szansami i utraconym szczęściem. To prawda, że Sela wiodła zbójceki żywot, lecz żadna kobieta nie chce, by traktować ją jak stółek albo łożę, którym można frymarczyć, a potem na nim zlec.

Na tę buntowniczą deklarację, spływającą z ust jego pięknej córki o zarumienionym obliczu, siwe, splątane, wydatne brwi Roryka uniosły się ku górze jednocześnie z górną wargą, z której bezwładnie zwisały długie wąsy. Warga króla opadła, gdy Roryk pod naciskiem obowiązującej go monarszej etykiety zdusił pobłażliwy, odruchowy śmiech, zmieniając go w ciche warknięcie. Upomniał się w duchu, że musi być surowy. Jego mięsiste, skrzywione usta dzieliły czerwoną szparą królewskie wąsy i nieczesaną, szpakowatą brodę.

- Drogie dziecko, od przedwczesnej śmierci twojej matki głównym przedmiotem moich trosk stało się twoje szczęście. Ale przyrzekłem cię już Horwendilowi, a jeśli król złamie słowo, to i jego królestwo pokryją rysy pęknięć. A Horwendil przez całe trzy lata wojowniczych wypraw, kiedy to zagrabił skarby Kolla, złupił pałac Seli i chyba ponad tuzin zamożnych portów w Szwecji i na Rusi, przesyłał mi, jako suwerenowi, należną część zdobyczy.

- Którą teraz w zamian mam się stać ja - zauważyła Geruta. Była zażywną, pogodną, skłoną do potliwości i roztropną dziewczyną. Jeśli jej urodę znaczyła jakaś skaza, była nią niewielka szczelina między przednimi zębami, które jak gdyby rozepchnął kiedyś zbyt szeroki uśmiech. Jej rozpuszczone - jak przystało na dziewicę - włosy miały czerwony kolor miedzi, rozcieńczony nieco cynową barwą słońca. Otaczało ją nieokreślone ciepło, jak by

aura widoczna wokół dziewczynki już od kołyski. Niańki Geruty uwielbiały tulić do piersi jej sprężyste ciało w lodowatych, usłanych słomą komnatach Ełsynoru. Zwoje brązowych bransolet, brosze umocowane w labiryncie splecionych wstążek i ciężki naszyjnik z cienkich, kutych w srebro łusek były świadectwem hojnej miłości ojcowskiej. Matka Geruty, Ona, umarła poza najdalszymi granicami pamięci księżniczki, kiedy ta liczyła sobie zaledwie trzy wiosny. Zapadła wtedy na tę samą malaryczną gorączkę, która zabrała jej matkę, oszczędziła jednak krzepkie dziecko. Ona odznaczała się smagłą karnacją, była, bowiem wenedzką branką. Ciemna oprawa twarzy i oczu o spuszczonej powiekach, melodyjny, śpiewny głos, nacechowany akcentem, który nawet mały berbecz rozpoznałby jako obcy, i dotyk delikatnych, ale chłodnych palców składały się na niemal cały matczyzny skarb w pamięci Geruty. To, co ojciec powiedział przed chwilą o Seli, sprawiło jej przyjemność, słowa króla potwierdzały, bowiem, że kobiety także potrafią wojować. Geruta również czuła w sobie waleczną krew - posiadała dumę i zuchwałość wojowniczkę. Dawniej, trzy albo cztery lata po śmierci matki, sądziła, że ona i dzieci, z którymi z braku rodzeństwa bawiła się na mocy swobodnych nordyckich zasad, panujących w Ełsynorze, należą do tego samego stanu, choć były to dzieci dworzan, czeladzi, dam dworu, a nawet pomocy kuchennych. Potem jednak, na długo zanim wiek dojrzewania obudził w niej pragnienie zespolenia; zrozumiała, że płynie w niej królewska krew ojca. Ponieważ nie miała brata, była pierwszą osobą w kolejności do tronu, prymat ten zaś miał jej wydrzeć mężczyzna, którego poślubi. A zatem w nierównym pojedynku woli Gerutę wspierała jednak część potęgi państwa.

- A jakiej to szczególnej przywary dopatrzyłaś się w Horwendilu? - zapytał ją ojciec.

- Żadnej... co zapewne samo w sobie jest już przywarą. Słyszałam, że żona powinna być dopełnieniem małżonka, ale Horwendil czuje się absolutnie spełniony bez małżeństwa.

- Żaden bezzenny mężczyzna nie może czuć się spełniony, choć się do tego nie przyznaje - rzekł ponuro Roryk, który sam pozostawał wszak w bezzennym stanie.

Czyżby chodziło o to, żeby ją zmiękczyć, aby tym łatwiej ugięła się pod jego rozkazem? Oboje wiedzieli, że Geruta ostatecznie ustąpi. Roryk był królem, substancją nieśmiertelną w swej istocie, jej zaś przypadła w udziale jedynie przemijająca nadobność, której nie sposób przeciwstawić historycznym imperatywom dynastii i sojuszków.

- Czy nie ma żadnej nadziei, by Horwendil mógł cię zadowolić? - błagał Roryk. - Czy naprawdę tak dokładnie już wiesz, jaki powinien być twój przyszły małżonek? Wierzaj mi, Geruto, w brutalnym męskim świecie Horwendil jest kimś więcej niż tylko okazem dorodnego mężczyzny, albowiem wypełnia swoje obowiązki i dotrzymuje przysięg. W twoich żyłach płynie królewska krew, dlatego wybrałem dla ciebie mężczyznę zdatnego na króla. -

Roryk zniżył głos o przebiegłej, politycznej skali, rozciągającej się między błaganem a groźbą, i przybrał ton nieodpartej łagodności. - Moja kochana córko, miłość dla kobiety i mężczyzny jest stanem tak naturalnym, że jeśli oboje są zdrowi i wnoszą w małżeństwo mniej więcej równe wiano, afekt pojawia się nieuchronnie jako następstwo rezydowania pod jednym dachem i pędzonego wspólnie życia małżeńskiego. Wy zaś oboje jesteście wspaniałymi przykładami nordyckiej tężyzny: można by rzec, blond bestie, potężni niczym kamienie runowe na wyżynnych pastwiskach. Wasi synowie będą olbrzymami. I będą zwyciężać olbrzymów.

Twoja matka żyła zbyt krótko, byś mogła ją dobrze poznać, ale ty swą jaśniejącą dorodnością dajesz świadectwo naszej miłości - ciągnął dalej Roryk, jak gdyby snuł opowieść, mogącą wspomóc prośby. - Wywalczyłaś sobie istnienie, przepychając się przez oporny, wąski kanał rodny matki. A prawdę rzekłszy, ona i ja wystarczaliśmy sobie i wcale nie błagaliśmy niebios, by obdarzyły nas dzieckiem. Ona była wenedzką księżniczką, o czym nieraz ci mówiłem, a sprowadził ją do Danii mój ojciec, wielki Hoter, po morderczym najeździe, jakiego dokonał na południowe krainy. Jednak nie powiedziałem ci dotąd, że twoja matka nienawidziła mnie, syna zabójcy jej ojca, nienawidziła mnie aż do świętej ceremonii ślubnej, a na wet i potem. Miała ciemne włosy i białą cerę. Przez sześć miesięcy broniła się paznokciami i zębami ze wszystkich sił swoich szczupłych członków, gdy próbowałem ją pojąć. Kiedy w końcu mi się to udało, wykorzystując okoliczność, że Ona była osłabiona po chorobie, próbowała zakończyć swoje życie sztychem sztyletu, tak bardzo brzydziła się sobą, ponieważ uległa i została zbrukana, zbrukana u pierwotnych źródeł życia. Jednak po dalszych sześciu miesiącach nieustającej łagodności z mej strony, jak również wskutek niezliczonych drobnych uprzejmości i hołdów, które kochający mąż świadczy ukochanej żonie, zbudziła się w niej miłość. Dawna wrogość przetrwała w jej namiętności niczym szczególny żar, stając się szaleństwem, którego nie umiała zaspokoić. Raz po raz śpieszyliśmy ku sobie, jak gdyby w zespoleniu naszych ciał, ciemności i blasku, córki Wenedów i Duńczyka, można było znaleźć rozwiązanie tajemnicy świata. Więc skoro z tak mało obiecującego zarania zrodziło się tak wielkie przywiązanie, jak może nie udać się twój związek z czcigodnym, pięknym i bohaterskim Horwendilem? On jest prawie twoim kuzynem, łączą was, bowiem więzy sojuszu, zawartego przez waszych ojców.

Dłoń Roryka, dłoń starca, żyłasta, plamista i tak lekka, jak gdyby była pusta, uniosła się na fali jego uporczywej, szeptanej elokwencji i niczym drewno, niesione wodną pianą, spoczęła na ręce córki.

- Zaufaj mojej decyzji, mała Geruto - przekonywał dalej król. - I poświęć się temu małżeństwu całą sobą. Wierzę głęboko, że życie niektórych ludzi obciążone jest czarem... Od twoich krwawych narodzin, które nadważyły siły Ony, aż do końca jej krótkiego życia, zdawałaś się posiadać w nadmiarze ów tajemniczy element, niosący szczęście innym. Nazwij go światłem słonecznym, zmysłem lub słodką prostotą. Więc oczarujesz i męża, tak jak od dzieciństwa urzekałaś mnie. Nie może być inaczej.

Gerucie przyszło do głowy, że trudno jest rozmyślać o jednym mężczyźnie w obecności drugiego. Horwendil, uchodzący za niezwykle urodziwego rycerza, ze swoją szeroką, bladą jak świeca twarzą, długimi, lodowato niebieskimi oczami, przypominającymi małe rybki, kędzierzawymi płowymi włosami, krótkim, prostym nosem i wąskimi, jakby zasznurowanymi ustami, wydawał jej się maleńki w myślach, choć dzieliła ją od niego niezbyt odległa przyszłość. Roryk natomiast był tu, dotykał dłonią jej dłoń, jego znajoma, ukochana twarz znajdowała się najwyżej o łokieć od jej twarzy, w zmarszczce powyżej nozdrza dużego, haczykowatego nosa króla gnieździła się przezroczysta kurzajka, a z wszystkich zmarszczek ojcowskiego oblicza biło władcze znużenie i garbarski zapach. Roryk miał grubą skórę, ogorzałą od soli i słońca młodzieńczych wypraw morskich, wiodących za oszroniony Bałtyk i dalej, w górę wielkich, odludnych rzek na Rusi. Szaty króla - nie aksamitny strój, obsyty gronostajem, który Roryk przywdziewał na uroczystości państwowe, lecz odzienie z grubej, surowej wełny, jakie nosił w rodzinnych komnatach - wydzielały lekki, tajemny, tłustawy zapach mokrych od deszczu owiec. Znajomy, grzmiący głos Roryka, powtarzający znane na pamięć słowa czułości, wprawiał Gerutę w drzenie do szpiku kości. Poczula ucisk drugiej ręki ojca, którą położył na jej głowie w geście błogosławieństwa. Jak gdyby ktoś szturchnął ją w plecy, Geruta opadła nagle na posadzkę przyklękając przed królem w dziecięcym przyływie uczucia miłości do ojca.

Roryk natomiast, który pochylił się, by pocałować równiutki przedziałek w jej włosach, odsłaniający białą niczym szkielet skórę pośrodku głowy, poczuł na twarzy łaskotanie jakby maleńkich płatków śniegu. Kilka pojedynczych, nieposłusznych włosków, zbyt cienkich, by można je zobaczyć, zbuntowało się przeciw wyszczotkowanemu ładowi Gerutowej fryzury, podtrzymywanej wysadzaniem klejnotami diademem, przypominającym filigranową odmianę jego ciężkiej, ośmiobocznej korony, wieńczącej mu skronie podczas tych samych uroczystości państwowych, które wymagały od niego przywdziania ciasnych, nieledwie unieruchamiających go - aksamitnogronostajowych szat. Odsunął twarz od łaskotliwych, rozwichrzonych włosów córki z drgnieniem winy, ponieważ Geruta przyjęła

wobec niego pozę przesadnie niewolniczą, pozę jeńca, którego odurzono zieleciem ciemiernika, by złożyć go po chwili na ofiarę.

Lecz małżeństwo z Horwendilem, dzięki któremu Geruta uzyskaby pewną pozycję królowej, nie miało przecież nic wspólnego z niewolnictwem. Kto może wiedzieć, czego chcą kobiety? Było i w Onie coś, czego Roryk nie umiał nigdy osiągnąć, wyjąwszy chwilę zespolenia ich ciał, znajdujących ulgę w bezmyślnym rytmie pchnięć i kontrpchnięć, w którym jej miednica uczestniczyła równie aktywnie, jak biodra króla - jakaś namiętność ofiarna, trawiona niby ogniem w tym akcie, bądź co bądź, zniewolenia. Potem jednak, już po chwili, kiedy ich pot wsiąkał jeszcze w pościel, a oddech powracał do piersi kochanków na podobieństwo dwóch powracających do gniazd jaskółek, Ona zaczynała się od niego oddalać. Choć może to jednak on się od niej oddalał, dokonał, bowiem aktu przemocy i dzięki temu było mu lżej na duszy? Roryk i Ona zachowywali się jak para spiskujących w ciemnościach rzezimieszków, którzy przeprowadziwszy jakąś sekretną transakcję, potem rozstają się, szybko i bezceremonialnie, rozdzieleni wzajemną nienawiścią. Nie, mimo wszystko nie była te nienawiść, ponieważ odbita fala odprężenia kazała leżeć im przez chwilę przy sobie, pod haftowanym baldachimem, za lnianymi, podwójnej grubości zasłonami, by nie prześwitywały przez nie ich zmagające się cienie w wysokiej kamiennej komnacie, nawiedzanej przez zimne przeciągi i grubiańską służbę... Spocone ciała małżonków schły, oni zaś rozpoczynali senną, niezdatną rozmowę, choć pod powiekami Roryka utrzymywała się wizja nagiej piękności, majaczącej nad nim, pod nim, obok niego albo w pozycji, w której bujne, nieokiełznane, czarne włosy pomiędzy rozchylonymi, białymi udami Ony łaskotały go w usta. Niejeden raz rozprawiali o dorastającej córce, promiennym owocu któregoś z takich właśnie z miłosnych zespoleń. Mówili, że Geruta stopniowo nabiera umiejętności chodzenia i mowy i że przestaje przekręcać różne słowa oraz ich, ukochane przez rodziców, sepleniące zbitki, przyswajając sobie poprawniejszy, doroślejszy język i zwyczaje.

Geruta pozostała głównym, a nawet przytłaczającym jedynym tematem ich zachwyty, ponieważ nie pojawili się po niej bracia ani siostry, jak gdyby w łonie Ony zatrzasnęły się drzwi. Trzy lata później królowa, małżonka Roryka, umarła, unosząc w ciszę nocne okrzyki wyzwolenia z chutliwej niewoli, narzuconej ludziom przez dziwny grzech Ewy, oraz miękkie wenedzkie zgłoski, których zniekształcone, nieakcentowane brzmienie w gardłowej duńszczyźnie cieszyło króla tak samo, jak pomyłki językowe córki. Przypomniawszy sobie, że końce palców Ony bywały czasem chłodne, choć nawet kredowobiała skóra przedziałka we włosach Geruty miała ciepły smak. Bez względu na to, jak ciężki los czeka jego dziecko w życiu na tym świecie, zostało zrodzone z miłości.

Roryk przyjmował Gerutę w niewielkiej, wykuszowej komnacie o podłodze i ścianach wyłożonych drewnem, a zbudowanej niedawno obok królewskiej sypialni, zamek w Elsynchronie poddawano, bowiem ciągłym przebudowom. Plamy czerwonego popołudniowego słońca spoczywały na szerokich deskach jedliny, jak gdyby usprawiedliwiając nazwę „słonecznych alkierzy”, nadaną położonym na piętrze komnatom, przeznaczonym na część mieszkalną zamku - Płytki kominek, zgodnie z najnowszą modą, osłaniał szeroki okap z wapienia. Wytworny flamandzki arras, obsyty brokatem, przydawał łagodności kamiennej ścianie, przeciwległej do trójłukowego okna o dwóch poprzeczkach, wychodzącego na ponurą, burzliwą, szarzieloną cieśninę Sund, dzielącą Zelandię od Skanii. Skania, którą pragnęli zająć Szwedzi, podlegała władzy duńskiej - na wschodzie leżały Halland i Blekinge, na zachodzie Jutlandia i Fyn, na południu zaś wyspy Lolland, Falster i Men. Utrzymanie w jedności takiego królestwa, rozrzuconego i poszarpanego jak kawałki porcelany z rozbitego o podłogę naczynia, wymagało od kolejnych władców Danii wszystkich ich sił i całej przebiegłości - dlatego królów obierali prowincjonalni wielmoże, a od nastania chrześcijaństwa także wyżsi dostojnicy kościelni. Prawa dziedziczości krwi królewskiej rozrzedzała w Danii prastara, demokratyczna instytucja, „thing”, będąca zgromadzeniem wolnych obywateli, które stanowiło sądy i zarządzało społecznościami lokalnymi oraz prowincjami. Wyboru króla dokonywały cztery takie prowincjonalne thingi, obradujące na czas elekcji w Viborgu. Tradycja otaczała mieszkańców zamku równie nieubłaganie, jak jego liczne mury, przybudówka stolpy, barbakan, wartownie, blanki, wieżyczki, baraki koszarowe, kuchnie, klatki schodowe, latryny i kaplica.

Kiedy Geruta była jeszcze dzieckiem, kaplica wydawała jej się zatraconym, zagubionym miejscem, do którego mogła dotrzeć tylko w jeden sposób - w trzewikach, w których marzły jej stopy, pokonywała najpierw długą, wielką salę, potem galerię i kilkanaście stopni małych, stromych schodków. Za kaplicę służyła nieogrzewana wysoka sala, pachnąca drażniącym nozdrza dziewczynki ostrym kadzidłem, zimną wilgocią nieużywanego po mieszczenia i niemytymi, świętobliwymi ciałami odzianych w sutanny ludzi, którzy szurali nogami podczas mszy, unosząc krągły, blady opłatek ku kolistemu, krytemu mlecznym szkłem oknu, umieszczonemu wysoko nad ołtarzem. Może dlatego, słysząc rozbrzmiewające wokół niezrozumiałe łacińskie pienia, mała Geruta myślała, że eucharystia to posiłek dla niebios. Bała się kaplicy, jak gdyby jej młode ciało było grzechem, który zostanie pewnego dnia pomszczony, przesyty ostrzem od dołu choćby i w chwili, gdy będzie pić drażniące gardło wino, kaustyczną krew Chrystusa, wypełniającą wysadzany klejnotami kielich. Chłód,

łacina i stęchlizna powodowały, że Geruta czuła się w kaplicy jak podsądna, co studziło jej naturalne ciepło.

Horwendil zjechał w konkury z Jutlandii. W uznaniu zasług, jakie oddali koronie, Roryk darował Horwendilowi i jego bratu sąsiadujące lenna, położone o dwie godziny drogi w głąb łądu. Dobra Fenga były mniejsze, bo pracowało na nich zaledwie dziewięćdziesięciu niewolników, choć bracia dzielili ryzyko i trudy wypraw u wybrzeży Norwegii i Szwecji po równo. Feng był młodszy od Horwendila o zaledwie osiemnaście miesięcy, niższy o cal lub dwa, miał ciemniejszą karnację i był szczuplejszy. Rzadko bawił w Elsynchron, większość czasu spędzając na ziemiach niemieckich, gdzie, jak powiadano, walczył i szpiegował dla cesarza, choć szpiegostwo Fenga zwało się inaczej dyplomacją. Brat Horwendila obdarzony był zdolnością do języków i służył też królowi Francji. Należąca do tego kraju prowincja Normandii stanowiła niegdyś posiadłość duńską, lecz było to dawno, w heroicznych czasach, poprzedzających panowanie króla Gorma, gdy niemal każdy Duńczyk wiódł żywot awanturnika. Później najmięcki miecz Fenga zawiódł go jeszcze dalej na południe, za francuskie góry, na suche, gorące i jałowe ziemie, zajęte przez pogan, walczących krzywymi szablami z grzbietów długonogich, rącznych jak ptaki rumaków.

Feng nie ożenił się, choć tak jak Horwendil dobiegał trzydziestu lat życia. Geruta pomyślała, że los młodszych braci w rodzinie przypomina los córek, ponieważ młodszego rodzeństwa oraz dziewcząt nikt nie traktuje poważnie, choć wydaje im się, że na to zasługują. Dlaczego Feng nie ożenił się dotąd, skoro w jego ciemnych oczach i baczym spojrzeniu widać było tęsknotę? Kilka lat temu, zaraz po przyjeździe do Zelandii, gdzie przybył wraz z Horwendilem, by przyjąć wyrazy wdzięczności od jej ojca, Gerucie zdawało się, że wzrok Fenga spoczywał na niej z więcej niż przelotnym zainteresowaniem, jakie dorosły okazuje wesołemu dziecku. Trudno było jej jednak rozmyślać o jednym mężczyźnie, gdy napierał na nią drugi, czyli górujący nad otoczeniem Horwendil, przyodziany w płaszcz koloru burgunda oraz kolczugę, której drobne ogniwa lśniły niby zmarszczki na wodzie w księżycową noc. Horwendil przywiózł Gerucie podarek - dwie pstrokate makolągwy w klatce z łożyny. Samiec był czarny w białe łaty, a pospolitszą i bledszą samiczkę kryły ciemne cętki. Kiedy ptaki milkły, Horwendil potrząsał klatką, a wtedy, przerażone, podejmowały znów pieśń, przypominającą świergotliwą kaskadę, która kończyła się zawsze ostrym wzniesieniem tonacji, niby człowiecze pytanie.

- Bliski jest już dzień, kiedy i ty, Geruto, zaśpiewasz o szczęściu we dwoje - zapowiedział obiecująco Horwendil.

- Nie jestem pewna, czy one śpiewają o szczęściu. Być może skarżą się głośno na swoją niewolę. Ptaki mogą podlegać różnym nastrojom, podobnie jak ludzie, lecz mają tylko jedną, niezmienną melodię, żeby je wyrazić.

- A w jakim ty jesteś nastroju, moja śliczna? Jakoś nie słyszę, żebyś szczebiotała o naszych zrękowinach, które twój ojciec ogłosił, a mój pobłogosławił już zza grobu. Naszemu małżeństwu przyklaskuje zresztą każdy Duńczyk, pragnący ujrzeć swój naród umocniony związkiem walecznej krwi z płodną urodą; w tym związku drugi element osłania potęgą pierwszego. - Horwendil wygłaszał te wyuczone frazesy silnym, lecz łagodnym głosem, jak gdyby badawczo, choć w jego podłużnych oczach, których tęczy były tak blade, że wydawały się raczej tworem mineralnym niż organicznym, pojawiły się złośliwe błyski.

- Mniemam, że owa przenośnia odnosi się do ciebie oraz do mnie - odrzekła ostro Geruta. - Bacz jednak, panie, że cieszę się już opieką potęgi ojca, a ponadto sądzę, że to, co pochlebnie nazywasz moją urodą, mogłoby jeszcze dojrzeć ku pożytkowi mojemu i mego przyszłego małżonka, jeżeli nie zostanie skonsumowane zbyt szybko. - Księżniczka urwała na moment, ale ciągnęła dalej, cze piąc odwagę z zarozumiałej pewnością Horwendila, że z nich dwojga jedynie on posiadał cnotę dzielności ducha. - Nie dostrzegam w tobie żadnych wad. Jesteś pod każdym względem wzorem wojownika. Zgładziłeś nieszczęsnego Kolla z zachowaniem wszelkich należnych mu pogańskich uprzejmości i podobnie postąpiłeś później w stosunku do nieszczęsnej Seli, która wszak była kobietą. Jesteś ponadto wybornym łupieżcą. Wodzisz hałastrę rabusiów na radosne rzezie, podczas których wycinacie słabo uzbrojonych rybaków i nagich w ubóstwie mnichów, zbrojnych jedynie w modlitwę. Powiadam, więc, iż nie dostrzegam w twej bohaterskiej osobie żadnych przywar, widzę jednak, że traktujesz mnie z wysoka; z powodu dawnej zażyłości naszych ojców wyczuwam w twoim stosunku do mnie niejaką interesowność i zimne wyrachowanie. Zaledwie wczoraj byłam dziewczęciem, panie, dla tego rumienię się, przedstawiając ci moje dziewczęce wciąż niepokoje.

Jak kiedyś śmiał się z jej zuchwałości Roryk, tak teraz Horwendil musiał się roześmiać na te słowa - a był to śmiech pewny siebie i już władczy, odsłaniający rząd ostrych, równych zębów. Prostacki zachwyty Horwendila nad jej urodą przyspieszył puls Geruty, jak gdyby uprzedzając chwilę, gdy wątpliwości księżniczki zostaną obrócone wniwecz, a ona będzie należeć całkowicie do niego. Czy to jest właśnie owa poddańcza rozkosz, której zaznały już i którą zrozumiały jej niańki i służące? Samozadowolenie uległej ofiary - kobieta wciśnięta w siennik i polewana tłuszczem niby nadziany na rożen kurczak, rozpięty między ogniem kuchni i sypialni. Jako dojrzewająca dziewczica Geruta często nastawiała uszu na ton

ohydnej, apatycznej uciechy, z którą zameżne kobiety wysokiego i niskiego stanu mówiły o nieobecny, lecz wszechobecnym mężczyźnie, o „nim”, którego potężny korpus oddzielał ich ciała od całej reszty świata. Te kobiety zmiękły i stały się rozlazłe, ponieważ ich podbrzusza były przedmiotem miłości.

- Za bardzo oponujesz - powiedział Horwendil.

Zabrzmiało to jak sygnał jego późniejszego zwycięstwa i otoczyło ją niby uścisk ramion. Zadrzała w objęciach arogancji tego potężnego mężczyzny. Żywił dla niej namiętność, która nie płonęła wprawdzie żarem najgorętszym z możliwych, lecz której było dla Geruty dość - okazał się na tyle potężniejszy od księżniczki, że byle ułamek jego woli rozwiewał w nicość jej wewnętrzną siłę.

Tymczasem Horwendil umęczył się, stojąc w wielkiej sali, gdzie go przyjęła dziewczyna, przysiadł, więc jednym pośladkiem na drewnianym stole, oczekującym na przyjęcie obrusów, którymi miano go nakryć do kolacji.

- Nie jesteś już młódką - oświadczył. - Twoje ciało jest mocne i może służyć naturze. A i ja nie powinienem dłużej zwlekać. W dzień moich najbliższych urodzin ukończę trzydziesty rok życia. Pora już, bym w dowód łaski bożej pokazał światu dziedzica. Słodka Geruto, co jest we mnie takiego, że budzę w tobie niechęć? Przypominasz mi tę klatkę, w której trzepoce się w pełni upierzona, gotowa do założenia rodziny samica. Nie chcę być nieskromny, ale powiadam ci, że często bywam obiektem podziwu i zachwyków, a moje wejrzenie ponoć jest szlachetne. Szczery człowiek ze mnie, choć twardy dla ludzi, którzy mi się sprzeciwiają, łagodny jednak dla tych, którzy wypełniają przysięgi lennej wierności. Wszyscy wokół pragną naszego związku, a pragnienie to nigdzie nie przejawia się tak silnie, jak w moim sercu. - Rozległ się chrzęst drobnych ogniwi kolczugi, które załśniły, gdy Horwendil demonstracyjnie położył na piersi swą szeroką dłoń, pokrytą odciskami od rękojeści miecza.

Lud opowiadał, że namiestnik Jutlandii wystawił śmiało rozłożysty tors na ostry miecz króla Kolla, okrutny wiking nie wykorzystał jednak sposobności, albowiem z powodu podeszłego już wieku opóźnił cios o jedną, śmiertelną dlań w skutkach sekundę. Teraz Horwendil odsłaniał pierś raz jeszcze - i Geruta odczuła coś w rodzaju litości dla tego zalotnika, przeświadczonego bezbronię, ponieważ dogłębnie, o własnych przymiotach.

- Och, gdybym mogła odczuć to pragnienie i usłyszeć przysięgi, które składa twe serce! - rzuciła impulsywnie księżniczka, jak gdyby naprawdę chciała wyrwać się z klatki. - Lecz ty wydajesz się odwiedzać mnie z wyrachowania, bo raczej skutek względów politycznych ogólniejszej natury niżli z własnej chęci.

Horwendil zdjął misiurkę. Jasne jak strużyny topolowego drewna włosy rycerza opadły olśniewającą chmurą na osłonięte kolczugą ramiona. Geruta postąpiła o krok w jego stronę, a Horwendil pochylił się ku niej, jak gdyby zamierzał powstać ze stołu, gdzie przysiadł jak na grzędzie.

- Wybacz mi - powiedziała Geruta. - Jestem krnąbrna. Brakuje mi oglądy. Moja matka umarła, kiedy miałam trzy lata, a wychowywały mnie służące i kobiety, którymi ojciec otaczał się z innych powodów aniżeli po to, by zajmowały się jego samotną córką. Okrutnie doświadczyłam braku matki. Zapewne sprzeciwiam się więc po prostu bezdusznej naturze... jeśli rzeczywiście się sprzeciwiam.

- Jak można nie sprzeciwiać się naturze? - odrzekł na to Horwendil, i teraz on z kolei uległ popędliwości. - Zostaliśmy tu wszak zesłani z siedliska aniołów, by żyć wśród dzikich zwierząt i plugastwa, skazani na śmierć w nędzy jej świadomości!

Wyprostował się i stanął tuż przed nią. Przewyższał księżniczkę o głowę, pierś miał szerszą niż hafciarskie krosna, a blada, połyskliwa szczecina na jego twarzy zdradzała, że rycerz ma za sobą pośpieszny, niespokojny poranek i wcześniej dosiadł konia, by ruszyć w dwugodzinną drogę do Elsynoru i prosić o rękę księżniczki. Jednocześnie była w Horwendilu, wzorcu nordyckiej urody, nieokreślona, rozłożysta miękkość, objawiająca się najbardziej niekorzystnie w postaci drugiego podbródka, zarysowującego się poniżej szczęki, i Geruta zaczęła się zastanawiać, czy kiedy zostaną małżeństwem, zdoła przekonać Horwendila, żeby zapuścił brodę, jaką nosi jej ojciec.

Gerucie spodobała się nieoczekiwana serdeczność jego słów, lecz jednocześnie zaniepokoiło ją coś w ich znaczeniu, gwałtowność wypowiedzi Horwendila ujawniła, bowiem ukryte dotąd za maską stoickiego wojownika lekceważenie i pogardę dla zaświatów, niby kroplę goryczy w sokach młodości. Ale nawet w takiej chwili, w chwili wyznania, Horwendil Jut nie poświęcał Gerucie całej uwagi. Patrzył na nią jak na postać z arrasu i widział pannę młodą, utkaną ze srebrnych nitek, nie zaś kamienny posąg anioła lub figurę Matki Boskiej z malowanego drewna, ważącą niemal tyle, co istota ludzka.

A teraz zbliżył się do niej, spontanicznie wyrzekając się świata - wszystkich światów prócz tego, który w tej chwili tak gorliwie stwarzał - i nagle objął ją, ale nie pochylił się do pocałunku, a tylko przybliżył zaciśnięte, wyraziste wargi do oczu księżniczki, splótł ręce na jej plecach i unieruchomił Gerutę w uścisku. Szamotała się nieśmiało, usiłując się wyślizgnąć z objęć, ale dźwięk dzwonek panińskiego gorsetu uświadomił jej, że opór jest absurdalny, zwłaszcza w obecności osób, będących naocznymi świadkami tego spotkania - a znajdowała się wśród nich jej służąca, Herda, jego giermek, Swend, oraz strażnicy zamkowi, tkwiący

nieruchomo pod kamiennymi murami sali, zwieńczonej wielkimi dębowymi krokwiami, niby duchami puszczy, z których rzeźbionych i barwionych kształtów zwisały postrzępione, wyblakłe proporce, zdobyte w bitwach przez monarchów duńskich, spoczywających od dawna w grobowcu dziejów. Poczwała, że tkwi w bezruchu wzorzystego gobelinu, jak gdyby jej dudniące serce zaplątało się w nici. Tylko dwa ptaszki, dwie pstre makolągwy wierciły się bez ustanku - skakały z żerdki na podłogę klatki i z powrotem, wydając w wirze łakomstwa rwane frazy pieśni albo krótkie ćwierknięcia. Krew uderzyła jej do głowy i Geruta wtuliła zarumienioną twarz w chłodną żelazną plecionkę na piersi Horwendila, a wtedy jeden z ptaków wypuścił z gardła długą wstęgę melodii, która zacisnęła się błogością na żebrach Geruty jak popręg. Widać nie ma rady. Pisany jest jej ten człowiek i jego los. Poczwała się bezpiecznie, niby starannie opatulone niemowlę.

Lecz nawet teraz, w chwili kapitulacji, o którą toczył z nią bój, kandydat do ręki Geruty myślał o czymś innym.

- Jedzą siemię albo nasiona konopi! - powiedział Horwendil, mając na myśli ptaki. - Siemię lniane. Jeśli karmić je mniej delikatnymi nasionami, na znak sprzeciwu chorują.

Geruta podniosła wzrok, by mu przypomnieć, kim jest, a wtedy Horwendil figlarnie przejechał twardymi kłykciami po policzku księżniczki, na którym kolczuga odcisnęła się czerwoną siecią ząbkowanych ogniw.

Horwendil Jut na ogół istotnie odznaczał się łagodnością, tak jak się zaklinał, choć poza tym był nielitościwie ponury i zamknięty w sobie, z czego, jak uznała w duchu Geruta, chcąc myśleć o nim dobrze, nie zdawał sobie sprawy. Ich ślub odbył się w białych otchłaniach zimy, kiedy to wojny i żniwa zamierały na jakiś czas, co pozwalało gościom królewskiego dworu spędzić w podróży tydzień, a zabawić w Elsynorze dwa. Dla Geruty uroczystość trwała cały długi dzień, począwszy od ablucji o świtanu i mszy oczyszczającej, odprawionej przez biskupa z Roskilde, aż po huczną ucztę, w której kulminacyjnym momencie - jeśli dobrze widziała zamglonymi oczyma - goście w wielkiej sali poczęli stołkami i krzesłami podsycać ogień, trzaskający w dwóch umieszczonych naprzeciwko siebie kominkach o półkolistym sklepieniu. Płomienie wiły się jak ludzie na mękach, a z przeciwległych dymników wypływał dym, zawisający mgiełką nad głowami gości. Gerutę obciążało tyle wisiorów z kutego złota, wysadzanych drogimi kamieniami, i taka obfitość sztywnego aksamitu i brokatu, że rozboleła ją w końcu szyja i kark. Zażyła tyle tańca i tak dużo wina, że rozluźniła ciało, poddając się zwierzęcej lekkomyślności. Licząca sobie już siedemnaście wiosen dziewczyna poruszała się w grupowym tańcu wśród błysków płomieni i dotyków wilgotnych, męskich i kobiecych rąk,

śliskich od tłuszczu po ucztę. Muzykanci, grający na lutni, flecie i tamburynie, usiłowali tymczasem wzbąć wątłe nuty melodii ponad tupot nóg stada zziębniętych i pijanych Duńczyków. Geruta czuła, że wstępuje w nią muzyka. Zaczęła kołysać biodrami. Słyszała brzęczące dźwięki radosnych dzwoneczków, wiszących jej u pasa. Włosy, które po tej nocy, pokazując się publicznie, będzie musiała kryć pod małżeńskim czepcem, unosiły się w powietrzu rozświetlonym dziesiątkami grubych świec, rzucających ze ścian ukośne cienie niczym wiązka plujących ogniem dzid. Procesję statecznych tańców prowadzili ona i jej mąż, odpowiednie kroki demonstrował natomiast młodej parze frankoński mim, ubrany w czapkę zdobioną dzwoneczkami. Taniec był w Europie zjawiskiem nowym i uchodził za niestosowną rozrywkę, albowiem Kościół wciąż nie chciał oficjalnie uznać, że oddawanie się jej nie jest grzechem. A przecież radosne święta stanowiły o istocie Kościoła.

Gdy ojciec błogosławił Gerutę na pożegnanie, po raz pierwszy wydał się jej słaby. Miał pożółkłe oblicze, bo wypił łącznie królewską ilość miodu, i garbił się pod wielkim brzemieniem królewskiej gościnności. Kiedy się rozstawali, oczy zaszyły mu mgłą, a może nawet łzami. Czy Roryk patrzył na nią? Czy widział swoje dziecko po ceremonii ślubnej, czy raczej przywoływał ostatni obraz żywej jeszcze Ony?

Zdobione rogami reniferów sanie poniosły nowożeńców z Elsynoru do posiadłości Horwendila, zwanej Odinsheim. Końskie zady wlokły się po śniegu, więc dwugodzinna jazda trwała tym razem o połowę dłużej, a w górze, jakby na pękniętej osi, wisiała w sieci gwiazd lodowata noc. Smukły półksiężyc stał wysoko, jego odbicie zaś podróżowało wraz z nimi nad nagimi polami, które upstrzyły tu i ówdzie ścierniska oszronionych kęp traw na mokradłach. Geruta popadała, co chwila w migotliwe sny, rozkoszując się masywnością szerokiego ciała męża, którego dotykała pod zachodzącymi na siebie wilczymi szubami, jakimi byli oboje otuleni. Horwendil rozprawiał przez czas jakiś o ślubnej uroczystości, o tym, kto na nią przybył, a kto nie, i co oznaczała obecność pewnych osób dla nieustannej regulacji szlacheckich fortun i aliansów, prowizorycznie scalających Danię.

- Stary Guildenstern powiadał, że król Fortynbras, który przedstawia dzisiaj żądania i ambicje wikingów jako następcę Kolla, od pewnego czasu najeżdża wybrzeża Thy w najbardziej jałowym i najsłabiej bronionym miejscu wyspy. Trzeba utemperować tego Norwega, żeby nie przysłała mu ochota zająć Vestervig i Spottrap wraz z żyznymi ziemiami Limfjorden, bo wtedy stałby się faktycznym panem Jutlandii. - Głos Horwendila przybrał miarowy, spokojny, pewny siebie ton, przejawiający się w swobodnej wylewności, której nie wykazywał w roztrągniętych i zdawkowych raczej rozmowach z Gerutą. Odkąd jego zaloty przestały napotykać opór z jej strony, Horwendil stał się wobec niej wyważony, uprzejmy i

konwencjonalnie kochający, choć bywał czasem oschły, gdy śpieszył korytarzami Elsynoru, pochłonięty jakimiś politycznymi sprawami. Szybko i skwapliwie urządził się na zamku. - Twój odważny ojciec nie ma już chyba sił, żeby poprowadzić wojsko do boju, jest jednak zbyt dumny, by zechciał oddać dowództwo.

- Ma teraz zięcia, którego szanuje - mruknęła sennie Geruta. Czuła, że przesycony winem oddech Horwendila wgrzył się niczym kwas w gwiaździstą przestrzeń nocy, w śnieg i odbite światło garbatego księżyca. Im wyżej wznosił się miesiąc, tym stawał się mniejszy, surowszy i jaśniejszy. Nie wyglądał jak księżyc, a raczej jak kamień, ciśnięty w promienie słońca z cienistego gaju.

- Szacunek to dobra rzecz, lecz nie przyniesie mi władzy. Nie zawrzesz bram szacunkiem, gdy Fortynbras zapuka.

Horwendil czekał na odpowiedź, ale odpowiedzi nie było. Gerutą usnęła. Za sprawą miarowego ruchu sań powróciła do rozchybotanej dziecięcej komnaty, gdzie szczupła, smagła dłoń matki wtapiała się na krawędzi kołyski w pomarszczone szpony leciwej niańki Geruty, Marlgar, i gdzie lalki małej księżniczki o twarzach wyobrażonych za pomocą kilku ściągów i kresek węgla drzewnego przybierały postać prawdziwych ludzi, obdarzonych imionami, jak Tora, Asgerda czy Helga. W przyływach władczej, dziecięcej fantazji, ustanawiającej miniaturową tyranie, Gerutą wyprawiała lalki w dalekie podróże, kazała im poślubić herosów prokurowanych z malowanych patyczków lub ciskała je na ziemię, gdy miały zginąć dramatyczną śmiercią. W małżeńskim śnie znalazła się znów wśród nich, w alkwie ostrołukowego alkierzyka, gdzie bawiła się pod okiem niańki, ale lalki we śnie były większe, podrygiwały w tańcu i wpadały na nią, a także dorównywały jej wzrostem. Miały olbrzymie twarze o nosach ze zwiniętych gałganów i oczach z glinianych paciorków. Głodne i samotne, żądały od niej czegoś; czegoś, czego nie umiały wyrazić, nie mogąc otworzyć zaszytych ust, czegoś, co jak wiedziały i one, i ona, księżniczka mogła im dać, ale jeszcze nie teraz; błagała: „Jeszcze nie teraz, moje kochane...”.

Kolebanie ustało i sanie stanęły przed mrocznymi wrotami dworzyszca Horwendila. Gerutą poczuła, że małżonek, wysiadając, napiera na nią całym ciałem pod wilczą szubą. Jego brat, Feng, nie przybył na wesele, choć przysłał im w podarunku bogato zdobioną srebrną patere, wykonaną przez biegłych rzemieślników w jakimś południowym kraju, w którym akurat przebywał. Wielki owal tacy wyslizgnął się jak gdyby z myśli Geruty i pożegłował w dal, w chwili, gdy rogate sanie wstrzymały bieg.

- Dlaczego twój brat nie zjechał na wesele? - spytała Gerutą z otchłani sennego oszołomienia.

- Potyka się na turniejach i próżnuje po drugiej stronie Alp. Kiedy ja jestem w kraju, Dania robi się dla niego za ciasna. - Horwendil obszedł zaprzęg i stanął teraz po drugiej stronie sań. Konie parskały, drząc w obłokach pary, a on niczym skamieniały duch stał w świetle księżyca, czekając, aż Gerutą zsiądzie wprost w jego ramiona, on zaś będzie mógł zanieść ją do domu. Chciała być dla niego jak najlżejsza, lecz mimo to Horwendil stęknął z wysiłku, rozsiewając wokół odór skwaśniałego wina. Jego wykrzywione usta zbliżyły się do jej oczu. W świetle księżyca Gerucie zdawało się, że cała krew odpłynęła mu z twarzy.

Posiadłość Horwendila okazała się znaczna, choć nie była otoczona fosą, a przywykła do obszernych wnętrz Elsynoru Geruta uznała tutejsze komnaty za zbyt niskie i małe. Na dole nie palił się ogień. Niespodziewanie wyrwani ze snu słudzy niepewnym krokiem wprowadzili ich do środka, oświetlając drogę pochodniami. Oboje ruszyli krętym korytarzem ku spiralnym kamiennym schodom. Kiedy się po nich wspinali, długie trójkąty cieni podskakiwały i chwiały się na stopniach. Przeszli przez pusty przedsionek, gdzie drzemał samotny strażnik, którego Horwendil wyszturczał, nie zatrzymując się. W małżeńskiej sypialni ogień buzował od dawna, w komnacie było więc duszno i gorąco. Geruta chętnie zrzuciła ciężki, zwieńczony kapturem płaszcz, obsyty gronostajem, kamizelę ze złotogłowiu, pokrytą wzorem w krzyże i kwiaty, oraz błękitną tunikę o szerokich, luźnych rękawach, haftowaną i wysadzaną klejnotami pod szyją. Miała na sobie jeszcze białą tunikę z dłuższymi, ciaśniejszymi rękawami, a pod nią cienki gorset, okrywający poza tym nagie już i przepocone ciało, bo tego wieczora dużo tańczyła. Milcząca, tęga kobieta drżącymi rękami pomogła jej rozsupłać krępujące sznury, rzemienny pas i zapinki na przegubach, a potem wyszła, żeby Geruta mogła zdjąć gorset sama, tylko w obecności Horwendila. I Geruta zrzuciła ostatnie okrycie, występując z kręgu tkaniny niby z oczyszczającej kąpieli.

W świetle trzaskającego ognia poczuła, że nagość powleka ją niby błona cieniuteńkiej blachy i że jest to strój absolutnie anielski. Jej skóra od szyi aż po kostki nóg nie widziała nigdy słońca, Geruta była, więc biała jak cebula i gładka niczym świeżo wyrwany z ziemi korzeń. I nietknięta. Sama zbudziła w sobie piękną dziewiczość, urzeczona tańczącymi płomieniami, odbijającymi się wściekłością paleniska w końcach jej rozpuszczonych swobodnie włosów, by zgodnie z ludzkim i boskim przykazaniem obdarzyć swego małżonka, Horwendila, posagowym, strzeżonym przez całe jej dotychczasowe życie skarbem. Ogarnięta namiętnością odwróciła się, żeby pokazać mu swe nieskalane ciało, bezbronne, jak jego pierś, kiedy narażał ją przez moment na pchnięcie miecza Kolla.

Ale Horwendil już spał. Mąż Geruty, nałożywszy nie wymyślny, kanciasty czepek, zwałił się jak kłoda, wskutek nadmiaru uciech, kąpieli w zimowym powietrzu i sypialnianej

sauny. Jego długie, mocne ramię spoczywało bezwładnie na pledzie niczym odrąbane od barku, na którym pod epoletem złocistego futra połyskiwała naga kula mięśnia. Strużka śliny cieknąca z obwisłych ust małżonka Geruty lśniła na podobieństwo maleńkiej strzałki.

Mój nieszczęsny, kochany bohater, pomyślała. Dźwiga przez życie ogromne, gładkie ciało, a jedyne, co ma, by nie dać się rozsiekać na kawałki, to tylko rozum i skórzana tarcza. Geruta odkryła wtedy pewien kobiecy sekret: że rozkosz miłości do kogoś równa się rozkoszy bycia kochaną, jak ciepło ognia dwóch przeciwległych kominków. Ale kobieta, która pozwoli płynąć swojej miłości, może zatamować jej napór tylko z wielkim bólem, w porównaniu zaś z jej uczuciem, miłość mężczyzny to jedynie krótkotrwała erupcja. Lśniącą nagością Geruta szybko ułożyła się w małżeńskim łożu. Na sekretarzyku paliła się pojedyncza świeca. Geruta znalazła nocny czepek, złożony na poduszce niby niewyszukany list miłosny, i zasnęła, wtulona w cień grzmiącego chwilami chrapaniem, głębokiego snu Horwendila.

Rankiem, po przebudzeniu, choć bojaźliwie, naprawili jednak niedopatrzenie nocy poślubnej i wkrótce zakrwawione prześcieradło przedstawiono z powagą staremu Korambusowi, szambelanowi króla Roryka, przybyłemu na nartach z Elsynoru w asyście trzech innych urzędowych świadków: księdza, medyka i królewskiego skryby. Dziewictwo Geruty było kwestią wagi państwowej, nikt niemal nie wątpił bowiem, że królem zostanie teraz Horwendil, a jeśli Bóg będzie łaskaw, po nim tron obejmie syn córki Roryka. Dania stała się jakby prowincją ciała Geruty.

Rana po defloracji goiła się za dnia, nocami zaś Geruta uczyła się z wolna rozkoszy, choć nie umiała pozbyć się wspomnienia tamtego pierwszego afrontu, gdy pobudzona swą obnażoną urodą odwróciła się, by przyjąć sztych, który nie nastąpił. Żaden idealny, wymarzony kochanek nie zasnąłby w oczekiwaniu na miłosną nagrodę, choćby był nie wiedzieć jak strudzony i zamroczony. Wprawdzie Horwendil od tamtej pory wykazywał należyłą jurność, kwiecie pochlebstw spływało z jego kształtnych ust, kiedy muskały jej ciało, a jedna eksplozja pchnięć jego lędźwi mogłaby napęlić ceber, ona jednak, obdarzona wrażliwością księżniczka, wyczuwała w jego namiętności jakby nieobecność, albowiem miłosny zapach Horwendila był zaledwie jedną z manifestacji jego animuszu. Horwendil wykazałby się jurnością, obcując z każdą niewiastą, i oczywiście miał już wiele kobiet, zanim posiadał Gerutę. Poza tym, jeśli opuszczał małżonkę na dłuższy czas, nie był na tyle wierny, by nie skorzystać czasem z ładnej pomorskiej branki lub z ciemnowłosej lapońskiej służącej.

Horwendil był chrześcijaninem. Darzył szacunkiem Haralda Sinozębego, ojca współczesnej Danii, który przyjął chrzest, pozbawiając w ten sposób cesarza niemieckiego

ulubionego pretekstu do najazdów prowadzonych pod hasłem nawracania pogan. Dzieje Duńczyków zostały utrwalone na kamieniach runicznych, a napis na kamieniu Haralda w Jelling głosił: „Oto Harald, który uczynił Duńczyków chrześcijanami”. Gerutę bardziej wzruszył jednak napis na kamieniu, który pozostawił po sobie w Jelling ojciec Haralda: „Pomnik ten wznosił król Gorm, na cześć swej żony, Tyry, chluby królestwa Danii”. Chluby Danii - Gorm wiedział, jak cenić kobietę, na długo zanim krzyż zmaćił duńskiego ducha. Wiara chrześcijańska umocniła w Horwendilu skłonność do ponuractwa, choć kiedy wpływał długą łodzią na wojnę i rabunek, religia nie była w stanie powstrzymać jego straceńczego uniesienia i prastarej, grabieżczej moralności wojownika. Chrystus był na ustach wszystkich, ale w głębi serc Duńczycy czcili wciąż Tyra, boga łowów, wojny i płodności. Szlachetna małżonka mogła cieszyć się szacunkiem męża jedynie w wąskim kręgu, jaki wytyczał jej domowy spokój, panujący wokół kobiet i dzieci, lecz nigdzie dalej poza tą granicą, za którą mężczyźni zmagali się z przymusem rywalizacji i rozlewu krwi.

Odkąd Geruta poddała się woli ojca, zyskała opinię kierującej się zdrowym rozsądkiem realistki. Była łaskawa wobec osób niższych od niej rangą i szybko rozeznała się w nowym położeniu. Szlachetnie urodzona kobieta kładzie się do łoża, które przygotowuje jej ktoś inny, i wdziewa trzewiki, które ktoś dla niej szyje. Giętki temperament płci niewieściej pozwalał księżniczce czynić wszystko z wdziękiem, a nawet skwapliwością. Nie mogła się oprzeć, by niemal całą swą istotą nie wielbić mężczyzny, który ją posiadał, przyjął pod swój dach, otoczył opieką i - co stanowi klucz do poprawności stosunków małżeńskich - który „korzystał” z jej ciała. Kiedy człowiek czuje się pożyteczny i ma zajęcie, każdy dzień zyskuje polor świętości, a w wypełnianiu stosownych obowiązków kryje się boża nadzieja. Natomiast bez jej spokoju dni zaczynają przeraźliwie krzyczeć, wtedy zaś nadchodzi wojna - albo nuda.

Tymczasem ciało Geruty rychło zaczęło pracowicie tworzyć nowe ciało. W okresie pierwszej wiosennej odwilży nie pojawiło się miesięczne krwawienie, które nie wystąpiło i później, gdy po nasłonecznionej stronie murów Odinsheim zazieleniła się trawa. Gdy z zimowego raję, którego Geruta nigdy nie miała zobaczyć, powróciły jaskółki, krążące nad stawem z różdkami słomy i grudkami błota do budowy przypominających balkony gniazd pod okapem stajni, Geruta nabrała pewności, że jest brzemienna, i wypuściła na pastwę losu obie makolągwy, które podarował jej Horwendil w prezencie zaręczynowym. Ciemniejszy samiec o wyrazistszych łatach na upierzeniu wydał się jej bardziej oszołomiony wolnością, trzepotał się bowiem w sypialni i przysiadł na parapecie za zasłonami, jak gdyby szukając nowych granic swobody, natomiast brzydsza i mniejsza od niego samiczka od razu wyfrunęła

pędem przez otwarte okno i siadła na wygiętej, pokrytej świeżymi listkami gałęzi wierzby, gdzie czekała, aż partner do niej dołączy.

- Nuże, nuże, bo znajdzie sobie innego - skarciła go Geruta drwiąco.

Mała istotka, tkwiąca w ciele Geruty, rosła, wciskając się w takie organy jej ciała, o których nie wiedziała nawet, że je ma, a także wywołując nieprzyjemne fale rozdrażnienia, tęsknoty, mdłości i zawrotów głowy. Na dobitkę zaniemógł ojciec księżniczki. Był jeszcze bardziej zżółkły i pokurczony niż na weselisku i wydawał się nie większy od dziecka, kiedy spoczywał w łożu, zwinięty w kłębek wokół zżerającej go choroby. Roryk oczywiście pogardzał skargami, ale kiedy Geruta była już brzemienna szósty miesiąc, a własne dolegliwości wtrąciły ją w senny, marzycielski stan pustego zadowolenia, ojciec powiedział jej z uśmiechem rozciągającym krzywo jego wąsy, że czuje się niczym w szponach krwawego orła. Była to aluzja do pewnego rodzaju kaźni, stosowanej w czasach sag, podczas której odrywano człowiekowi żebra od kręgosłupa, a następnie wyciągano serce i płuca przez wielką, czerwoną ranę, przypominającą krzyczącego, skrwawionego orła. Powiadano, że niektórzy szlachetnie urodzeni jeńcy błagali o ten sposób egzekucji, by wykazać się odwagą przed wrogiem.

Geruta nigdy nie lubiła słuchać opowieści o różnych wyrafinowanych okrucieństwach, które ludzie wymyślali dla wzajemnej udręki, choć ból i śmierć tworzyły głęboko zakorzenioną część stworzonej przez Boga natury. Dostrzegłszy krótkotrwały grymas obrzydzenia na twarzy córki, Roryk odezwał się łagodnym głosem, którego używał zawsze i z nieodpartym skutkiem, kiedy chciał ją pouczyć:

- Człowiek zniesie wszystko, moja droga, ponieważ wszystko znieść musi. We mnie nabrzmiewa śmierć, w tobie zaś dziecko. I śmierć, i dziecko opuszczą nasze ciała zgodnie z wolą bogów. - Rozbawiony takim powrotem w pogaństwo, Roryk położył suchą, gorącą dłoń na miękkiej, wilgotnej ręce Geruty, po czym dodał: - Księża, których radzi się twój zacny mąż, niestrudzenie nam przypominają, że wszyscy nosimy krzyż, naśladując Chrystusa. A może to Chrystus pierwszy dźwignął krzyż, by naśladować nas? W każdym razie cierpienia wystarczy dla wszystkich, a jeśli klechy powiadają prawdę, już wkrótce ujrzę One, młodą, jak w dniu, w którym umarła, i ja stanę młody obok niej. Jeśli zaś ich opowieści to zwykłe bajania, nie sprawią mi zawodu, bo nic nie będę czuł.

- Horwendil słucha księży, gdyż, jak twierdzi, znają oni dobrze serce ludu - odparła lojalnie Geruta.

- I łączą ich związki z Rzymem oraz z tymi wszystkimi krainami, gdzie Rzym wznosił swoje straszące piekłem kościoły. Horwendil wie, co robi, moja kochana, ufna córko. Ta

religia niewolników, a potem chłopów i kupców, ma przed sobą przyszłość. Poganie ponoszą druzgocące klęski w Ziemi Świętej i Hiszpanii, a tutaj, na północy, w ostatniej części Europy, która poddała się chrześcijaństwu, pogańskie ołtarze to już jedynie szeregi bezużytecznych głazów. Chłopi nie znają dzisiaj ich znaczenia i dlatego ładują je na wozy, żeby budować z tych kamieni chlewy dla świń.

Geruta została ochrzczona i wychowana wedle chrześcijańskiej wiary i obyczajów, choć niezbyt żarliwie, bo kawalerski dwór ojca bywał nieobyčajny. Poglądy Roryka na sprawy ostateczne - skąd przychodzi człowiek i dokąd zmierza - uznawała za tuzinkowe, podobnie zresztą jak własne przekonania.

- W twoim głosie słyszę szyderstwo, ojcze, a tymczasem Horwendil przez wiarę chce stać się nie tylko lepszym panem dla swoich wasali, lecz także lepszym człowiekiem dla ludzi równych sobie. Jest dla mnie łagodny, nawet wtedy, kiedy popada w nastrój, który nie pozwala mu pożądanie mego ciała. Pomyślało w duchu, że odkąd uwidocznił się jej brzemienny stan, Horwendil stał się wstrzemięźliwy w pożądaniu, choć w niej tymczasem narastała potrzeba potwierdzenia walorów swojej urody. - On chce być dobry - zakończyła z żalną prostotą, która zdumiała ją tak, jak gdyby dziecko w jej brzuchu nagle zakwiliło.

- Wolałbym usłyszeć, że Horwendil jest dobry - powiedział zboląły Roryk. - Czy daleko mu do spełnienia tych chęci?

- Nie - odpowiedziała ostro Geruta. - Wcale nie. Horwendil jest wspaniały. Odpowiada mi pod każdym względem, zgodnie z twoim dawnym zapewnieniem.- Było nie jaką złośliwością z jej strony przypominać teraz ojcu o tamtej rozmowie.

- Pod każdym względem - powtórzył w końcu Roryk, wzdychając, jak gdyby cios córki sprawił mu ból. - A jednak między dwojgiem ludzi nie może istnieć absolutne porozumienie. Nawet One i mnie dzieliła bariera językowa oraz niezgodność niewypowiedzianych oczekiwań. Każdy, nawet najlepiej dobrany związek kryje elementy, sz których nie można do siebie dopasować. A w synach Gerwindila tkwi dzikość Jutlandii. To ponura kraina, gdzie pasterze tracą w samotności zmysły i złorzeczą Bogu. Czarnobrzuche chmury nad Skagerrakiem nie rozwiewają się całymi miesiącami. Horwendil zapewne pragnie być dobry, ale jego brat, Feng, zaniedbuje swą pobliską posiadłość. Zastawił nawet znaczną część należącego doń jutlandzkiego dziedzictwa, by szukać przygód na południu Europy... Jak słyszę, dotarł aż do normañskiej niegdyś wyspy, zwanej dziś Sycylią. Feng postępuje zgubnie i niebacznie. Czy źle uczyniłem, córko, nalegając, byś poślubiła syna Gerwindila? Już wówczas czułem w sobie robaki śmierci, dlatego pragnąłem widzieć cię bezpieczną, otoczoną opieką innego mężczyzny.

- I jestem teraz bezpieczna, wedle twojego życzenia - odrzekła łagodnie Geruta, zrozumiawszy, że Roryk usiłuje ją przeprosić na wypadek gdyby miało się kiedyś okazać, że mimo wszystko swoim rozkazem wyrządził córce krzywdę. Tymczasem rozsądna Geruta uważała, że nie stało się nic złego, jej małżeństwo na razie układało się, bowiem idealnie.

Roryk zmarł, a faworytem nadchodzącej elekcji był Horwendil. Chcąc oszczędzić sobie częstych podróży, Geruta wraz ze swą siostrą wróciła do Elsynoru, by opiekować się umierającym ojcem. Po uroczystym pogrzebie na kamienistym cmentarzu, gdzie butwiały kości mieszkańców grodziska - i gdzie uczony w prawie spoczywał obok garbarza, dworzanin obok kata, a dziewica obok obłąkańca - Horwendil wprowadził się na zamek, żeby być bliżej żony. Zadomowił się w królewskich pieleszach nieco przedwcześnie, w Viborgu od kilku tygodni ciągnęły się bowiem jeszcze obrady prowincjonalnych thingów. Kilka głosów padło na jego brata, Fenga, który choć o osiemnaście miesięcy młodszy, lepiej znał cudzoziemskie obyczaje i mógłby pokrzyżować plany Niemców, Polaków i Szwedów, nie uciekając się do wojny, która powoli wychodziła z mody, jako że spokojne żniwa i handel zwiększały dobrobyt zarówno w zamku, jak i w wiejskich chatkach. Byli i tacy, którzy przemawiali żarliwie na rzecz innych członków szlacheckiego radu, głównie hrabiego Holsztynu, którego sieć krewnych dawałaby rzekomo większą nadzieję na utrzymanie w jedność wszystkich ziem Danii, leżących na północnym krańcu niespokojnej Europy. Ale mimo to oczekiwano powszechnie, że wynik głosowania w Viborgu przesądzi o wyborze Horwendila, małżonka Geruty i pogromcy Kolla.

Tylko Korambus, szambelan Roryka, uważał przedwczesne zajęcie królewskich komnat za bezwzględnie niewłaściwe posunięcie ze strony Horwendila. Choć Gerucie Korambus wydawał się starcem, w rzeczywistości był krzepkim czterdziestolatkiem, ojcem nowo narodzonego syna i mężem młodszej od siebie żony, Magrit z Mon, kobiety o jasnej, niemal przezroczystej skórze, a przy tym istoty tak delikatnej i wrażliwej, że przemawiała z omdlewającą słabością, przechodzącą czasem w niezrozumiały zaśpiew. Niedługo po drugim porodzie, dziesięć lat później, Magrit oddała ducha, a Korambus - by rzucić okiem w przyszłość - nigdy nie wyzbył się całkowicie niechęci do Horwendila, którego w skrytości serca uważał za nieokrzesanego uzurpatora. Choć skrupulatnie wypełniał obowiązki wobec nowego króla, w rzeczywistości służył tylko Gerucie i kochał wyłącznie ją, jedyne dziecko Roryka. Miłował ją tak, jak wszyscy mieszkańcy Elsynoru, którzy stykali się codziennie z ujmującym, radośnie usposobionym dzieckiem, i nawet kiedy Geruta została mężatką, miłość Korambusa do niej nie tylko nie wygasła, lecz trwała wciąż tak silna, że wydawało się, jakoby

królewski doradca był o księżniczkę zazdrosny, choć ona uważała go za starca, a sam szambelan szybko przyjął publicznie oficjalną postawę męża rozsądnego, pedantycznego i sentencjonalnego.

Jeszcze zanim posłańcy przynieśli z Viborgu z góry przesądzony werdykt - jednogłośnie, albowiem wszystkie cztery prowincje były zgodne w wyborze - Horwendil zaczął zabiegać w radzie o poparcie dla planów uderzenia na Fortynbrasa. Dlatego uroczystości koronacyjne Horwendila skrócono, by zyskać czas na zgromadzenie armii mającej wypędzić norweskiego najeźdźcę ze stanowisk w Jutlandii. Kiedy pośpieszne przygotowania wojenne dobiegały końca, Geruta powoli dojrzewała, jak owoc, a jej wielki brzuch zaczęły pokrywać smugi srebrzystych rozstępów. Dzięki jednemu z tych pomyślnych przypadków, które wyznaczają kalendarz ludzkich wspomnień, złocistobrody Fortynbras został zaatakowany, pokonany i zabity na piaszczystych wydmach wyspy Thy tego samego dnia, kiedy królowa w mękach krwawego orła porodziła potomka płci męskiej, któremu nadano później imię Amlet. Niemowlę, zsiniałe wskutek współuczestnictwa w porodowych wysiłkach matki, urodziło się z resztką owodni na głowie, czyli w czepku, co mogło być znamieniem znakomitego, bądź skazanego na zatracenie człowieka - wróżbici wyrażali sprzeczne opinie w tej kwestii.

Imię, które wybrał synowi Horwendil, miało uczcić zwycięstwo, jakie odniósł na zachodniojutlandzkich wydmach skąd widać smaganą wiatrami cieśninę Skagerrak, odnosiło się bowiem do pamiętnych słów bardów, śpiewających o Dziewięciu Dziewicach Wyspowego Młyna. Młyn ów w zamierzchłych czasach mełł „pożywienie Amleta” - Amloa mołu. Co oznaczał ten zwrot, nie wiedzieli nawet sami bardowie, którzy przekazywali go sobie z pokolenia na pokolenie, jak stopniowo wygładzany kamyk. Sądono, że pożywienie oznacza piasek na brzegu, a młyn miażdżącą wszystko dokoła maszynę świata, która ściera ziemskie dzieci w proch. Geruta chciała na cześć ojca nazwać syna Rorykiem, by posiać w nim ziarno władzy królewskiej; Horwendil wolał uczcić samego siebie, choć nie uczynił tego wprost. Wtedy to właśnie na świeżo rozkwitłej miłości Geruty do owocu jej ciała pojawiła się śnieć.

Amletowi natomiast matczyne mleko zdawało się chyba kwaśne - płakał bowiem całe noce, nie mogąc strawić pokarmu, i nawet kiedy zaciskał usta na piekającej Gerutę piersi, marszczył nos z obrzydzeniem. Nie przyszedł na świat jako duże dziecko - w przeciwnym wypadku poród trwałby tak długo, że mógłby zabić matkę - a ponadto nigdy nie był całkiem zdrowy. Nieustannie dokuczały mu drobne dolegliwości, jak kolki, wysypka wokół genitaliów, niekończące się przeziębienia, krup oraz gorączki zmuszające go do leżenia w pościeli całymi tygodniami, toteż w miarę jak Amlet dorastał, Geruta, zdrowa i aktywna przez

całe życie, nabrała pełnego niechęci przekonania, że jej syn pieści się ze sobą. Gdy Amlet posiadał moc języka i wyobraźni, zaczął dramatyzować wszystko, co dotyczyło jego osoby, i szczegółowo roztrząsał każde głupstwo z rodzicami, księżmi i nauczycielami. Można było sądzić, że lubi jedynie cieszącego się złą opinią i chyba słabego na umyśle trefnisia, Jorika - a młody Amlet uwielbiał żarty nad wszystko, do tego stopnia, że cały świat, ściśnięty w Elsynorze, uważał za wielki żart. Geruta mniemała, że krotochwile to tarcza, chroniąca Amleta przed poważnymi obowiązkami i płynącą z serca serdecznością dla ludzi.

Córka Roryka czuła, że jej serce zostało odtracone. Coś wstrzymywało jej miłość do tego kruchego, nerwowego dziecka o ciętym języku. Być może za wcześnie przyszło jej zostać matką, jak gdyby ominęła w podróży życia pewien etap, którego nie przebywszy, nie umiała zwrócić się od miłości do rodziców ku miłości do dziecka. A może wina leżała po stronie dziecka - Gerucie zdawało się, że jej miłość zalała Amleta jak woda, która utrzymuje się kroplami na świeżo nawoskowanym stole lub natłuszczonej skórze, i że pozostała na powierzchni, niewchłonięta i lśniąca niby rtęć. Amlet był krwią z krwi swojego ojca, porywczy i zarazem skłonny do zadumy, a jego jutlandzką niewzruszoność pokrywała warstwa afektowanych manier i wytwornych talentów arystokracji, choć oczywiście Amlet był więcej niż zwykłym arystokratą - był księciem, tak jak Geruta księżniczką.

Zastanawiała się, czy fakt, że sama wychowała się bez matki, tłumaczy brak matczynych uczuć w jej duszy. Pozwoliła, by niania, wychowawcy, nauczyciele jazdy konnej i szermierki stanęli między nią a jej dorastającym synem. Sądziła, że zabawy Amleta mają odstręczyć i wykluczyć ją z uczestnictwa w dziecięcych igraszkach syna - a były to nieodgadnione, zgiełkliwe zabawy z użyciem patyków, wiosł, tuków, strzał, kości do gry i żetonów, i wszystkie naśladowały hałaśliwie wojnę, w której Amlet, o wysokim głosie i spiętej, bladej twarzy, dowodził bufonowatym Jorikiem i kilkoma niedomytymi synami kochanek żołnierzy z zamkowego garnizonu. Dla milczących obręczy, bąków i lalek z dzieciństwa Geruty nie było miejsca w tym męskim świecie wojowniczych fantazji, świecie uderzeń, pchnięć i „wyrównywania rachunków” - Geruta spostrzegła, bowiem, że pośród krzyków i zmagania wszystkie wyniki dokładnie karbowano, podobnie jak krwawe rachunki wojen dorosłych ludzi, bo nawet Horwendil chełpił się, jak to król Fortynbras, zanim zginął, rzekł się nie tylko terenów, zajętych w Jutlandii, lecz również ziem na pół noc od Halland, na wybrzeżach Szwecji, pomiędzy morzem i wielkim jeziorem Vanern. Ziemie te Fortynbras zajmował nie dla ich niewielkiej wartości, lecz jako rakowatą narośl niesławny na ciele wroga, pragnął bowiem nasycić żółcią przeciwne mocarstwo.

Geruta nie miała rodzeństwa, i nie miał go również Amlet. Jego matka uważała, że nie było jej dane stać się znów brzemienną, ponieważ Bóg pokarał ją za brak rodzicielskich uczuć, czego nie udało się jej przed Nim ukryć. Zaniepokoiło to Gerutę na tyle, by wspomnieć o swoim zmartwieniu Herdzie pokojówce, która było świadkiem przyjęcia przez nią zalotów Horwendila blisko siedem lat wcześniej. W tym czasie Herda poślubiła Swenda, obdarzając go trojgiem dzieci, zanim królewski giermek zginął w jednej z podjazdowych potyczek z Norwegami, których tron po bitwie na Thy objął brat Fortynbrasa, sfrancuziały obżartuch, pozbawiony raczej bojowego ducha, toteż Horwendil z rozkoszą uderzał na wysunięte posterunki jego rozprężonego wewnątrz kraju.

- Kochany mały Amlet jest tak osamotnionym, zamyślonym i kapryśnym pięciolatkiem, że król i ja zastanawiamy się od dawna, czy braciszek albo siostrzyczka nie uczyniliby z niego bardziej towarzyskiego i litościwego w duszy dziecka - zaczęła z wahaniem Geruta.

- Możliwe - odparła lakonicznie Herda.

Była ubrana na biało na znak żałoby po Swendzie i nadal przygnębiona jego ubiegłoroczną śmiercią. Swend zginął podczas wyprawy na pewien port rybacki, który wzbogacił się na handlu śledziami i był rzekomo bezbronny, wynajął jednak zdradziecko do obrony zbrojną w miecze szkocką gwardię zaciężną. Geruta czasami wyczuwała w swej służce gorycz wobec tronu. Władza królewska prowokuje rozmaite urazy i przyciąga wrogów tak samo niezawodnie, jak szlam wchłania brudy, które zbierają się w stawie wedle młyna.

- Powiadam, że chciałbym, by Amlet stał się bardziej litościwy - ciągnęła Geruta - ponieważ coraz częściej słyszę, że wobec niżej urodzonych od siebie, jak lokaje, służący i towarzysze zabaw z dziatwy garnizonu, książę wykazuje niejaki okrucieństwo, kryjące się pod maską błazeństwa. On i ten wstrętny Jorik bez przerwy podkopują powagę szambelana zwariowanymi psikusami i figlami.

- Pani, na podstawie własnego doświadczenia wiem, że rodzeństwo w niczym nie zmiękcza duszy. Byłam jednym z dziewięciorga dzieci. Niektóre z nas były bojaźliwe, inne śmiałe, jedne były dobre, a inne nie. Ocieraliśmy się o siebie jak kamienie w kuble, ale piaskowiec i tak pozostał piaskowcem, a kwarc kwarcem. A młody książę nie chce nikogo ukrzywdzić. Ma dobre serce, ale nazbyt nie spokojny umysł.

- Gdyby tylko ojciec poświęcał mu więcej uwagi... Dzieciak ze mnie drwi, nawet wtedy, gdy udaje szacunek. Nie ukończył jeszcze sześciu lat, a już wie doskonale, że kobiet nie musi słuchać.

- Jego wysokość ma na niego baczenie. Czeką tylko, aż chłopiec będzie gotów, żeby go zahartować. Wtedy dopiero weźmie się do niego.

- A ty i Swend...- Geruta zawahała się.

- Byliśmy szczęśliwi, wasza wysokość, o ile ludzie niższego stanu mogą osiągnąć szczęście.

- Ale wasze dzieci... Zazdroszczę ci. Ty masz je, a one mają siebie. Czy ty i Swend zanosiliście modły do Boga, by mieć tak liczne potomstwo?

- Nie przypominam sobie, żeby modlitwa miała tu wiele do rzeczy. Nasza latorośl pojawiła się zgodnie z prawami natury. Nie była ani chciana, ani niechciana. Czasami zdarza się, że, by tak powiedzieć, nadmierne chęci wilgocią hubkę, wtedy zaś iskra nie chwyta. A ponieważ król bardzo często przebywa z dala od domu, zajęty poszerzaniem granic królestwa i pogromem Norwegów, więc może brakuje mu czasu. To wola Boga i boża tajemnica. Dla większości ludzi kłopot tkwi nie w tym, jak zmagistrować dzieci, lecz jak je potem wykarmić.

Geruta zeszywniała, nie chcąc postrzegać siebie tak, jak ją widzieli poddani - jako królową, która nie zdaje sobie sprawy z ciężarów życia ludu.

- Jakie to dziwne, że Bóg obdarza dziećmi takich ludzi, którzy nie potrafią ich wykarmić, odmawia zaś potomstwa innym, których stać na to po stokroć.

Herda umilkła, jakby wstąpiło w nią zakłopotanie. Jej wydęte wargi wyglądały w różowej twarzy niczym szpunt. Odezwała się dopiero po chwili:

- Zapytam, jeśli wolno, czy często omawiałaś, pani, chęć posiadania kolejnego dziecka z królem, twoim władcą?

- Tak często, jak pozwalała mi na to przyzwoitość. Król pragnie mieć więcej dziedziców jeszcze bardziej niż ja. Wyobraża sobie, że tron obejmą po nim jego potomkowie, i nie chce, żeby królewska sukcesja wisiała na jednym włosku. Książę Amlot nie jest krzepkim dzieckiem, a jego nerwowe usposobienie czyni go wrażliwym na wszelkie możliwe wzruszenia.

- Niewykluczone, więc, że doznałby wstrząsu, gdyby w jego otoczeniu pojawiło się teraz rodzeństwo. Król ma brata, nie słyszałam jednak, by ów fakt był źródłem otuchy dla jego wysokości.

- Feng zdecydował się opuścić Danię, by szukać szczęścia w kwitnących królestwach południa Europy.

- Być może czyni to z uprzejmości wobec króla. Nieobecność bywa czasem podarunkiem. A jeśli chodzi o delikatną kwestię, o którą wasza wysokość, pochlebając mi, raczyła zapytać, to akuszerka mogłaby dostarczyć mojej królowej bardziej szczegółowych

wskazówek, choć w tak wysokich progach bałaby się zapewne wykazać zbyt rozległą wiedzę, aby nie powieszono jej w końcu jako czarownicy albo by nie włączono jej koźmi i nie poćwiartowano jako zdrajczynie. Moja rada, to pozwolić rzeczom toczyć się własną koleją, bo wówczas nie mamy zbyt dużego wyboru. Świat podlega przeznaczeniu, choćbyśmy nie wiadomo jak się szamotali, żeby ujść naszej doli.

- Dołożę, zatem wszelkich starań, aby spokojnie i stać się potulniejszą - zakończyła ostro Geruta, rozgniewana na siebie, że szuka mądrości w tak plebejskiej duszy.

Mijały lata, a choć królowa rzadko uchylała się od sypialnianych obowiązków małżonki, księżę Amlet pozostał jedynakiem. Gdy wkroczył w pierwsze stadium męskości i wydłużyły mu się nagle nogi, na jego górnej wardze zaś pojawiła się jedwabista zapowiedź przyszłych wąsów, Geruta, silniej niż dotąd dręczona poczuciem braku tego, co powinno przynosić jej satysfakcję, zwróciła się do Korambusa, ostatniego już żyjącego ogniwa, łączącego ją z ojcowskim dworem, a także człowieka, którego przywiązanie do niej, jak mniemała, liczyło tyle lat, co ona. Jeśli jej ojciec był życiodajnym słońcem, Korambus przypominał odbijający światło księżyc, który opromieniał Gerutę z góry poprzez posrebrzone wierzchołki drzew. Jego po zdrowieniu, powtarzane kilkakroć każdego dnia, kiedy ich ścieżki krzyżowały się w kamiennym labiryncie Elsynoru: „Jak miewa się moja łaskawa pani?”, spotkało się raz z żalną, choć pokrytą monarszą godnością prośbą, by Korambus stawiał się na krótką audiencję u królowej. Godzinę później Geruta przyjęła szambelana w wyściełanym, krytym lipową podłogą alkierzu, stanowiącym jej prywatną komnatę, gdzie czytywała romanse, haftowała i wyglądała przez potrójne, dwukrzyżowe okno na szarozieloną cieśninę Sund. Niespokojna, kapryśna przestrzeń morza wydawała się tchnąć swobodą, której zazdrościła jej Geruta.

- Drogi, stary przyjacielu, niegdyś doradco mojego ojca, a teraz ukochanego męża... Ciekawa jestem twych spostrzeżeń na temat rozwoju Amleta - zaczęła. - Jego zajęcia i zainteresowania, które z każdą chwilą koncentrują się coraz bardziej wokół męskich i wojennych spraw, unoszą go wciąż dalej i dalej poza granice mej słabej niewieściej władzy.

W najwcześniejszych wspomnieniach Geruty Korambus był szczupły, ale jeszcze w młodości nabrał ciała, a ponieważ wysokie stanowisko wymagało od niego głównie cierpliwego siedzenia i ucztowania, po pięćdziesiątce tusza zawładnęła całą postacią szambelana. Mimo to zachował wciąż pewną zręczność - poruszał się sprawnie pośród niewidzialnych i służących mu jako oparcie ograniczeń, wewnątrz stworzonego na własny użytek pojęcia idealnego dworaka, będącego solidną podporą tronu. Usadził się ostrożnie na

trójnogim krześle, którego płaskie, trójkątne siedzisko i wąskie, spiralne oparcie nie pasowały do jego budowy, a potem, na znak, że słucha z wyteżoną uwagą, pochylił dużą głowę, której krągłość podkreślały zgrabne, małe uszy, nos i szczeciniasty, kozi zarost na brodzie. Przemawiał, pomagając sobie błyskotliwymi, okrągłymi gestami człowieka, którego postura fizyczna pewnie wspiera jego poczucie własnej ważności - to z wdziękiem unosił palec, to znów puszczał żartobliwie oczko.

- Książę świetnie trzyma się na koniu, a jego pika rzadko chybia żywotnych organów przeciwnika, zaznaczonych na słomianej kukle ćwiczebnej. Naciąga cięciwę pewną ręką, choć odrobinę za szybko wypuszcza strzałę. W szachy gra miernie, brak mu, bowiem zdolności przewidywania. Jest gorliwym, choć pozbawionym finezji szermierzem, a po łacinie mówi jak ktoś, kto potrafi myśleć jedynie po duńsku. Poza tym nie można na niego narzekać. Jest rex in ovo, którym zresztą oczywiście, natura naturans, być powinien.

Lecz mimo tych słów oczy starego doradcy, tkwiące w jego imponującej głowie, spoglądały bacznie spod sztywnego zielonego kapelusza w kształcie stożkowej, ozdobionej rondem głowy cukru - Korambus czekał, aż Geruta powie mu otwarcie, o co idzie. Włosy szambelana zwisały spod kapelusza w tłustych, żółtoszarych strąkach, brudzących brzegi wysokiego kołnierza jego kaftana. Innym szczegółem niechlujnego wyglądu Korambusa była wiecznie wilgotna dolna warga, nad którą zdawał się nie zupełnie panować, pryskał, bowiem śliną, wymawiając niektóre syczące głoski, i poruszał ustami na boki, kiedy milczał.

- Czy nie wydaje ci się, że Amlet... nie wiem, jak to wyrazić... ma twarde serce? - spytała królowa. - Czy nie brak mu szacunku dla starszych i czy nie jest zbyt szorstki w obejściu dla niżej urodzonych? Czy nie bywa chimeryczny w nastrojach, które tak dziwnie szybko się zmieniają? Potrafi okazać mi czułość, jak gdyby rozumiał mnie lepiej niż jakikolwiek inny mężczyzna dotąd, ale chwilę później jest już chłopcem, który odwraca się do mnie plecami, jak gdybym nie była mu nikim więcej niż tylko karmicielką. Mój drogi przyjacielu, czuję, że jako matka poniosłam całkowitą porażkę.

Korambus cmoknął i pozwolił sobie na mądry, rozchylający usta uśmiech, który przechylił mu głowę i rozciągnął na boki lśniąca dolną wargę.

- Rzucasz na siebie oskarżenie, choć nikt inny na twoim miejscu tak by nie postąpił. Księcia nie wychowuje wyłącznie matka. Odpowiada za niego całe państwo. Przetrzymałaś poród, spełniając w ten sposób swój główny obowiązek, a podczas położu Bóg powołuje do raju niejedną młodą matkę. Pozwalając oseskowi ssać pierś przez pełny rok, uczyniłaś coś, co niejedna szlachetnie urodzona dama, dbała o swoją wysoko postawioną pierś, zleca prostej chłopce. Gdy Amiet uczył się chodzić, gaworzyć, składać zdania i rozumieć litery, kiedy

zaczynał pojmować, czym są różne narzędzia, jak się ich używa i jakie są wymogi tego świata, poświęcałaś mu więcej uwagi, niż czynią to zwykle królowe. Jest hańbą, że tak często nie jedno dziecko, zrodzone jako ziemski wysłannik Boga, bywa zanedbywane gorzej niż potomstwo ladacznic i wędrownego zbója. Okazałaś swojemu chłopcu miłość. Nie martw się, cna królowo. Amlet ukończył już trzynaste wiosen i jest ukształtowany do dobra lub do zła. Figle, które tak cię niepokoją, ja złożyłbym na karb jego skłonności do rzemiosła aktorskiego. To, dlatego Amlet tak szybko przyjmuje na przemian tyle różnych twarzy. Jest szczery, potem nieszczerzy, a potem znów szczery w swojej nieszczeroci...fascynują go takie metamorfozy. Dla Jego umysłu ucznia ludzka zdolność bycia różnymi osobami, zdolność odgrywania wielu różnych ról i rozdymania swego pysznego, choć marnego jestestwa za pomocą nie do końca przemyślanych symulacji oraz oszustw to iście cudowna rzecz. Z pewnością zauważyłaś, jakie ożywienie i fascynację zdradza, kiedy do Elsynoru przybywa trupa wędrownych aktorów... Księżę chciwie ogląda ich próby, baczy na piękne szczegóły sztuki aktorskiej iluzji, a kiedy zostaje sam w krużgankach i korytarzach zamkowych, naśladuje wartką kadencję recytacji aktorów.

- Tak - przerwała mu skwapliwie królowa. - Słyszę czasem, jak przemawia do siebie, kiedy przebywa samotnie w swym alkierzu!

Korambus trzymał się jednak toku własnych myśli.

- Czasami wydaje mi się, że Kościół popełnił błąd, zdejmując w tych rozwiązłych czasach klątwy, skierowane przeciw bezbożnym drwinom, jakimi są przedstawienia teatralne, które, naśladując boskie dzieło stworzenia, odciągają ludzi zarówno od spraw ostatecznych, jak i doczesnych. A skoro o tym mowa, to pomyśleć tylko, jak bardzo chłopiec Ignął do świętej pamięci Jorika, dopóki ów niestrudzony żartowniś, wyzionąwszy ducha z przepicia, wskutek wesołych hulank, jakim się oddawał, nie dołączył w końcu do tłumu zmarłych w ostatnim, najlepszym żarcie, jaki nam spletał. Syn twój miłował go, pani, i tak samo kocha wszystkich błaznów, którzy uwalniają go od ciężkich myśli, tyczących rządzenia państwem i panowania nad sobą. Być może twój małżonek jest nazbyt surowym i heroicznym przykładem dla chłopca. Nie wątpię jednak, że kiedy Amlet będzie musiał wypełnić swe obowiązki, postąpi ostatecznie tak, jak należy, choć myśli targają nim to w tę, to w tamtą stronę.

- Oby tak się stało - powiedziała Geruta, nieprzekonana do końca i sprowokowana zarazem do obrony małżonka. - Król nie chce być surowy dla syna, ale głowę zaprzętąją mu groźby ze strony nieokiełznanej Norwegii, wrzącej Polski i buntowniczego Holsztynu, nie wspominając już o chłopach i duchownych, którzy nieustannie narzekają na wysokie podatki, jakich wymagają koszty rządów w kraju.

- Wielkość ma tę wadę, że wszystko, co mniejsze, staje się jej wrogiem - zauważył taktownie Korambus.

- Po prawdzie, król jest łagodniejszy dla chłopca niż ja. Im bardziej Amlet upodabnia się do niego postawą i zainteresowaniami, z tym większą miłością wyraża się o nim ojciec. To raczej mnie, skutkiem bezradności płci niewieściej, dręczą niepokoje.

Korambus na chwilę wyprostował się jak struna, układając na swych potężnych udach fałdy wielkich, muszlowatych rękawów kaftana, a potem nachylił się do królowej nieco bliżej niż przedtem i przemówił ciszej:

- O to właśnie chodzi. Jako że rozmarzona arogancja i widoma niezgrabność są powszechnymi przypadłościami wkraczających w wiek męski pacholąt, to raczej nie zdrowie Amleta doznało uszczerbku, lecz, niech mi będzie wolno to powiedzieć, zdrowie jego matki. W dzieciństwie byłaś ciepła i pogodna, Geruto. Grzałaś wszystkie serca. Jako kobieta, już trzydziestoletnia...

- Trzydziestojednoletnia, licząc od października. Trzydzieści jeden lat to odwrotność wieku Amleta.

-...jesteś nadal ciepła, lecz w głębi duszy strapiona. A przecież nie widać chmur, które przesłaniałyby twoją pozycję, najwyższą, jaką kobieta osiągnąć może w Danii.

- Moja pozycja jest widocznie za wysoka i za wielka, skoro brak mi serca, aby wypełniać związane z nią powinności. Kiedy byłam młoda, miałam nadzieję dać Amletowi rodzeństwo, cały rój braci i siostr, którzy napełniliby Elsynor radosnym dziecięcym gwarem.

- Dzieci to prawdziwa pociecha. Ich potrzeby wypierają nasze, a my czujemy, że zajmując się dziećmi, usprawiedliwiamy własne istnienie. W pewnym sensie kryje my się za potomstwem przed nadchodzącą śmiercią, która ginie gdzieś w harmidrze spraw rodzinnych. Mój Laertes, niewiele starszy od twego psotnego syna, czuje się już zarówno opiekunem ojca, jak i swojej raczkującej siostry, osieroconej nieszczęśliwie przez matkę...

Geruta wyciągnęła rękę, by dotknąć zaokrąglonej dłoni wdowca, która powróciła na poręcz krzesła, kiedy szambelan skończył ocierać oko przepastnym rękawem.

- Magrit jest w niebie szczęśliwa - powiedziała królowa, chcąc dodać mu otuchy. - Świat zadawał ból jej szlachetnej duszy. - Musiała ścierpieć świat i kilka poronień, które dotknęły ją pomiędzy szczęśliwymi urodzinami syna i córki, pomyślała. W jej rozumieniu obdarzona szlachetnością ducha połowica szambelana zmieniła się w istne widmo, zmuszona spełniać żądania koźlej lubieżności męża.

Królewski doradca odezwał się ponownie, tym razem ochrypłym głosem, przypomniawszy sobie o mglistych skargach królowej.

- Brak potomstwa czyni kobietę gnuśną, szczególnie, jeśli jej mąż rządzi królestwem, rozrzuconym na wyspach, które liczą setki wiorst nieosłoniętych wybrzeży, narażonych na atak obcych wojsk.

- Mój mąż...- zawahała się Geruta, choć przytłaczał ją bolesny smutek i wyczuwała, że to, co powie, sprawi przyjemność jej przebiegłemu słuchaczowi. - Mój mąż okazał się wszystkim, czym miał być, zgodnie z obietnicą mojego ojca, ale... - tu królowa znów się zawahała -... to nie ja go wybrałam, on zaś wybrał mnie wyłącznie ze względu na osobisty interes polityczny. Kocha swą małżonkę, ale tak, jak jeden z oficjalnych obowiązków króla, nie narażając dla miłości ani żadnego z innych swoich zajęć, których ma bez liku, ani samego siebie.

Gertruda przyprowadła czujnego dworaka w okolice bliskie zdrady stanu, toteż Korambus wycofał się w oziębłość.

- Po cóż pragnąć zagrożenia, pani? - Szambelan jeszcze raz pochylił się do przodu, łyskając dolną wargą. - Czytasz za dużo tych niemoralnych galijskich romansów, które z gnuśnego, jałowego uwielbienia chciałyby uczy nić główny cel ludzkiego życia. Jeżeli wolno mi mówić z ojcowską szczerością, powinnaś mniej czytać i rzadziej haftować, a częściej oddawać się ćwiczeniom cielesnym. Powinnaś jeździć konno i polować, jak za dziewczęcych lat. Robisz się ociężała, wasza wysokość. Żwawa krew Roryka zastyga w twoich żyłach i zatruwa melancholią równowagę humorów.

Roześmiała się, chcąc odprawić Korambusa wraz z jego bezczelnością, w której zabrzmiała nuta zazdrosnego przywiązania do królowej.

- Nie sądziłam, mój potężny, stary przyjacielu, że doczekam chwili, kiedy to ty właśnie skarcisz mnie za ociężałość.

- To tylko przenośnia. Szło mi raczej o ociężałość duchową.

- Oczywiście. Zaczny Korambusie, znacznie lżej mi na sercu, ponieważ zechciałeś wysłuchać moich płochych myśli. Dość było je wypowiedzieć, by okazały się błahe i bezpodstawne.

Zdejmując stożkowy zielony kapelusz i powiewając obfitymi rękawami, szambelan pożegnał królową, zadowolony, że podsunął jej najbardziej krzepiącą radę, na jaką było go stać. Jeżeli on ją rozdrażnił, to i królowa ze swej strony rozdrażniła jego, żądając, żeby z powagą wysłuchiwał jej kobiecych fochów. Mimo to Korambus skonstatował z zadowoleniem, że w królewskich zamierzeniach pojawiło się pęknięcie oraz że w pobliżu tronu zagościło poruszenie i niepokój. Skłonił się na odchodnym, pozostawiając Gerutę samą na samą z nadchodzącymi dniami.

Te dni, ach, te dni, skąpane w jakże wyrazistym pięknie i różnorodności - dni palącego słońca i cienia, przypominającego cętki ognistego zwierzęcia, dni nieprzerwanego, potężnego zimna i krwistoczerwonych zachodów słońca, smagłe, jesienne dni, pachnące sianem i winogronami, dni wiosenne, woniejące słoną pianą fal i dymu palenisk buchającego z kominów, mgliste dni przesiewanego światła słonecznego i delikatnego, kapryśnego deszczu, który lśnił i pomrukiwał na parapetach jak srebrzysty kocur, dni zmysłowych, wysokich chmur, niosących ze wschodu grzmoty nad Jutlandię, dni, kiedy linia brzegowa Skanii rozciągała się wyraźnie, jak szew purpurowej lamówki, na całą falistą szerokość cieśniny Sund, dni wysokich, żebrowanych niebios, przypominających szkielet anioła, grudniowe dni wyjących i zacinających śnieżyc, marcowe dni ciągnącego z północy gradu, którego odgłos przypominał gniewne bębnienie do drzwi, czerwcowe dni, kiedy wszystkie widoki dusiła zieleń, dni bez właściwości, dni dziurawe, dni nieznające własnych myśli, kończące się bezsennością, dni podróży, dni uroczystości, kiedy Geruta i Horwendil zastygali w bezruchu niby wykute z mosiądzu postaci, albo nadpobudliwie, jak aktorzy, tańczyli, przedzierając się przez płachty światła świec i lasów jedzenia, dni prania, kiedy wśród śmiechów i oparów ługu Geruta harowała obok czerwonorękich dziewczek służebnych, jak niewolnica Elnor, dni choroby, gdy dryfowała w gorączce, przyjmując cały pochód łagodnie przemawiających gości, z których ktoś mógł być Śmiercią bez twarzy i zabrać ją do Ony, zmarłej znacznie młodziej, dni czułego ozdrowienia, dni, kiedy buki pokrywały się wysmukłymi, czerwonymi pąkami, wierzby zaś żółtymi, dni, gdy służące rodziły martwe dzieci, dni, w które Horwendil był nieobecny, dni następujące po nocach, kiedy Geruta i on kochali się, dni, kiedy jadła za dużo, dni, kiedy wskutek postu kręciło się jej w głowie, dni, które rozpoczynały się szkliwem Sundu, przypominającym szarozielone jezioro o perlistym świetle, dni, kiedy wiatr wzbijał wodną mgiełkę z dzikich fal w zimnym słońcu, dni upływu krwi miesięcznej, dni poświęcone świętym - wszystkie te dni przemijały, Geruta zaś czuła, że umykają cichaczem, unosząc z sobą jej życie, choć przez cały ów czas zajmowała się czynnościami i obowiązkami przystojącymi skandynawskiej królowej, pomocnicy nadobnego króla o płowych włosach, który w miarę upływu lat stawał się coraz bardziej godny podziwu i coraz bardziej obcy, jak gdyby potężniejąc, oddalał się od niej.

- Młot - Feng zwrócił się do Geruty. - Kiedyś zwałem go Młotem. Był tępy, ale umiał zdzielić człowieka w łeb.

Tak właśnie, niby uderzona w głowę, czuła się Geruta w dni, które następowały po miłosnych zbliżeniach z królem - czuła się jakby wbita młotem w stan błogiego poddania,

wtłoczona w ziemię, przybita. Feng, brat Horwendila, powrócił z awanturnicznych podróży na południe Europy, gdzie oddał tym razem swój miecz, pikę i obrotny język na służbę władców Genui, walczących od dawna z Pizą o panowanie nad Korsyką i Sycylią.

- Morze Śródziemne jest tak ciepłe, że człowiek może w nim pływać z prawdziwą przyjemnością, o ile nie poparzą go na śmierć pewne przezroczyście stworzenia wodne, kształtem przypominające dzwonki - wyjaśniał Feng Gerucie. - Za morzem leży Afryka, gdzie muzułmańscy poganie doskonalą się w wyrafinowanych torturach i kultywują swe obrzydliwe zwyczaje, na wschodzie zaś rozciąga się cesarstwo dziwacznych, orientalnych chrześcijan, którzy wystawiają armie, by spierać się o obecność bądź brak litery „i” w pewnym greckim terminie teologicznym, a ponadto pozwalają swoim księżom brać żony i nosić brody. W następnej kolejności tam właśnie chciałbym pojechać. Ich szlachta, zamiast wymachiwać maczugą i mieczyskiem, jak w naszych zacofanych krainach północy, woli posługiwać się sztyletem. Słyszałem także, iż ludzie ci wynieśli na wyżyny sztukę trucicielstwa. Powracający z wypraw krzyżowcy i ich jeńcy przywożą do Genui wiele różnych podstępnych azjatyckich zwyczajów, a także znaczne bogactwa i przemysłne wynalazki. Spodobałyby ci się ziemie położone na południe od Alp, Geruto. Są zielone i górzyste, a każde leżące na szczycie wzgórza miasto wadzi się z innymi, przysparzając nieustannej roboty nam, wędrownym wojownikom. Jest w tych krainach coś drogiego i fantastycznego, czego nie widzi się na naszych mglistych bagnach czy raczej w bagiennych mgłach. Tamtejsze miasteczka osadzone są w skałach w nad wyraz zadziwiający sposób, na każdy szczyt wiodą tarasy wykute w zboczach, a mieszkańcy, o ciemniejszej cerze niż my, obdarzeni są łagodną, inteligentną naturą, pogodni i biegli we wszelkich rzemiosłach.

- Przypominam sobie owalną srebrną patelnię z dziwnymi, głębokimi, liniowymi wzorami, wyrytymi na szerokim obrzeżu - powiedziała Geruta. - Przesłałeś nam ją na ślub, na którym nie mogłeś być.

- Żałowałem tej nieobecności. Sądziłem, że nikomu nie będzie mnie brakować.

- Mnie ciebie brakowało, choć nie widzieliśmy się, odkąd byłam dzieckiem, kiedy od czasu do czasu zaszczyciłeś mnie spojrzeniem. Często myślałam o tym, jakim cię wtedy postrzegałam. Brat męża jest zawsze postacią wzbudzającą zainteresowanie, stanowi bowiem jego inną wersję... Jest jakby jego odmianą, dokonaną podług ko lejnego losowego rzutu kości.

- I los sprawił, że zawsze widziano we mnie gorszą wersję brata - odparł Feng z niejakim zniecierpliwieniem. - Dlatego wyjechałem tam, gdzie nie można było przeprowadzać podobnych porównań. Wydawało mi się, że zaślubiny Horwendila z córką

króla Roryka będą stanowić jeszcze jedną okazję, by na moją niekorzyść zestawić ze sobą nasze przeznaczenie.

Geruta pomyślała, że ten człowiek przemawia z fascynującą swobodą, w sposób wyzywający zarówno wobec niej, jak i siebie samego. Wysławiał się z łatwością, intrygująco urozmaicając prędkość wypowiedzi, albowiem słowa najpierw tańczyły, a potem zawisały mu na wargach, które nie były ani wąskie i ściągnięte, jak usta Horwendila, ani też grube i oślizgłe, jak dolna warga Korambusa, lecz różowe i kształtne, a przy tym posiadały dokładnie tyle ciała, ile trzeba, niczym usta kobiety, choć nie były ustami w pełni niewieściami. Wargi Fenga nie wyglądały na wyrzeźbione, jak wargi Horwendila, lub na niestarannie odlane, jak wargi Korambusa - sprawiały raczej wrażenie wymodelowanych pełnymi miłości i starannymi palcami. Feng miał głos niższy niż Horwendil i posługiwał się nim o wiele lepiej, niby wspinałym, mistrzowsko nastrojonym instrument. Brat Horwendila odznaczał się ciemną karnacją, choć nie wiedziała, czy był to jej naturalny - odcień, czy może ogorzała dzięki długiemu pobytowi w południowych krajach. Był także o cal lub dwa niższy od króla, toteż Geruta niemal dorównywała Fengowi wzrostem.

- O ile dopisuje mi pamięć, osiemnaście lat temu dyplomaci Świętego Cesarstwa Rzymskiego wysłali mnie do królestwa Aragonii, gdzie na straganach stojących na tyłach katedr sprzedawano towary, pochodzące z nielegalnego handlu z emiratem Granady. Były to przedmioty wytwarzane fanatycznie cierpliwymi dłońmi niewiernych - powiedział Feng. - Wzory, które zauważyłaś na paterze, to pismo, biegnące w odwrotną stronę niż nasze, mówiące zaś, jak mi się zdaje, że nie ma innego boga nad Allaha, a pewien handlarz wielbłądów imieniem Mahomet jest jego prorokiem.

Głos szwagra Geruty stał się suchy, gwałtowny, a zarazem nacechowany flegmatycznością szyderstwa, Feng spowalniał, bowiem niektóre zdania, jak gdyby chciał je wzniesić pod światło ironii. Włosy miał czarne, krótko przystrzyżone i sterczące; podtrzymywały je po bokach sztywne pasemka siwizny. Nad jedną ze skroni królewskiego brata widać było połyskliwe wgniecenie, zdradzające ślad po wygojonej ranie, a porastające bliźnię włosy były zupełnie siwe, co nadawało jego fryzurze jakby łaciaty wygląd. Oczy miał mniej intensywnie błękitne i nie tak podłużne jak oczy Horwendila - były raczej brązowe i nieco skośne, o niebywale grubych rzęsach, jakby pociągniętych czernidłem, którego używają aktorzy. Nos Feng miał haczykowaty, z chciwie rozdętymi nozdrzami, jak nozdrza Roryka. Choć młodszy, sprawiał wrażenie starszego i bardziej spracowanego od Horwendila. Wyglądał ni czym zakonserwowany w roztworze ołowiu. Gerucie podobały się bruzdy, jakie zmienna aura i trudy podróży wyżłobiły Fengowi w przypominającej rzemień skórze, i

podobało się jej, że ma zniszczoną twarz, w której widniały zarysy zwiężłych ścięgien oraz wgłębienia i wypukłości mięśni. Był obdarzony żyłastą żywotnością człowieka, któremu udało się zrzucić więzy moralności. Wyczuwała, że potrafi swobodnie kłamać i oszukiwać ludzi, których kocha, ale to jej od niego nie odstręczało. W oczach duszy królowej ta cecha nadawała wnętrzu Fenga charakter, przypominający pobrużdżoną, pooraną fakturę jego twarzy. W miarę jak Hnrwendilowi przybywało lat, jego aparycja wydana została na pastwę skłonności trapiących wszystkich mężczyzn o jasnej cerze i delikatnej skórze. Mięsisty koniuszek nosa stał się różowy, powieki obwisłe, a pulchności na szyi, szczękach i policzkach króla nie była w stanie przesłonić pstrokata, kędzierzawa ruda broda, do której zapuszczenia Geruta zdołała go na mówić, gdy miała jeszcze wpływ na męża.

Feng dobiegał czterdziestego siódmego roku życia.

Po legendarnym już zwycięstwie nad Koilem, Horwendil powiększał i umacniał swój stan posiadania oraz władzę królewską, podczas gdy jego brat wyruszył na południe, podróżując po leśnych traktach i rozpadających się drogach, zbudowanych niegdyś przez Rzymian. Niedawno powrócił do Danii, by w miarę możliwości odwrócić proces upadku swoich zastawionych dóbr w Jutlandii, które grabili zarówno jego sąsiedzi, jak i nadzorcy. Na dobitkę chłopów Fenga nękały ostatnio zarazy i nieurodzaje. Przemieszkawszy kilka miesięcy w posiadłości, którą darował mu Roryk, Feng zapragnął zagrzeć miejsce na królewskim dworze swego brata, musiał zatem zapewnić dach nad głową swojej - złożonej głównie z cudzoziemców - gwardii przybocznej, a także koniom i giermkom, co odbywało się stopniowo, z upływem kolejnych dni. Horwendil szemrał, Feng bowiem okazał się niepospolicie tęgim birbantem - pił bez umiaru, choć upojenie zdradzał jedynie wyjątkową powściągliwością ruchów. Powiadano, że pod koniec uczy polował zawsze na dziewczki służebne, ale nie wzbudzało to w Gerucie należytego obrzydzenia do szwagra. Po śmierci Ony podobnym zwyczajom hołdował także i Roryk. Jak się teraz okazało, Feng również miał kiedyś żonę, Lenę, kobietę wywodzącą się z Orkadów, którą pojął niedługo po zaślubinach brata. Geruta słyszała, że skóra Leny była jasna, niemal przezroczysta, a włosy tak cienkie, że opadający jej na plecy kosmyk można było zwinąć w kółeczko nie grubsze od ślubnej obrączki. Ponoć Feng nosił taki kosmyk, przyszpilony pod tuniką na wysokości serca. To Herda powtarzała - królowej te plotki służby, spostrzegłszy, że jej pani interesuje się Fengiem. Podobno Lena nie umarła na żadną znaną chorobę, a jedynie z powodu swojej nieziemskiej urody i dobroci, dlatego też nie zdążyła urodzić dziecka. Wiele zacnych kobiet oddawało ducha bardzo młodo, jak gdyby przedwczesna śmierć była szczególną przypadłością tych zdrożnych, diabelskich czasów, w jakich przyszło żyć Gerucie. Mimo woli

zastanawiała się czasem, czy jej niezachwiana żywotność nie jest oznaką braku cnotliwości albo jakiegoś niewypowiedzianego paktu, jaki zawarła ze złem. Królowa miała już trzydzieści pięć lat i wszyscy prócz niej uważali, że jest stara.

W towarzystwie Geruty Feng zachowywał się nienagannie, a nawet zdawał się bojaźliwie unikać jej dotyku, kiedy odruchowo wyciągała rękę, żeby oczyścić mu rękaw albo poklepać grzbiet jego dłoni w geście wymuszonej wdzięczności za jakąś wyjątkowo malowniczą lub zabaw ną anegdotę czy błahostkę, przywiezioną z takiego bądź innego zakątka barwnej, wspaniałej Europy. Nie przywykła do rozmów z mężczyznami, a już zwłaszcza z takimi, którzy chcieli słuchać, co Geruta ma do powiedzenia. Horwendil i Amlet mieli w zwyczaju odchodzić od niej, nim dokończyła zdanie, żeby omawiać swoje męskie sprawy albo snuć jakieś skryte plany i rachuby.

- Zdaje się, że towarzystwo mojego brata sprawia ci przyjemność - zauważył Horwendil, kiedy znaleźli się w wysokiej, pełnej przeciągów sypialni. Głos miał obojętny i cienki, po stoicku dokuczliwy.

- Bo prawi mi o krajach, których nigdy nie odwiedzę, nie ciesząc się swobodą przysługującą mężczyznom. Feng opowiada, że w Wenecji pałace stoją na wpuszczonych w morze drewnianych palach, na ulice wdziera się woda, mężczyźni zaś i kobiety spacerują po mostach przypominających schodki i używają łodzi, tak jak my w Danii koni i powozów. Ponoć w Kastylii deszcz pada tylko wiosną, kiedy zbocza wzgórz czerwienią się makami, we Francji zaś każde miasteczko wznosi poświęcony Marii Dziewicy kościół wielkości góry.

- Takich ciekawostek możesz się dowiedzieć ze swoich romansów, skąd zresztą być może zaczerpnął je sam Feng. Kiedy był chłopcem, przysparzał matce i ojcu wielu zmartwień niepoprawną skłonnością do kłamstwa. Mój brat jest jednym z tych pod wieloma względami utalentowanych i oczywiście czarujących ludzi, którzy wierzą, że skarby życia można zdobyć, podążając na skróty, czyli unikając cierpliwej pracy i wierności swoim obowiązkom. Feng to mój brat, więc wskutek więzów krwi, które nałożył nam Bóg, powinienem go miłować i przyjąć pod swój dach, ty jednak nie musisz być aż tak wylewnie gościnna, jak jesteś. Książę zauważył wasze schadzki i martwią go one.

W trakcie rozmowy Geruta pomagała królowi zdjąć turniejową zbroję: rozpiniała niezliczone zatrzaski i zapinki, a potem rozwiązywała zasupłane rzemienie, pod trzymujące kolejne warstwy lśniącego pancerza. Ostatnimi czasy miecze stawały się ostrzejsze, a strzały coraz chyźsze, toteż plecione kolczugi ustępowały miejsca pancerzom. W elastycznej zbroi, złożonej z zachodzących na siebie łusek, Horwendil przypominał pękatego, połyskliwego trytona. Kiedy z pomocą Geruty zdejmował poszczególne elementy pancerza, objętość jego

torsu stopniowo zmniejszała się, ukazując w końcu dość żałosne i pokurczone ciało, choć z biegiem lat Horwendil znacznie przytył.

Odziana w koszulę nocną z surowej wełny, Geruta podała koszulę nocną mężowi, a kiedy jego ramiona walczyły z fałdami materii, rzuciła odpowiedź w kierunku zakutanej, niewidocznej głowy Horwendila.

- Zdziwiał mnie, że książę był łaskaw zauważyć cokolwiek z tego, co robię - powiedziała ostro. - Od wczesnego dzieciństwa zawsze mnie unikał, jak gdyby chciał jeszcze bardziej zbliżyć się do ciebie. Ta część jego duszy, która należy do matki, przysparza mu cierpień. Kiedy doniesie ci następnym razem, że coś wzburzyło jego wrażliwe uczucia, możesz mu podpowiedzieć, żeby sam okazywał stryjowi więcej uprzejmej uwagi. Bardzo możliwe, że Feng nie dba o moje błahie kobiece towarzystwo, ale to wszystko, co mu się tu oferuje, jako że ty i Amlet zawsze staracie się przebywać w innej części zamku, z dala od niego, lub wypuszczacie się razem, żeby dokonać jakiejś zbytecznej grabieży.

- Trzeba, by chłopiec nauczył się żyć jak mężczyzna i król - odparł Horwendil irytującym tonem ponurego spokoju, który przybierał zawsze, kiedy przemawiał z pozycji najwyższej władzy Publiczny wizerunek, jaki sobie wyrobił, zdawał się Gerucie męczący i niesłuchanie pusty. Władza królewska trawiła Horwendila od wewnątrz nawet wtedy, gdy przedzierzgał się w prywatną osobę, odzianą w koszulę nocną. - Amlet opuści nas przed upływem roku, by podjąć studia na cesarskich ziemiach, gdzie nowożytne oświecenie umysłów, kierowane natchnionymi naukami Ojców Kościoła, osiąga wyżyny przesłaniające nawet wiedzę starożytnych.

- I w Danii mamy mądrych nauczycieli. Nie widzę powodu, żeby skazywać nasze jedyne dziecko na wygnanie.

- Książę nie jest jedynakiem, dlatego, że takie było moje życzenie.

- Ani moje, panie.

- Z radością powitałbym całą gromadkę dzieci, by zapewnić rozkwit naszemu królewskiemu rodowi.

- Nie uchylałam się od obowiązków małżeńskich, choć pierwszy poród okazał się dla mnie złowieszczo ciężki. Mimo to byłam gotowa znów stawić czoło cierpieniu, by zapewnić ci kolejnych następców.

- Kobiece łono jest wyznaczonym z góry miejscem spotkania, w które pierwiastek męski jedynie przenika - pouczał Horwendil. - Być może niechęć, z jaką odnosiłaś się do zamążpójścia w młodym wieku, zwarzyła twe soki płodności. Bo nasienia im nie brakowało.

Szarozielone oczy Geruty rozbłysły niczym liście topoli przed burzą.

- A może raczej twoje nasienie posiane zostało w takim chłodzie ducha, że nie zdołało rozniecić płomienia w chętej glebie, w którą często padało?

Oblicze Horwendila zmieniło się - pokryła je najpierw bladość, a następnie rumieniec. Król postąpił krok naprzód, jak gdyby chciał objąć żonę. Wyglądał niczym kudłaty mur, w którym nagle uczyniono wyłom.

- Och, Geruto - zadyszał.

- Nigdy nie byłem dla ciebie chłodny. Nie bywam chłodny i teraz, choć od naszej nocy poślubnej minęło osiemnaście lat.

- Zasnąłeś wtedy.

- Chcąc oszczędzić ci widoku pijanego prostaka. By oddać ci lepszego, porannego siebie.

W hołdach Horwendila było coś pradawnego, co przypominało Gerucie rozbrzmiewającą kiedyś nad jej kołyską dawną, dziś zapomnianą mowę Marlgar; kazało to królowej żałować gniewnych wybuchów.

- Wybacz, mój mężu. Nie umiałabym wyobrazić sobie mężczyzny, który służyłby mi godniej i z większą miłością, niż ty.

A jednak umiała - w chwilach, gdy spoczywała obok chrapiącego cielska Horwendila, albo przed południem, kiedy unosiła wzrok znad pergaminowej stronicy jakiejś chanson de geste, oglądając w myślach pełną blasku doskonałość Cyda lub Rolanda, chrześcijańskich bohaterów, przyodzianych w zbroje, które przylegały do ich szczupłych ciał niczym połyskliwa skóra. Wtedy przez wąskie, spiczaste okienko alkierza oczy Geruty witały wody Sundu o barwie żółci oraz ponury, przyzywający ją pas ziemi - Skanię.

Listopad, nawet późny listopad, kiedy na drzewach nie ma już zwiędłych liści, a poranne mrozy odzierają dzikie astry na powrót do nagich łądyg, niesie czasem nieoczekiwanie ciepłe dni, i w taki właśnie dzień Feng zaprosił Gerutę, żeby złożyła wizytę w jego posiadłości. Król wyjechał, więc królowa zaproszenie przyjęła. Ruszyli w drogę w asyście swoich świt, Geruta zaś siedziała na koniu bokiem, ponieważ poddani nie powinni oglądać władczyni z zadartą spódnicą. Czuła, że wierzchowiec, którego dosiada, młody kasztanowaty ogier, jest spięty i niespokojny, a jego mięśnie i ścięgna napinają się tak mocno, że mózg, tkwiący w wielkiej, długiej czaszce konia, nie jest w stanie dłużej ich kontrolować. Gerucie zdało się przez chwilę, iż sama znajduje się wewnątrz końskiej czaszki i pa trzy jednocześnie w dwie różne strony, ale widoki nie zlewały się w jeden. Słońce kładło się jak emalia na szarych gałązkach, kiedy jechali rozciągniętym orszakiem przez ścierniste

poła, wystawieni na rozgrzewające zapachy krowiego nawozu, spadłych, gnijących owoców, suszonego w słońcu siana i dymiącego torfu. Ciemne, przypominające ławice ryb cętki rozpościerały się wachlarzem na lśniącej bieli nieba niby rozżarzona tkanina, pocięta na porozrzucane wokół strzępy, gdy konie uniosły jeźdźców w - brzozowo-sosnowy zagajnik, a potem znowu na otwartą przestrzeń, na grzbiet wzgórza przy zapomnianej kapliczce, poświęconej Najświętszej Dziewicy i skrywającej stos gipsowych szczątków, z których część malowana była niebieską farbą. Ziemia po obu stronach grani ciągnęła się w spłachetkach rozmaitych odcieni, w zależności od plonów, jakie rodziła. Miejscowi dzierżawcy zazdrośnie uprawiali każdy skrawek marnego lenna, zaznaczając granice swych poletek stożkowatymi kopcami.

Wszystko to Geruta oglądała i rejestrowała jednym tylko okiem - drugim zaś widziała samą siebie, w rdzawym płaszczu podróżnym i haftowanej zielonej szacie, odsłaniającej jedynie spiczaste czubki sięgających kostek trzewików z łosiowej skóry. Pod opieką brata swojego męża królowa sunęła swobodnie przez tę niecodzienną dla niej przygodę, wpływając na ziemię, która była dotąd dla niej głównie widokiem, oglądanym przez wyposażone w szerokie parapety okna zamku, należącego najpierw do jej ojca, a teraz do małżonka.

Życie córki Roryka, oglądane introspektywnym spojrzeniem, przypominało kamienny korytarz o licznych oknach, pozbawiony jednak choćby jednego portalu, wychodzącego na zewnątrz. Horwendil i Amlet byli bliźniaczymi strażnikami z ramienia właściciela owego korytarza, na jednym końcu, którego, za ciężką kratą, leżała śmierć. Śmierć, koniec i brama natury, wiodąca, jak głosili kapłani ukrzyżowanego Boga, do innego, stokroć wspanialszego świata. Lecz czyż mógł istnieć jakiś świat wspanialszy nad świat ziemski, ze swoim precyzującym, konturowym światłem, niezliczonymi przedmiotami i widokami, przepełniony odgłosami życia i ruchu? Wzdłuż drogi w wioskach ustawiały się szeregi chłopskich dzieci, by obserwować przejazd królewskiego pocztu. Były skazane na los niewolniczych następców swoich rodziców, uprawiających spłachcie nie należącej do nich ziemi, lecz teraz, przez chwilę, odczuwały wolność, gawroniąc się, jak to dzieci, i wiwatując szczerze na cześć królowej. Na cętkowanym niebie stado szpaków napastowało sokoła - ptaki pikowały, nurkowały i zlorzeczyły sokołowi z góry, a samotny drapieżnik umykał, kwiląc żałośnie.

Feng skierował swojego konia - smukłego czarnego araba w oryginalnej genueńskiej uprzęży, osiodłanego na genueńską modłę - bliżej niesformego wierzchowca Geruty.

- Mój brat jest dobry - powiedział, jak gdyby spoglądając z góry w zwrócone do wewnątrz, w głąb duszy, oko królowej. - To dobry człowiek. A wcześniej był dobrym chłopcem. Zawsze wystawiał swoją odwagę na próbę. Bywało, że samotnie spędzał na

wrzosowiskach całe noce, by hartować bojowego ducha. Dokonywał też drobnych samookaleczeń, wypytywał ojca o sztukę wojenną i chciał się dowiedzieć, jak zostać nieustraszonym wodzem. Wydaje mi się, że czasem chyba nawet zanudzał naszego starego. Gerwindil był bezbożnym grubianinem, który nie potrafił nic przedsięwziąć, nie wychyliwszy najpierw, co najmniej trzech pucharów miodu. Swoich najbardziej bohaterskich czynów dokonywał w tak głębokim upojeniu, że musiał najmować bardów, aby usłyszeć od nich, kogo właściwie pokonał. Teoretycznie był chrześcijaninem, ale po prawdzie, nie miał żadnego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wiedział, kim byli Żydzi ani jaki grzech popełniła Ewa. Religia oznaczała dla niego kamienny krąg i dwunastu jeńców, którym można było wypruć flaki. A jednak i on pokłonił się szaleństwu nawróceń i wpuścił chrześcijańskich księży do Jutlandii. W zamku roilo się od nich, a ja i mój brat cały impet ich nauk przyjęliśmy na siebie. Żaden z nas nie potrafił uwierzyć im do końca, choć uwierzyliśmy na tyle, by po czuć się triste.

- Czy nadal czujesz się triste? - zapytała Geruta.

W duchu powiedziała sobie, że wcale nie, dlatego o to pyta, by flirtować z Fengiem, lecz raczej z ciekawości - uznała jednak, że również ciekawość może być formą flirtu. Feng ją interesował, więc chciała się dowiedzieć, dlaczego tak często uciekał daleko od Danii.

- Nie jestem triste, gdy moje oczy widzą pewną damę - odparł.

- Damę?

Serce Gerutv zabiło z zazdrości. A zatem Feng znalazł następczynię prześlicznej Leny z Orkadów. Horwendil nigdy nie byłby zdolny do tak abstrakcyjnego oddania - to, czego nie mógł bezpośrednio uderzyć, wyruchać albo przechytryć, w ogóle dla niego nie istniało.

- Która musi pozostać bezimienna.

- Oczywiście - odpowiedziała Geruta.

- Takie są reguły gry.

A czy owa dama świadoma jest twego uczucia?

- Myślę, że i tak, i nie.

Poza tym moja tristesse rozwiewa się jak mgła, gdy bawię w jakimś mieście, w którym dotąd nie byłem - rzekł Feng, niedwuznacznie zmieniając temat rozmowy. - Ale takich miast zaczyna już brakować, chyba, że wyprawiam się do Bizancjum albo ryzykuję, że zostanę schwytyany w przebraniu gdzieś w krainie chana tu Złotej Ordy.

Wjechali właśnie na teren posiadłości Horwendila. Na końcu alei porośniętej bezlistnymi teraz topolami Geruta ujrzała znów dworzyszczę Odinsheim. Przyjechała tutaj w swoją noc poślubną, ale kobietą stała się dopiero następnego ranka. Kilka osób ze świty

odłączyło się od nich, by zasięgnąć języka o wysokości plonów i należnej z nich królowi daninie. Reszta orszaku podążyła dalej, do dworu Fenga, zwanego, Lokisheim, który Geruta widziała kiedyś z oddali, nigdy jednak od wewnątrz.

Fasada budowli okazała się równie szeroka, jak w Odinsheim, ale dom Fenga był o jedną kondygnację niższy i wzniesiony z surowych desek i drewnianych bali, nie zaś z kosztownej i rzadko spotykanej żółtej cegły. Słyszeli, że służba rozbiega się po całym domu niczym myszy, które zwęszyły kota. Czeladź zbyt długo ociągała się jednak z rozpaleniem w kominku, więc zimne szczapy trzeszczały teraz i dymiły w ogniu. Wnętrze domostwa zdradzało wojskową rzekomo surowość, mającą pokryć uchybienia niedbalstwa. Na ścianach i w nieostłoniętych gablotach widniały rozmaite pamiątki z europejskich wojaży Fenga, jak zakrzywiona szabla z wysadzaną klejnotami rękojeścią, jakiś dziwaczny przyrząd, złożony z mosiężnych kul, tkwiących jedna w drugiej, przy czym ostatnią, wewnętrzną kulę zdobił wydrapany na powierzchni tajemniczy wzór z gwiazd, oraz dwie długie halabardy, skrzyżowane nad prymitywnie rzeźbionym kufrem z żelaznymi klamrami w kształcie skaczących ryb.

- Oto burgundzki topór, a to halabarda bawarskiej roboty - tłumaczył Feng z nerwowym ożywieniem, zauważywszy, że śmiercionośne groty i wymyślne krzywizny ostrza halabard przykuły wzrok Geruty. - Niemcy z Bawarii nauczyli się przeróżnych sztuczek od mieszkańców północnych Włoch. Te dziwne krzesła natomiast pochodzą z Wenecji. - Feng podniósł jedno z siedzisk i zamknął je niczym nożyce, a potem znów otworzył. - Są składane. Listewki przeplatają się, podobnie jak nici na warsztacie tkackim. Za granicą pojawiają się różnorakie mądrości, a ludzie coraz mniej ufają tam Bogu. My, Duńczycy, jesteśmy zacofani - zimno nas konserwuje, ale i ogłupia.

Feng ustawił rozłożone krzesło, przypominające kształtem literę X, w pobliżu leniwie rozpalającego się ognia, po czym podłożył Gerucie poduszkę z zielonego aksamitu. Kiedy królowa usiadła, Feng przysunął sobie drugie z weneckich krzesel na tyle blisko niej, żeby nie podnosić głosu nad hałas, jaki czynili słudzy rozstawiający na stole misy, talerze, noże, łyżki i tace, wypełnione potrawami, składającymi się na południowy posiłek.

- Dobroć Horwendila zawsze mnie przytłaczała - ciągnął dalej Feng, kontynuując rozmowę, którą toczyli przedtem na końskich grzbietach. - Był niby poduszka, którą wciskał mi w twarz. Jak odpowiedź na niezadane pytanie.

- Powiedziałaś kiedyś o nim, że jest za mało subtelny, czym bardzo rozgniewałam ojca - zwierzyła się w rewanżu Geruta.

- Subtelność nie weszła jeszcze w modę w Danii - powiedział Feng - zaczyna jednak powoli ogarniać Europę. Przez tysiąc lat byliśmy wszyscy wieśniakami Boga, którzy w pocie czoła kopali i orali ziemię pod najniższymi z chmur. W Rzymie, którego mały, obrotny biskup twierdzi, że jest pasterzem nawet naszych tępych owiec w jałowej Jutlandii, widziałem kiedyś zadziwiająco podobną do prawdziwej marmurową dłoń; wychynęła ona z ziemi w miejscu, skąd chłopci kradli ciosane płyty kamienne, by kleić z nich swoje prymitywne chaty. W Paryżu natomiast uczeni mnisi rozmiłowali się w myśli pewnego starożytnego maga imieniem Arystoteles. Jeden z tych scholastyków zapewniał mnie, że Boga i Jego niebiańskich tajemnic nie trzeba już dłużej przyjmować na wiarę, można, bowiem dowieść ich istnienia z taką samą precyzją, jak zasad budowy trójkątów. - Podenerwowany nie wiadomo, czemu Feng mówił za szybko, spoglądając tylko ukradkowo na Gerutę.

- Obawiam się, że taka możliwość oznaczałaby odrzucenie naszego nieszczęsnego człowieczeństwa - ośmieliła się powiedzieć z namysłem królowa. - A w takim wypadku Bóg nie powinien był zsyłać nam swego Syna, lecz jakiś teoremat.

To niemal bluźnierstwo ściągnęło na nią rozszerzone oczy Fenga, smakowicie ciemniejsze niż Horwendila. Miały kolor brązu ziemi rozgniecionej z trawą, jak pozostałość aktu stworzenia albo jak oczy Ewy, w którą Bóg tchnął życie w drugiej kolejności.

- W takim razie powiedz mi, Geruto, w co ty wierzysz? Sądzę, że twój ojciec był nie głębszym konwertytą niż mój. Obaj żyli i zabijali z niewinnością zwierząt.

- Żyli tak, jak nakazywał im instynkt zachowania życia, rozkosze i konieczności codziennego dnia. Wierzę - ciągnęła dalej - w to, w co każą mi wierzyć mężczyźni, stojący wyżej ode mnie. Poza wyznaniem ich wiary społeczność nie zapewnia kobiecie ani krzty bezpieczeństwa. A w co ty wierzysz, mój bracie?

Feng nie był jednak jej bratem. Odpowiedział tak szybko, że Geruta zamrugła powiekami.

- Wierzę, że ludzie mogą być potępieni - rzekł. - Ale nie jestem pewien, czy mogą dostąpić zbawienia. Pokażę ci coś, moja łagodna Geruto, kiedy skończymy ucztę. Coś przepięknego, co wystawi wszystkie nasze myśli o dobru i złu na łaskę zdrowego rozsądku.

Jedzenie nie było wyszukane, ale tym smaczniejsze - wędzone mięsiva okazały się słone, a jesienne owoce soczyste i chrupiące. Najpierw, by rozgrzać królewską świtę po dwugodzinnej podróży, służba wniosła polewkę w drewnianych misach, pachnącą najsilniej kapustą i królikiem. Polewka dniem i nocą gotowała się w żelaznym kotle, cięższym od dorosłego człowieka. Następnie podano płaty peklowanej szynki na zimno, kęsy marynowanej w miodzie gęsiny, solone śledzie i dorsze, krojone w wykwintne paski, by

ułatwić spożywanie ryby, a potem suche, ostro przyprawione kielbaski, na które duńscy chłopcy mieli osobną, nieprzyzwoitą nazwę. Dalej szły gotowane i suszone szparagi, przypominające wszystkim czas letnich zbiorów warzyw, a następnie karczochy i figi, moczone dla smaku w winie. Na deser i zakończenie posiłku wśród uczujących zaczęła krążyć taca z daktylami i łuskanymi migdałami, a owe egzotyczne smakołyki zdawały się potwierdzać upodobanie Fenga do cudzoziemszczyzny. Kompania współbiedników i krzepiący ogień rozproszyły rychło chłód w niskiej sali, aż w końcu atmosfera pod poczerńniętymi belkami sufitu stała się wręcz duszna.

Królowa wraz z innymi kobietami jadła przy odległym krańcu długiego stołu, aby niewieścich uszu, zabezpieczonych wprawdzie ciasno przylegającymi czepcami, nie skaził rozwiąły, męski humor, rozluźniony miodem i warzonym na chmielu piwem. Mimo iż Feng zdawał się tak pochłonięty coraz gwarniejszą dyskusją wśród mężczyzn, że nie spojrzał na Gerutę ani razu, przyszedł później po nią na drugi koniec stołu, miażdżąc jeszcze w zębach swój deser, czyli czerwone, pokryte żółtymi smugami jabłko. Brat Horwendila zęby miał nierówne, ale mocne i wszystkie na swoim miejscu, nie znał zatem upokarzających bólów i ekstrakcji pozostawiających szczyrby w ściągniętych ustach króla, który ostatnio uśmiechał się jeszcze mniej chętnie niż zwykle.

Feng poprowadził Gerutę na dwór, przez podwórzec, którego zmrożone bruzdy lśniły odwilżą południowej godziny, w kierunku długiego, krytego słomą budynku. Po dobiegających z niego szelestach i trzepocie domyśliła się, że jest to ptaszarnia. Gdy szli przez dziedziniec, gawrony, które obsiadły zwieszające się nad Fengiem i Gerutą dęby, zaczęły krakać zgodnie na znak sprzeciwu i zaniepokojenia. Gerucie zdało się, że ptaki czynią tak przenikliwy harmider, jak gdyby ktoś nagle ściągnął jej z uszu zasłonę.

Do ptaszarni wiodły zaledwie pojedyncze drzwi, wysokie na tyle, by mógł się w nich zmieścić przygarbiony mężczyzna. Feng, choć niższy od Horwendila, musiał schylić głowę, podobnie jak dostojna Geruta. Pod nie pewnymi stopami królowej zgrzytał piach i żwir, którym wysypane było klepisko ptaszarni. Panujący wewnątrz mrok nakazał jej się zatrzymać. Nozdrza Geruty zaatakował odór padliny i ostra woń kału skrzydlatych mięsożerców.

- Musi minąć chwila, zanim nasze oczy przywykną do ciemności - odezwał się cicho stojący u jej boku Feng, chyba nie chcąc zrywać otaczającej ich pajęczyny powściągliwych odgłosów, jak szelest sztywnych niby zbroje piór, drapanie zabójczych szponów po żerdkach, irytujący brzęk dzwonek i mowa ptaków, przypominająca pomruk stłumionego łkania, różniącą się zatem jak niebo i ziemia od wysokiego, przeraźliwego krzyku drapieznika w

locie, który wspina się w górę powolnymi kręgami, by później, pikując, zaatakować ofiarę z wysoka.

Półmrok rozjaśnił się, wydobywając z ciemności szczegóły wnętrza: klatki plecione z utwardzonej łożyny, zbielejące od ptasich odchodów żerdki, zapasowe pęta i arkany wiszące na ścianach oraz blade niczym upiory, pierzaste kaptury, utrzymujące ptaki w sztucznej, obezwładniającej ślepoty. Sokolnictwo zawsze wydawało się Gerucie okrutną metodą polowania, wykorzystywało, bowiem dzikie zwierzęta, perwersyjnie przekształcając nieskrępowaną naturę w narzędzie ludzkiej rozrywki. Łowy z sokołami napełniały królową obrzydzeniem, od czasu, kiedy ojciec po raz pierwszy pokazał jej ptaszarnię w Elsynorze, budynek o bezpiecznie zakratowanych oknach, wspaniała niby kościół, w którym pozwalano ptasim stadom fruwać tam i z powrotem w wysokiej, pasiastej od słońca przestrzeni.

Natomiast w ciasnej i obskurnej ptaszarni Lokisheim Geruta spostrzegła ubóstwo, Fenga, które i on musiał odczuwać, porównując swój majątek z bogactwem króla. Teraz, kiedy widziała już wszystko wyraźnie, naliczyła we wrakach zbutwiałych klatek zaledwie czworo ich żywych mieszkańców. Nic dziwnego, że tak wiele przemyślnych, od dawna nienatłuszczonych skórzanych utensyliów, służących sokolnictwu, zwiisało beczynnym z powleczonych pajęczynami kołków.

- Moje wyjazdy uszczupliły liczebność ptasiej świty - powiedział Feng. - Dawniej miałem pół tuzina ptaków i dwóch sokolników: pewnego starca i jego chromego wnuka. Czy znasz się na sokolnictwie, Geruto?

- Ojciec pozwolił mi kilka razy przyglądać się łowom, a mój mąż nie dał mi nawet tytułu sposobności. Horwendilowi polowanie z sokołem nie sprawia chyba uciechy, chociaż dba o królewską ptaszarnię, żeby zaimponować gościom splendorem tej rozrywki. Tuszę, że są mężczyźni, dla których sokolnictwo jest czymś w rodzaju religii. I tak jak w przypadku prawdziwej wiary, tu także kobiety nie otrzymują święceń kapłańskich.

- A mimo to jedynie samicę można zwać sokołem z prawdziwego zdarzenia. Samiec, czyli tercel, jest o jedną trzecią mniejszy i obdarzony, co najwyżej połową animuszu oraz przyrodzonej agresji samicy. Oto młody gnieźnik, schwytyany w sieć kilka dni temu i już, jak to się mówi, układany do łowów. Gnieźnik to ptak starszy niż pisklę, które wybiera się z gniazda, nim zdąży się opierzyć, młodszy zaś niżli dziwok, czyli w pełni opierzony dziki sokół, którego chwyta się w locie. Wybacz mi drobiazgowość, która tobie może zdać się pedanterią, lecz sokolnictwo jest jakby rodzajem nauki, wymagającej specjalnego słownictwa.

- Słyszałam te określenia - powiedziała Geruta.

- Tę dumną młodą piękność zwiemy Batszebą.

Geruta wyteżyła wzrok w nikłym świetle jedyne okienka, umieszczonego w ścianie ptaszarni naprzeciwko niskich drzwi wejściowych. Ptak wyglądał jak zwinięty rulon pergaminu, tkwiący w wydzierganej skarpecie; z jej jednej strony wystawała głowa, z drugiej zaś żółtawe łapy, skrępowane rzemiennymi pętami. Na łebku sokolicy widniała przypominająca czapeczkę czarna łata, a białe upierzenie pod oczami ptaka kryły wyglądające jak plamy inkaustu smugi, krwawiące z sokolich źrenic.

Geruta szeroko otworzyła oczy, żeby lepiej widzieć, i nagle przerażenie zaparło jej dech w piersi - powieki Batszeby były zaszyte mocnym, równym ścięciem.

- Spójrz na jej oczy - powiedział Feng, słysząc, jak Geruta wciąga głęboko powietrze, bo okryta białym czepcem głowa królowej nie była zwrócona w jego stronę. - Są, jak powiadamy, zasklepione. Dla jej własnego dobra, w przeciwnym wypadku oszalałaby, widząc, że może odzyskać wolność. Ma spiłowane szpony i przyczepione do nóg dzwonki, żeby sokolnik słyszał każdy jej ruch. Jest zdezorientowana, wrażliwa i nerwowa. By stała się partnerem dla człowieka, trzeba ją okiełznać, niczym dziecko, które zawija się w pieluchy, albo jak króla, który musi tkwić nieruchomo na tronie przez cały dzień, gdy odprawia się jakąś świętobliwą uroczystość. W sercu Batszeby tkwi swoboda niezmierzonej przestrzeni, my zaś, niby przez lejek, usiłujemy jakby wcisnąć ptaka do odpowiedniego pojemnika. Karmimy ją, Geruto... Żywi się mięsem zdobytym znacznie łatwiej niż pożywienie, które musiałaby sobie upolować, żyjąc w stanie dzikim. Ślepotą to łaska, która zapewnia jej bezpieczne ukojenie. Czy widziałaś kiedyś może, jak gęsiarek chcący schwytać gęś zarzuca jej pled na głowę, a wtedy ptak natychmiast nieruchomieje, niby owładnięty nagłym snem?

Głos Fenga brzmiał w uszach królowej usypiająco. Był jakby ziarnisty i przyjemnie szorstki.

- W podobny sposób mężczyźni zniewalają kobiety zaklęciami - odpowiedziała Geruta. - Czy oczy Batszeby zostaną kiedyś otwarte?

- Gdy tylko sokolnik uzna, że ptak może już nosić kaptur. Przyzwyczajają sokoła do brzmienia ludzkiego głosu, a także do ludzkiego dotyku i zapachu, przytłaczających subtelne zmysły tych ptaków. By uspokoić Batszebę, spryskuje ją wodą z własnych ust, nuci jej wciąż tę samą pieśń, nie sypia po nocach, nie pozwalając także spać swej podopiecznej, aż wreszcie sokolica podda się i zaakceptuje jego rękawicę jako naturalne dla niej miejsce spoczynku. Te cudowne stworzenia nie przypominają w niczym psów czy świń. A królestwo, które zamieszkują, nigdzie nie styka się z naszym, chyba że cierpliwie spleciemy powrósł i przyciągniemy je na nim w dół, ku sobie.

- Nieszczęsna Batszebą. Szkoda, że nie rozumie, jak wykrętnie objaśniasz jej niedolę. Spójrz, tam, pod żerdzią, leżą wypadłe pióra! Znów pozostanie naga, jak wtedy, kiedy król Dawid podglądał ją z dachu pałacu.

Królowa wyciągnęła rękę, w której trzymała brązowe piórko, zakończone białym, niby umocowanym w śmietanie czubkiem. Feng wyjął je uroczyście z różowego wnętrza dłoni Geruty i wsunął za pasek.

- Chodź, poznaj Jochebed, biblijną matkę Miriam, matkę matki Mojżesza - powiedział. - To białożór, sokół pochodzący z krainy wiecznych śniegów i lodów. Zmienia w ciągu roku upierzenie z brązowego na białe i odwrotnie. Teraz widzisz Jochebed po niedawnej zmianie piór na zimowe. Białożory są większe niż sokoły wędrowne - ciągnął Feng, któremu miłosny niepokój nakazywał szukać schronienia w pełnej animuszu postawie preceptora. - Batszebą to so kół wędrowny. Jochebed natomiast została przyuczona do polowania na żurawie na bagnach, obawiam się jednak, że wyszła z wprawy, podobnie jak jej pan. Jeśli nie przymuszać sokoła do ćwiczeń, powraca do stanu dzikości, szaleje w pętach, miota się wściekle, zawisa głową w dół, nie chce siedzieć na żerdce i nie spożywa nawet takich przysmaków, jak parująca jeszcze, świeża królicza wątroba.

Podczas tej przemowy Feng naciągnął na rękę skórzaną rękawicę, sięgającą niemal łokcia. Cmokając językiem i wicherząc pióra na białym karku Jochebed, skłonił zakapturzonego ptaka, by na spętanych łapach przydreptał z żerdki na przegub jego dłoni. Następnie wyniósł Jochebed na podwórzec, mówiąc coś do niej półgłosem. Samotne okno na drugim końcu ptaszarni wychodziło na wielką, opadającą ku dolince łąkę, której trawy poruszały żwawo białe poddmuchy wiatru i chyże cienie gradowych obłoków, grubszych i groźniejszych niż rano, kiedy jechali razem do Lokisheim pod pokrytym białymi cętkami niebem.

- Spójrz...Oto nadchodzi sokolnik - powiedział Feng.

Sokolnik imieniem Tord był starcem, pomarszczonym i zgiętym przez czas, lecz o szerokiej piersi, która, gdyby kiedyś wyrosły mu skrzydła, mogłaby utrzymać ich ciężar. Uchylił spiczastego pilśniowego kapelusza na powitanie swojego pana, królowej i białożora, jak gdyby i ptak należał do dostojnego towarzystwa. Feng wyjaśnił, że Tord i jego wnuk, Ljot, układają na skoszonym w pobliżu pasie łąki trzeciego ptaka, - czarno-rdzawego krogulca, zwanego Jezabel. Przyuczali go do polowania, wypuszczając drapieżcę na polne myszy, które chwytali w tym celu i okaleczali, wykręcając albo łamiąc im po jednej łapce, żeby nie mogły nazbyt szybko uciekać. Chcąc zabawić Gerutę, sokolnicy pokazali królowej, jak się to odbywa: Ljot, kulawy chłopak o chudych członkach, białych powiekach i mlecznym

spojrzeniu, wyciągnął z worka i wypuścił wolno rozedrgane, ciemnobrązowe ciało, które natychmiast zaciekle pomknęło naprzód, pod osłonę wysokich traw, podrygując i biegnąc zakosami, zostało, bowiem wcześniej okulawione.

Kiedy wydawało się, że mysz bezpiecznie osiągnęła schronienie, Tord wypuścił ptaka, który poszybował ku niej niby tchnienie mrocznego wiatru, zanurkował i w mgnieniu oka udusił nieszczęsne stworzonko, a potem rozluźnił szpony i upuścił mysz na ziemię.

- Krogulce nie pikują z dużej wysokości - tłumaczył Gerucie Feng. - Szybują nisko, podkradają się i chwytają ofiarę z zaskoczenia.

- I widać są tak syte, że nie pozerają zdobyczy - odpowiedziała królowa, spoufaliwszy się już z Fengiem na tyle, żeby pozwolić sobie na nutkę złośliwości.

- Jezabel pozostawia zdobycz opiekunom. Nauczono ją jeść tylko to, co poda jej ręka człowieka. A teraz zobaczysz, jak Jochebed poluje na żurawie.

Tym razem przynętę stanowiły dwa błękitne skrzydła żurawia, przewiązane rzemieniem. Chłopak wytargał ten niezgrabny przyrząd z szopy przy ptaszarni i poniósł go daleko, na pas skoszonej łąki. Tord, wydając z głębi gardła grzechotliwe, opiekuńcze dźwięki, wprowadził sokolicę na osłoniętą rękawicą pięść, a potem szybkim, obrotowym ruchem lewej dłoni wplótł cienki arkan w pierścienie wieńczące pęta ptaka, następnie zaś ściągnął mu z łebka kaptur, pociągając za szkarłatną frędzlę.

Oko sokoła! Było większe, niż przypuszczała Geruta, czarniejsze i bardziej lśniąca - jak perła dziewiczej nocy. A w każdym razie tak jej się wydawało, dopóki białożół nie przechylił głowy pod słońce, które odkryło pod przezroczystą rogówką ptaka wielopromienny kwiat złocieni i brązów. Lśniący, płaski łebek Jochebed porastały tak delikatne piórka, że zdawał się niemal łysy, a białe upierzenie na karku ptaka wyglądało niby nakrapiane pieprzem. Ozdobiona zakrzywionym dziobem głowa sokoła drżała kurczowo, gdy jego oko ogarniało ich kolejno, przypatrując się zgromadzonym wokół twarzom w poszukiwaniu ofiary. Kiedy gałka oczna Jochebed znieruchomiała na Gerucie, królowa poczuła, jak coś wysysa jej dech z piersi. A zatem i jej śmierć nie ominie, jak to sobie błogo wyobrażała w dzieciństwie, gdy świat zdawał się być jednym, niekończącym się porankiem.

- Proszę odwrócić wzrok, pani - poprosił cicho stary sokolnik. - Obca twarz to dla tych ptaków trucizna, dopóki nie zostaną gruntownie ułożone.

Geruta wzdrygnęła się, tak uraziło ją to upomnienie, bo prawdę mówiąc, od niemowlęstwa przywykła do hołdów ze strony otoczenia. Zerknęła z ukosa na Fenga, ale królewski brat był pochłonięty sztuką sokolnictwa, a jego ciemne spojrzenie okazało się równie nieprzejednane, jak przed chwilą wzrok ptaka.

Kulawy Ljot biegł, pogwizdując i wirując przynętą, by łopotała na wietrze. Było coś wzruszającego w postaci biegnącego nieporadnie a gorliwie chłopaka, którego biała twarz połyskiwała chwilami, kiedy się odwracał. Ustawił trzepoczące niezgrabnie urządzenie na skraju nieskoszonej łąki, oddaliwszy się od nich mniej więcej o pół długości lotu strzały, a następnie kucnął, znikając im z oczu. Z miejsca, w którym się skrył, rozległ się po chwili słaby, wilgotny jakby i uporczywy świst. Feng szepnął Gerucie do ucha, że to odgłos specjalnego gwizdka, który wykonuje się z rozciętej i wysuszonej krtani żurawia. Potem Tord wypuścił drapieznika, który zafurkotał skrzydłami w powietrzu, ciągnąc za sobą przywiązany do arkana cienki sznur, zwany dłużcami. Podniecony starzec wydawał znów gardłowe, grzechotliwe odgłosy, popuszczając sznur odlatującemu ptakowi - Geruta słyszała nawet szelest powróśla w trawie. Jochebed zagięła szpony, a potem opadła na groteskową kukłę niebieskoskrzydłego żurawia. W tym momencie Ljot wyskoczył z ukrycia i podał ptakowi w nagrodę kosmatą nogę świeżo zabitego królika. Kiedy sokół zaczął ją pożerać chłopak zgarnął pęta i ściągnął je mocniej. Po chwili Jochebed powróciła do starego Torda, który sztywnym piórem pogładził jej okrutne, pozbawione jakby ciała łapy i haczykowaty dziób, oblepiony skrwawionymi strzępami króliczego futra. Feng szepnął znów Gerucie, że po pewnym czasie sokolnicy zrezygnują z dłużców, a wśród zwierzyny łownej dla Jochebed znajdują się także bekasy i kuropatwy. Żywe ptaki z połamanymi skrzydłami i zaszytymi oczami wystawia się najpierw na łące, żeby sokół mógł się uczyć polowania. Tak oto cierpliwie ćwicząc, krok po kroku, naturalny zabójca staje się partnerem człowieka.

Cóż za okrutne i dziecinne rzemiosło! Przypomina trudną, zawiłą szaradę, pomyślała Geruta, tęskniąc jednocześnie za namiętnością do znawstwa, przekazywanego z pokolenia na pokolenie niczym starannie wyostrzona kosa. Widać ludzie muszą bawić się ze śmiercią, by stała się mniej straszna, kiedy w końcu nadejdzie. Feng zdjął rękawicę, na której wyniósł Jochebed z ptaszarni, i podał ją Gerucie, żeby wsunęła w nią rękę. Domyślała się, że niebezpiecznie jest wsuwać dłoń tam, gdzie nie gościła jeszcze ręka kobiety. Rękawica była zbyt obszerna i bardzo ciepła w środku, rozgrzana ciałem Fenga, ale Geruta przyjęła Jochebed na przegub dłoni wedle jego poleceń. Okazało się, że ptak jest lżejszy, niż na pozór wygląda, ma, bowiem puste wewnątrz kości i nic ostatnio nie jadł. Był lżejszy niż kocię albo koszyk kolorowych nici, który Geruta nosiła czasem przewieszony przez ramię. Spod zakrzywionych szponów Jochebed dobiegł kilkakroć cichutki odgłos darcia, gdy sokolica chwytła pazurami mocną, ale wystrzępioną rękawicę. W końcu śmiertcionośne łapy zacisnęły się na niej, ale głowa ptaka drgała wciąż niestrudzenie, albowiem jego lśniące, czarne, sferyczne oko

poszukiwało najwłaściwszego położenia w oczodole, żeby wyznaczyć idealny kąt, z którego mogłoby ogarnąć całą twarz Geruty.

Tord nagłym ruchem nasunął kaptur na łeb ciekawskiego sokoła, a potem przeprowadził Jochebed z ręki Geruty na swoją rękawicę.

- Nie chcę być nieuprzejmy - powiedział, nie patrząc jej w oczy. - Jednak ludzkie spojrzenie napęnia ptaki trwogą. Musimy wyprowadzać je z mroku jak należy.

Geruta dostrzegła, że przywiązanie Torda do ptaków jest dla niego ważniejsze niż ludzkie powinności wobec królowej.

- Jak ci się podobało to uczucie? Nosić zabójcę na dłoni? - zapytał Feng.

Niebo wchłaniało tymczasem promienie słońca - cętki chmur nad ich głowami napuchły i pociemniały, zachodząc na siebie niby bryły lodu po nawietrznej stronie Skaw. Krótki, listopadowy dzień szybko tracił rzadko spotykane o tej porze roku ciepło.

- I ona, i ja jesteśmy samicami - odparła Geruta. - Z tego, co daje nam świat, musimy brać, co możemy. Nie wątpię, że Jochebed jadłaby jarzyny, gdyby przyroda nie uczyniła jej niewolnicą mięsa. Nie powinniśmy oceniać drapieżnego ptaka wedle miary, jaką stosujemy dla owiec.

Feng zaśmiał się, pokazując nierówne, ale niesamowicie wyglądające w jego czerwonych ustach zęby, skryte wśród wytrymowanych wąsów i spiczastej, przystrzyżonej włoską modą bródki.

- Chciałbym ci zostawić ptaka na pamiątkę. Nie Jochebed, skoro żywisz dla niej tak siostrzane uczucia; dostaniesz zatem może zgrabną Batszebę, gdy rozsuplemy jej oczy.

- Chcesz mi dać sokoła?

- Tak. Muszę znów wyjechać.

Wciąż jeszcze nie mogę zagnieździć się w Danii na dobre. Moi genueńscy władcy wyrazili zgodę, abym powrócił do domu, ponieważ prosiłem, by pozwolono mi dopilnować ważnych spraw osobistych. Wglądałem już jednak w te kwestie i wyprowadziłem je na prostą drogę. Nikt za mną nie zatęskni oprócz moich sokołów. Mój brat trzyma Danię w garści. Danię oraz damę, której potomkowie, jak uważa lud, są prawowitymi dziedzicami korony. Ten kraj cię kocha, Geruto, podobnie jak najbardziej błędny ze wszystkich Duńczyków. - Tu Feng skłonił się szybko, aby królowa nie żywiła wątpliwości, że ma na myśli siebie.

Była to jedna z nielicznych niedelikatności, jakich się dopuścił wobec niej - kobiety, bowiem wiedzą doskonale, co kryje się za podobnymi aluzjami i jakie rokowania toczą

między sobą pozbawione głosu podbrzusza ciał kobiet i mężczyzn pod osłoną wytwornych, niewymuszonych manier.

- Obyś nie pobłądził w swej wierności - powiedziała. - Król, a mój mąż, przywykł mieć w tobie oparcie na dworze. Ceni twoje rady i harmonię wspólnej, braterskiej przeszłości. Przypominasz mu młodzieńczą część jego duszy. Synowie Gerwindila nie powinni przebywać z dala od siebie zbyt długo.

- A może najlepiej wiedzie im się osobno? Szczenięta nie mogą przez całe życie mieszkać w rodzinnej norze. Daleka rozłąka kryje w sobie bezpieczeństwo i czystość, która nie wystawia na próbę wierności ani braci, ani miłośników.

- Kto mówi o miłośnikach? - zapytała Geruta. - Ja jednak będę tęsknić za przyjacielem i nowo poznanym szwagrem... Szwagrem, który jest moim przyjacielem i miłośnikiem... sokołów.

- Należymy do ludzi, którzy nami kierują - odpowiedział Feng, i gwałtownym ruchem głowy, jakby poirytowany, dał znak Tordowi, że muszą już odjeżdżać.

Tord odwiązał arkan i dłużce Jochebed, po czym znów przymocował do pęt białozora dzwonki, dzięki którym żaden ruch ptaka nie uchodził uwagi sokolnika dniem i nocą, sokół zaś mógł w każdej chwili przyzwać opiekuna. Gerucie zdało się, że oczy starca lśnią, pogrzebane w bruzdach jego pomarszczonej twarzy, wyniszczonej latami uległości wobec wyniosłych, wielkich ponad wszelką miarę spojrzeń sokołów. W głębi serca królowa współczuła Ljotowi - chłopcu skazanemu na to, by zestarzeć się, przygarbić, pomarszczyć i ogorzeć w służbie rodu niewdzięcznych drapieżników.

Panie Jezu Chryste, myślał Feng, miłość do niej po prostu zżera mnie żywcem. Żądza dręczyła go po całych nocach, a wypalony w jego myślach wizerunek królowej zwidywał mu się chwilami, gdy kręcił się i przewracał na swoim wyrku włóczęgi... Pamiętał niezwykle ruch, jakim się odwracała, sposób, w jaki przechylała głowę, kiedy reagowała na cudzy głos, nie wiedząc, że Feng ją obserwuje. Ale czy na pewno nie wiedziała wtedy, że on na nią patrzy? Pamiętał, jak przejrzysta mgiełka jej rozpuszczonych rudych włosów, otoczonych aureolą nieposłusznym kosmyków, wzbija się nieznacznie, choć nieprzyzwoitością było oglądać włosy mężatki - on jednak, brat męża Geruty, mógł wchodzić do królewskich komnat, kiedy nocny spoczynek małżonków dobiegał końca, a ona stała tylko w luźnej koszuli, długiej, nie na tyle jednak, by zasłonić nagość jej stóp, nagość, przywołującą całe skryte pod koszulą ciało, jeszcze rumiane leniwym ciepłem dopiero, co strząśniętego z powiek snu. Stopy Geruty były różowe po bokach, o białych palcach i obnażonych piętach,

grubszych odcieniem tłuściości, a postać królowej przypominała jakby giętką świecę, dźwigającą blady, nieposłuszny płomień włosów.

Horwendil też tam był, ubrany już w strój myśliwski, jeśli akurat wybierał się na łowy z tym chimerycznym, aroganckim szczeniakiem, Amletem, lub obleczony w aksamitne, ceremonialne szaty na przyjęcie jakiegoś cudzoziemskiego posła lub rozdygotanego pisarza, sługi królewskiego skarbnika, toteż nie zwracał najmniejszej uwagi na kobiecy skarb, stojący z najwyższą skromnością u jego boku. Usta Geruty z wdziękiem zsuwały z czubka ostrego noża kęsy smażonego mięsa dzika albo spijały z drewnianego talerza gotowane w koszulkach przepiórcze jaja, podczas gdy jej małżonek, chcąc zaimponować bratu, plótt nadętym królewską władczością głosem duby smalone o Norwegach, Polakach albo mieszkańcach Nowogrodu, okradających Danię na jakiejś parszywej, bagnistej granicy albo na zdradliwym morskim szlaku. Nieznoszący sprzeciwu głos Horwendila dudnił monotonicznie:

- A kupcy, kupcy, Feng, to najbardziej uprzykrzone łotry. Tuczą się na bezpieczeństwie, które stwarza im państwo, korzystają z naszych dróg, z naszych portów, z naszych bezpiecznych miast, więc trzeba z nich ściągać podatki, oni jednak bezwstydnie skrywają swe bogactwa, upychając je to tu, to tam, gdzie nie potrafi ich znaleźć żaden poborca! Za czasów naszego ojca, majątku nie dało się ukryć, był jawny, tak jak plony, ziemia, chaty wasali i chłopów, oskubane przez bydło pastwiska i pełne zapasów stodoły, namiestnik królewski mógł go zatem oszacować w mgnieniu oka, lecz teraz dostatek pełza, przesącza się niewidzialnie z miejsca na miejsce pod postacią liczb, zapisywanych w księgach rachunkowych... Łatwo jest winić za to Żydów, ale, pomnij moje słowa, w dzisiejszych zepsutych czasach nie tylko Żydzi gotowi są podejmować brudne rzemiosło lichwy, szydzić z potępienia i tak zestawiać upiorny bilans debetów i pożyczek, by okazywał się dla nich korzystny we wszystkich miastach i portach, toteż więzy lojalności, które w czasach naszego ojca krępowały wielmożów wobec króla, króla zaś wobec Boga, obecnie się w ogóle, by tak rzec, nie liczą, i nawet odrębna dawniej mowa mieszkańców wzgórz i mieszkańców dolin, po której potrafili rozpoznać się wzajemnie, została dziś rozpuszczona w języku liczb... Liczb, mój drogi Fengu, wymyślonych przez Złego we własnej osobie, choć w mahometańskim przebraniu, a przywiezionych do nas przez krzyżowców, z których niejeden powrócił śmiertelnie chory na francę, jakiej nabawić się można od każdej ladacznicy o oliwkowej skórze. Bogactwo kupców, niechaj je Chrystus przeklnie, jest śliskie niczym wąż: nie widać go nigdzie poza wyposażeniem ich sypialni oraz złota i srebra, jakim obwieszają te tłuste dziwki, swoje leniwe żony!

W przemowach Horwendila zawsze pojawiała się jakby wymijająca lubieżność i skryta fanfaronada, ponieważ nie potrafił powściągnąć języka, by nie dotykać w myślach podbrzuszy kobiet, którym zgodnie z prawami najeźdźcy rozwierał szeroko nogi. Postąpił w ten sposób na wetwobec Seli, a przecież Feng błagał bezskutecznie brata, aby darował jej życie, zesłał księżniczkę na jakąś wyspę albo odprawił z powrotem do Norwegii za odpowiednim okupem, Horwendil jednak musiał ją posiąść, choć Sela drapała i walczyła niczym walkiria. I tak, splamiony i zhańbiony przez samego siebie wskutek wielu łatwych triumfów nad pięknymi i bezbronnymi istotami, król w zapomnieniu ciągnął jednostajnie swoje wywody. Tłuszcz ściekający ze śniadaniowych mięs Horwendila lśnił na jego brodzie, a królewski brzuch był równie wzdęty, jak brzuchy kupców, których król zamierzał złupić. Świadomość, że ta spasiona świnia w ludzkiej skórze może z błogosławieństwem Kościoła bezcześcić Gerutę, kiedy tylko przyjdzie mu na nią ochota, rozwścieczała Fenga do tego stopnia, że gotów był zamordować. We wdzięcznej, pełnej afirmacji postawie królowej, Feng dostrzegał jakby pełne światłości okno, wychodzące na inny, czystszy świat. Patrzył na Gerutę, a wtedy jego dusza dygotała, ponieważ zalewał ją blask. Potem królowa powstawała od stołu, przy którym wspólnie śniadali, i przechodziła do toaletki pod oknem, gdzie stało owalne metalowe zwierciadło. Rozczesywała przed nim włosy. Prężyła wtedy grzbiet pod miękką poranną szatą, z której szerokiego rękawa wysuwał się pod wpływem rytmicznych ruchów wzniesionego ramienia różowy, spiczasty łokieć, a bladomiedziane włosy królowej trzeszczały i rozsypywały się na boki tysiącami roziskrzonych końców. W takiej bliskości jej nieosięzłego ciała Fengowi nieodmiennie zasychało w ustach.

Podczas frywolnych rozmów ze szwagrem Geruta sama przyznała, że jej ciało posiada zmysłowe dno. Używając konceptów dworskiej miłości, mówiła lekceważąco o niższych częściach ciała, którym wyższe jakoby jedynie służą. Pobudziło to gwałtownie jego wyobraźnię, zgodnie zresztą z zamiarami Geruty. Feng wiedział jednak, że królowa, posiadłszy kobiecą umiejętność skrywania intencji w nadmiernej dosadności, stara się z niezdobytego zamczyska swojej pozycji jako matki i królewskiej małżonki doprowadzić między nimi przede wszystkim do komunii duchowej. Miała trzydzieści pięć lat i znajdowała się w zenicie cielesnego rozkwitu. Dopóki mogła urodzić królowi kolejnego dziedzica, byłoby najwyższą zdradą stanu i obrazą niebios, gdyby jakiś inny Duńczyk prócz Horwendila miał dzielić z Gerutą łóżko. Królewska krew, krew Boga na Ziemi, była wszak świętością. A w uwielbieniu Fenga dla królowej kryła się także pewna samoobrona, jak gdyby abstrakcyjna surowość. Nie wyobrażał sobie jej podbrzusza ani lubieżnych póz, w których kobieta otwiera się na penetrację jak klacz na dziedzińcu dla rozplodowego ogiera. Za miłosną pożywkę

starczyły Fengowi rozbawione ruchy jej ust i oczu, swobodna muzyka czułego głosu, błysk bosych stóp i różowa, poranna ospałość - bo na tym pierwszym, delikatnym etapie miłości wyobrażenie czegokolwiek więcej wzbudziłoby w nim wyłącznie obrzydzenie. Podobnie jak sokoła, miłość należy chować na dystans głodu. Dzięki poezji powstającej w Prowansji, dokąd niejedną raz zawiódł go niespokojny duch najmity, Feng pojął, że mniej kochamy sam dar, jego nakrapianą księżycem nagość i uległość wilgotnego otworu, bardziej zaś niebiańską łaskę prostego aktu oddania, gdy spada ostatnia zasłona, a mroczne, szczere, bezpośrednie śmiałością spojrzenie w komnacie sypialnej rzuca mężczyźnie wyzwanie, by odpowiednio wysoko ocenił podarunek, wyrwany z cieni Edenu.

Feng nie mógł już właściwie żywić wyższego uznania dla Geruty. Uwielbiał jej zdrowy rozsądek i pobłażliwą wesołość. Przeszła w młodości spod opieki ojca pod opiekę męża, który ją uciemieżył, lecz którego cnoty znalazłyby uznanie w oczach każdego rodziciela. Królowa wiedziała, że w jej życiu czegoś brakowało, lecz nie chowała z tego powodu urazy do nikogo. Była niezwykle uprzejma, przenikliwa i naturalna. „Natura” należała do słów, które stosowała tam, gdzie mówiące innymi językami kobiety używały słowa *der Gott, le bon Dieu, Iddio* albo *Dios*. Choć spokojne szarozielone oczy Geruty przyznawały wszystkiemu należną powagę, Feng uwielbiał sposób, w jaki igrały jej wydatne wargi i drobnutki mięśnie, okalające usta, jak gdyby w każdym słowie krył się nieznany żart, którego po prostu nie mogła nie skosztować. A kiedy wy mawiała imię Fenga, pozwalała dźwiękowi „ng” zawisnąć dłużej w powietrzu, jak gdyby chciała utworzyć z niego dodatkową sylabę. Zdrobniała też czasami własne imię na „Gerta”, choć Feng rzadko słyszał, by padało z jej ust - albowiem obcy ludzie posługują się naszymi imionami dla zwykłej wygody, w naszych zaś myślach figurują one tylko marginalnie, wiemy bowiem dobrze, że jesteśmy bytami nazbyt przepastnymi i nieczytelnymi, by można było nadać im jakąkolwiek nazwę.

Każda modulacja głosu, myśli i gestów Geruty wydała się Fengowi tak piękna, że zapierała dech w piersi. Nawet niewielka, smukła szczerba między zębami królowej była doskonałością i słodką niespodzianką, która odsłaniała się w uśmiechu. *Sas belas dens* - Feng przypomniał sobie fragment wiersza Bertrana de Borna. *Vuolh sos belas dens en dos* - „Pragnę otrzymać w darze jej przepiękne zęby”. Kobieta wyniesiona w miłości musi posiadać jednak jakąś skazę lub słabość - w oczach Fenga słabością Geruty była jej uległość, domieszka pasywnej miękkości charakteru, która pozwoliła ją zdominować wpięrw ojcu, a później mężowi. Sentyment, który Geruta żywiła dla natury, wytworzył w niej pewien fatalizm i skłonność do poddaństwa. Gdyby Feng ją przycisnął, poddałaby się i jemu. Wiedział, że tak się stanie. A Geruta powinna należeć właśnie do niego, bo tylko on jeden

„widzi”, jaka jest naprawdę. Jego brat oślepił, sprawując królewską władzę, choć i tak zawsze był tylko gruboskórnym handlarzem ogólnych, przybliżonych i co najwyżej użytecznych prawd.

Życ przy boku Geruty znaczyłoby, dla Fenga pławić się każdego dnia w promienności, od której musiał teraz odwracać wzrok, choć w głębi czaszki palił go jej powidok. Gerutą zmieniałaby wypełniający go ołów w złoto i zmyłaby mu z serca jutlandzką skazę, która splamiła w młodości jego duszę. Poza tym - nie uchodziło się nad tym zastanawiać, lecz był to jednak pewnik - uczyniłaby go królem. Feng posiadłby i Danię, i Gerutę. Ta niebываła okazja majaczyła w odległości zaledwie kilku stóp, on zaś stał z boku tchórzliwie, uczestnicząc w personalnych rozgrywkach na dworze brata. Pożądanie, które znienacka nachodziło Fenga, bywało niekiedy tak silne, że o mało nie załamywały się pod nim kolana, a wtedy głowa pulsowała mu zniecierpliwieniem.

Podczas gdy w Fengu szalały miłosne żądze, król z człowieka godnego pogardy stał się w jego oczach po prostu żalosny. Horwendil nie był mu już nienawistny, okazał się, bowiem bezradny. Nie wiedział, że niezmierny skarb kobiecy obciąża go brzemieniem ryzyka. Nie miał pojęcia - a nawet jeśli je miał, było najwyżej ulotne i powierzchowne - że chory z miłości brat zazdrości mu małżonki. Dlatego Feng musiał unieść niebezpieczną zawiść z królestwa tego zakutego łba, monarchy, który okazał się bezbronny w swojej pysze i nie potrafił podejrzewać o wiarołomstwo rodzonego brata. Obserwował ich duch ojca, Gerwindila, a ręce jego nikczemnego młodszego syna krępował wciąż strzęp sumienia, przypominającego Fengowi, jak ludzie oceniają prawość oraz podłość. Sumienie nakazywało mu mieć wzgląd na dobro powszechne i moralność mrowiska. Dlatego Feng wyjechał znów na południe, by służyć dwulicowym wasalom cesarza, konsulom Genui, potem udał się w ich służbie jeszcze dalej w głąb południowych ziem, a w końcu jako poseł wyruszył na wschód, do kraju genueńskich sprzymierzeńców, pod zbudowany z porfiru i kości słoniowej tron Bizancjum.

Na pożegnanie brat Horwendila nakazał lordowi dostarczyć Batszebę, już z rozszeptanymi oczami, królowej na Elsynchronie. Podczas następnych dwunastu lat awanturniczych przygód, które jeszcze bardziej zahartowały jego ciało i duszę, Feng zastanawiał się niekiedy, jak został przyjęty jego podarunek. Pod tuniką z najgrubszego i najtrwalszego płótna nosił przypięte szpilką miękkie brązowe pióro z piersi sokoła, które kiedyś wręczyła mu Geruta. Traktował je jako zastaw, a zarazem środek pobudzający.

Część druga

Król był wzburzony.

- A cóż ten chłopak może jeszcze studiować w Wittenberdze? - zapytał Horvendil. - Wkroczył w dwudziestą dziewiątą wiosnę życia! A ja skończyłem okrągłe sześćdziesiąt lat, dokuczają mi najprzeróżniejsze bóle, dolegliwości i napady nieprzewyciężonej apatii. Nadeszła pora, by Hamlet powrócił do domu i zaczął się uczyć zasad władzy królewskiej.

Gerta rozczesywała swoje gęste włosy, które w półmroku owego ponurego, zimowego poranka emanowały skrzącą, fosforyczną aureolę wyładowań elektrycznych. Niektóre iskry były niebieskie, inne zaś żółte i niezwykle długie. Sypały się gęsto, kiedy królowa szczotką z najsztynniejszego włosia dzika szarpała długie, miedziane kosmyki. Im dłużej się czesała, tym więcej rozżarzonych włókien wznosiło się wokół jej głowy.

- Sądzę, że w jego oczach jesteśmy za mało subtelni i nieokrzesani - powiedziała. - Za dużo pijemy, jemy zaś jak prostacy, posługując się nożami myśliwskimi. W porównaniu z wittenberskimi nauczycielami Hambleta jesteśmy barbarzyńcami.

- Za mało subtelni, też coś!

Czy księciu wydaje się może, że życie to przedstawienie teatralne, które odgrywają afektowani chłopcy, mizdrząc się w kobiecym przebraniu do widowni?

- Hamlet nie rozmawia ze mną o swoich zapatrywaniach - odparła Gerta. - Właściwie w ogóle ze mną nie rozmawia. Jednak z tego, co zdradził mi Korambis z rozmów z Laertesem, w wykształconych kręgach na południu Europy zrodził się ostatnio ferment umysłowy. Jego źródłem są szczątki starożytnej wiedzy, zawarte w tekstach, które trafiły do Europy za sprawą rycerzy powracających z wypraw krzyżowych, a które Arabowie i mnisi bizantyjscy kopiowali od, stuleci, choć nikt nie czytał ich pism. Korambis mówił też coś o nowym, „naukowym” spojrzeniu na świat, cokolwiek miałyby to znaczyć... Powinniśmy więc ponoć pozwolić naturze opowiadać o sobie w najdrobniejszych szczegółach, po kolei, choć przecież kobiety, dzieci, młynarze i chłopcy zawsze słuchali w ten sposób głosu natury, zamiast przyjmować wszystko na wiarę od księży i z Biblii. Tak czy inaczej, nie wyprowadza się już rozumowania z pierwszych przesłanek, lecz „wydedukowuje” się przesłanki na podstawie wielu rozmaitych danych obserwacyjnych. Przepraszam, najdroższy mężu, chyba mówię nie całkiem do rzeczy, ale jak dla mnie, pora jest jeszcze zbyt wczesna.

- Potwierdzasz moje najgorsze podejrzenia. Nasz syn bawi nad Łabą i uczy się wątpić... Uczy się szyderstwa i bluźnierstw, podczas gdy ja usiłuję zaszcześcić pobożność i ład w gromadzie intryganckich i buntowniczych Duńczyków.

- Co jeszcze mówił Korambis? - przypominała sobie Gerta, a wokół jej głowy tańczyły ciągle kolorowe iskry. - Wspominał coś o tym, że człowiek jest miarą wszystkiego,

co chyba brzmi sensownie, skoro tu i teraz otaczają nas wyłącznie ludzie, czyli mężczyźni i kobiety, a Boga, chociaż wyczuwamy Jego obecność, zaobserwować jest o wiele trudniej niż człowieka. Ale mimo to nie można się nie zastanawiać, czy ludzi rzeczywiście stać już na to, by mienić się miarą wszystkiego, na razie, bowiem ledwie potrafimy mierzyć samych siebie. A jesteśmy wszak jedynym zwierzęciem, które potrafi się mylić.

- Musimy koniecznie sprowadzić Hambleta z powrotem, albowiem w przeciwnym razie prowincjonalne thingi obiorą królem kogoś innego, kiedy ja... Jeśli zdarzyło by mi się... Już ci mówiłem, że okresami ogarnia mnie dziwne znużenie.

- Posuwasz się po prostu w latach, mój drogi, i to wszystko. Mnie także drzemka ostatnio potrzebna jest częściej niż w młodości. A ty będziesz żył jeszcze co najmniej dwadzieścia lat odpowiedziała królewska małżonka, wyczesując ze swoich długich włosów wyjątkowo imponującą błękitną iskrę, jak gdyby ta myśl nie uśmierzyła całkowicie jej niepokoju. - Wy, Jutowie, jesteście ludźmi z żelaza. Spójrz na swojego brata. Odniósł pięć ran w zasadzce, którą zastawili na niego Turcy, a pozostaje zwinny niczym pantera, czuprynę zaś ma gęstą niczym niedźwiedzia sierść. - Królową uspokoiło dopiero wspomnienie Fengona, który niedawno powrócił z wieloletniej, dobrowolnej banicji rycerskiej i nieoczekiwanie zaczął poświęcać wiele uwagi mieszkańcom Elsynoru. Przyprószone malowniczą siwizną włosy i zarost szwagra królowej rzeczywiście zachowały gęstość, natomiast kędzierzawe, blade loki Horvendila, niegdyś tak imponująco nordyckie, przeredziły się nad czołem i z tyłu głowy, co budziło w Gercie niejakię wzruszenie. Dopiero teraz było widać, że czaszka Horvendila jest twarda jak kamień i lśniąca niczym marmur.

- Tak - odpowiedział głośno król, by podsumować rozmowę, przechadzając się majestatycznie tam i z powrotem. - Mój szelmowski brat wrócił i kręci się po zamku niby lubieżny kocur, jak gdyby zwąchał, że tu jest jego przyszłość, podczas gdy Hamblet, który powinien znajdować się na miejscu i odgrywać rolę silnego następcy tronu, bawi w Wittenberdze, marnując kolejne dni na bezowocnych, logicznych łamigłówkach, nocę zaś na szaleństwach z ladacznikami, które nie hańbią może dziewiętnastoletnich młodzieńców, lecz wywołują ospałość u mężczyzny o dziesięć lat starszego.

Horvendil popadł w sztormowy nastrój i grzmiał ni czym arkusz blachy, którą aktorzy potrzęsają za kulisami, żeby naśladować odgłosy burzy. Gerta przygryzła koniuszek języka, nie chciała, bowiem wypowiadać się zbyt pochopnie w obecności pobudliwego małżonka, zdolnego do niebezpiecznych wybuchów gniewu. Królowa coraz lepiej zdawała sobie sprawę, że wystrzega się rozmów z Horvendilem i stara się nimi kierować, choć dawniej przecież

gawędziła z mężem ze spontaniczną ufnością, mimo że niejednokrotnie odpowiadał jej jedynie burknięciem.

- Nie sędzę, aby nasz syn delectował się owymi karygodnymi rozkoszami, o które oskarżasz go z wyraźną zazdrością - powiedziała. - Jeżeli matka potrafi w ogóle dostrzec takie rzeczy, to wydaje mi się, że w okresie dorastania Hambleta nad jego zainteresowaniem tajemnicami natury dominowały raczej zdumienie i abominacja niż zachwyty. Książę nie żywi podziwu dla kobiet jako takich. Ma w duszy dość pierwiastka bierności, by nie przyciągał go bezkrytycznie u płci przeciwnej. Wybredność Hambleta ulegnie wyłącznie bardzo młodej i delikatnej żonie. Jak wspominałam, panie, mam na myśli Ofelię. Skończyła szesnaście lat, osiągnęła więc wiek, w którym i ja zostałam zaręczona, a w czasie sporadycznych odwiedzin w Elsynchron księżę ostatnio okazywał jej coraz baczniejszą uwagę, w miarę jak rozkwit Ofelii stał się widoczny. Przeszłego lata, a w każdym razie tak sędzę, ich stosunki przekształciły się w coś więcej niż tylko znajomość między kpiarskim, starszym kuzynem a jego boleśnie nieśmiałą i niedojrzałą adoratorką. Ofelia tymczasem przerodziła się w piękność o słodkim i figlarnym dowcipie, choć pozostała bojaźliwa i wstydliva, jak na dziewczę przystało.

- Ofelia jest więcej niż bojaźliwa. Jest niespełna rozumu - powiedział Horvendil, krążąc po sypialni, jak gdyby na ośleposzukiwał wyjścia. - W jej mózgu ziele szczelina, którą może rozewrzeć byle nieszczęście. Poza tym księżę powinien poślubić księżniczkę krwi, aby poszerzyć w ten sposób stosunki i wpływy tronu. Ślub z córką królewskiego szambelana byłby niezdrowym kazirodztwem politycznym. Korambis od tak dawna przypochlebia się nam swoimi radami, że rozważałem nawet, czy go nie zwolnić ze służby, co, ujęte oczywiście w innej formie, oznaczałoby dobrze zasłużony i sownie wynagrodzony odpoczynek na starość, być może w domku szambelana nad Gurre So, na którego rozbudowę i naprawę dachu poświęcił niejedną strużkę złota płynącą z królewskiej szkatuły.

Nie była to dla Gerty miła wiadomość, uważała bowiem Korambisa za jedynego sprzymierzeńca w elsynorskim zamczysku, które obecnie wydawało się jej zimniejsze niż dawniej, ukryła jednak zdumienie, próbując się sprzeciwić małżonkowi.

- Korambis był nie tylko twoim doradcą, lecz także zaufanym mojego ojca, Roderyka. Jest jedynym żyjącym ogniwem łańcucha, które łączy mnie jeszcze z okresem dzieciństwa i tamtymi prostymi, czerstwymi czasami, kiedy duńskie królestwo pognębiło Norwegów.

- Otóż to. Korambis za bardzo przywykł pławić się we władzy królewskiej.

Długa obecność w nadmiernej bliskości tronu rodzi zawiść i zarozumiałość. Plan Korambisa, by swoją wątłą córkę, która nie jest ani krzytynę silniejsza od matki, uczynić następną królową Danii i pozbawić mnie w ten sposób wszelkich możliwości zawarcia

korzystnego przymierza, jawi mi się jako zdradziecka intryga. Na wschód od Nowogrodu znalazłaby się niejedna księżniczka, która, zawierając sojusz z krajem zachodnim, przyniesie nam także wiano o istic azjatyckim przepychu, złożone z bursztynu, futer i szmaragdów, wydzieranych tundrze. Przyszły związek Hambleta nie jest kwestią sentymentu, lecz rozwagi i jak najbardziej bez namiętnych rad. Dlatego nie należy nigdy ufać doradcy posiadającego córkę na wydaniu.

Gerta odłożyła szczotkę, odwróciła się od zwierciadła i powiedziała mężowi prosto w twarz:

- To nie jest żadna intryga, ani moja, ani Korambisa. Oboje zauważyliśmy tylko zwyczajną, naturalną słabość naszego syna do Ofelii, skłonność objawiającą się bez jakiegokolwiek zachęty z naszej strony. Hamlet żywi po prostu ciepłe uczucia do tego kwiatuszka, który rozkwitł na dworze podczas jego nieobecności. A z drugiej strony, czyż nasz królewicz mógł nie obudzić fascynacji w Ofelii, gdy dorósł i stał się wyjątkowo frapującym i wymownym mężczyzną, górującym nad innymi kandydatami na mężów, a niebędącym jeszcze dotąd po słowie? Ofelia jest jednak uległa i oczywiście porzuci wszelką nadzieję, jeśli tak jej każe ojciec.

- Niech, zatem Korambis wyda córce odpowiedni rozkaz. Ofelia może i jest w tym samym wieku, w jakim byłaś ty, kiedy odbyły się nasze zrękowiny, ty jednak w niczym nie przypominałaś tej bladej nedorajdy, która już z oddali kuli się w cieniu swego ojca.

- I ja kuliłam się przed ojcem, kiedy należało - odparowała Gerta, a jej twarz załapała fala ciepła. - Zapewne sam dobrze o tym pamiętasz, bo skorzystałeś na moim posłuszeństwie. W rzeczywistości Ofelia jest ognista, rozsądna i namiętna, choć ty nigdy nie chciałeś tego przyznać. Instynkt mi podpowiada, że córka Korambisa urodzi silne i zdrowe potomstwo.

Horvendil spojrział na żonę beznamiętymi, bladymi oczami, które dostrzegały czasami niepokojąco dużo.

- Twój instynkt służy twoim własnym pragnieniom, moja droga. Wpisujesz w Ofelię samą siebie z przeszłości i chcesz dostroić naszego jedyne dziedzica do muzyki urojonego echa twojego dzieciństwa. Gerto, nie szukaj w tej kruchej dziewicy możliwości spóźnionego spełnienia dla samej siebie i zwycięstwa nad własnym synem. Jeśli używać narzędzi niezgodnie z przeznaczeniem, mogą wykręcić się człowiekowi w dłoniach i skaleczyć go.

Gerta z głośnym stuknięciem odłożyła szczotkę na toaletkę z wrzoścowego i dębowego drewna, na której stały środki upiększające, choć w wieku czterdziestu siedmiu lat już nieszczególnie ich potrzebowała; obok szczotki do włosów z dziczej szczeciny o czarnych czubkach były tam dwa ozdobne grzebienie z kości słoniowej, żelazna pinceta do usuwania

zbędnego owłosienia, pogrubiającego brwi i porastającego zaokrąglone skronie królowej, cztery wykałaczkę, w tym dwie z kości słoniowej, dwie zaś ze złota, kilka wierzbowych różg o zmiękczonej w wodzie i wymoczonych koniuszkach, tworzących włókniste szczoteczki, dzięki którym Gerta zachowywała wciąż promienny uśmiech i zdrowe zęby, steatytowy słoik z mieloną henną i pojemnik z kamienia - lapis-lazuli, zawierający barwiczkę, którą w dni uroczystości publicznych królowa malowała powieki i policzki, talk, którym w razie potrzeby kryła prostackie wypieki na twarzy, oraz tak zwana słodka szkatułka z aromatycznego drewna cedrowego, zawierająca nasycone wonnościami mazidła, zmiękczone skórę i likwidujące zmarszczki pod oczami. W owalnym metalowym zwierciadle Gerta zerknęła ukradkiem na swoją twarz o wciąż dziewczęcej, jakby wilgotnej krągłości, zaróżowioną w tej chwili z gniewu i nieoczekiwanego poczucia winy.

- Dzielę się z tobą jedynie swoimi przemyśleniami w kwestii, którą mój pan sam podniósł - powiedziała. - Zastanawiam się, jak zainteresować księcia Hambleta sprawami dworu i jego osobistą królewską przyszłością. Przykro mi, że masz moje intencje za pokrętne, mnie bowiem wydają się one uczciwe i dobroduszne.

- Król nieustannie otrzymuje zewsząd życzliwe rady i uczy się je rozpatrywać z punktu widzenia korzyści ich autora.

- Aż osiąga punkt, w którym podejrzliwość kurczy mu serce do rozmiarów gałki wieńczącej jego berło. Rozumiem zatem, dlaczego syn monarchy nie chce w tej sytuacji powrócić do domu - odparła zapalczywie Gerta.

- Hamblett nie mnie unika - warknął Horvendil, ale po chwili, w obawie, że jego królowa poczuje się dotknięta niedwuznaczną sugestią, jakoby księżę stronił raczej od niej, powiedział niby na zgodę, rezygnując z dokładniejszego opisu nieuchwytnie gnuśnej i cuchnącej atmosfery na królewskim dworze: - Mam na myśli... ogólny klimat, jaki panuje w zamku.

- Co, u licha, stało się z Batszebą? - zapytał Gertę Fengon.

Siedzieli w rzadko odwiedzanej w Elsynorze komnacie. Giermek Fengona, Sandro, szczupły Kalabryjczyk o oliwkowej cerze, wielce kaleką duńszczyzną skłonił opornego sługę, by przygotował i rozpałił ogień. Na rozpałkę służyły świeżo porąbane jesionowe szczapy, więc ogień dymił, a mimo to dwoje duńskich arystokratów prawie wcale nie zwracało uwagi na piekące oczy i przemarznięte stopy, pochłaniała ich bowiem wymiana wzajemnych aluzji, skrywanych pod powierzchnią zwyczajnej rozmowy.

- Z Batszebą? - powtórzyła Gerta, ogarnięta łagodną paniką.

- Takie imię nosił ów mały brunatny gnieźnik, którego posłałem ci w darze przed laty, nim wyruszyłem raz jeszcze na południe. Już o nim zapomniałaś. Widocznie królowa przywykła dostawać podarki od bliskich, choć jednocześnie niemal całkiem obcych ludzi.

- Jesteś mi bliski teraz, a obcy nie byłeś nigdy. Oczywiście, że pamiętam. Batszeba i ja nie stanowiłyśmy jednak dobranej pary. Jej rozsupłane oczy ogarniały zbyt wiele i ciągle łopotała... czy tak się mówi?... łopotała skrzydłami na widok każdego połyskliwego przedmiotu w mojej komnacie, gdy odbijały się w nim promienie słońca. Poza tym ciskała się po ścianach, słyszała bowiem za ciche dla moich uszu szmery, czynione przez myszy albo przez jaskółki, które zagnieździły się w kominie. Nie umiałam przemówić jej do rozsądku.

- Nikt nie umiałby przemówić do rozsądku sokołowi - odpowiedział Fengon swobodnym, szmerzącym głosem, którego, jak zauważyła królowa, używał tylko wobec niej. Wśród mężczyzn oraz sług wysławiał się dźwięcznie, a nawet przenikliwie. Ponieważ przybrał ostatnio na wadze, jego głos stał się głębszy. - Sokoły nie podążają drogą rozsądku, podobnie jak nasza wewnętrzna jaźń, nad którą panowanie bezskutecznie usiłuje ustanowić rozum.

- Okazało się, że królowej niełatwo jest zdobyć na zamku codzienną porcję mięsa świeżo upolowanej zwierzyny. Nocami cichy, ale nieustanny lament Batszeby, który, jak sądziłam, podnosiła za utraconą wolność, nie pozwalał mi wprost zmrużyć oka. Naczelnym sokolnikiem Horyendila przeniósł mojego wygłodzonego ptaka do królewskiej ptaszarni, lecz okazało się, że w tamtejszych klatkach panuje ustalona już hierarchia, a inni drapieżcy, ułożeni ludzką ręką, nie chcieli przyjąć między siebie na wpół dzikiej Batszeby. Sokolnik obawiał się, że królewskie ptaki ją zabiją, rozszarpią jej gardziel albo strzaskają grzbiet w chwilach niezbędnego sokołom wytchnienia, kiedy zdejmują się im kaptury i pozwala rozprostować skrzydła pod wysokim sklepieniem ptaszarni. Przyszło mi wtedy do głowy, że Tord... czy tak? Tak się nazywał?... Zatem że Tord zechce przyjąć Batszebę z powrotem, pojechałam więc do Lokisheim w eskorcie dwóch gwardzistów i zastałam tylko tego pacholka, kulawego chłopca o bladej twarzy...

- Ljota - odpowiedział jej Fengon.

Jego czujne, lśniące, sobolowe oczy karmiły się każdym ruchem, grymasem i miną Gerty, która zauważyła w trakcie tej przemowy, że jej język i gesty stają się coraz leniwsze, jak gdyby była zwalnającym tempo grajkiem, którego myśli ogarnia przemożna świadomość, iż słuchacze chłoną jego muzykę. Królową piekła skóra pod ciężkim, haftowanym płaszczem, związanym z przodu tasiemkami i narzuconym na błękitną tunikę, wyszywaną srebrną

brokatową nicią. Żadna kobieta, szczególnie jeśli ukończyła już czterdzieści siedem wiosen, utraciwszy gdzieś po drodze szczupłą sylwetkę, nie zdołałaby się oprzeć tak żarliwemu uznaniu, jakie okazywał jej Fengon. Gerta była przyzwyczajona do hołdów, lecz nie przywykła, żeby mężczyźni pożerali ją oczami.

- Tak, to był maty Ljot - przytaknęła królowa, przebiegając pośpiesznie w pamięci beznamienne zdarzenia sprzed przeszło dziesięciu lat, gdy nieco niesamowity dar Fengona uczynił ją w pewnym sensie powiernicą dziwnej tajemnicy. Horvendil dowiedział się wprawdzie później o niezwykłym upominku, jaki otrzymała Gerta od jego brata, ale roześmiał się tylko lekceważąco, mówiąc: „Równie dobrze można by podarować mężczyźnie kołowrotek, miałyby z niego taki sam pożytek! Tymczasem Gerta ciągnęła dalej, usiłując przybrać ostrożny ton rycerza, z którym rozmawiała. - Chłopak powiedział mi, że Tord niedomaga już ze starości i wskutek srogich trudów, jakich wymaga opieka nad ptakami, a twoje stado, zgodnie z poleceniem, jakie im wydałeś przed odjazdem, odsprzedali pewnemu handlarzowi z Nodebo, kupczącemu drogocennym i fanaberyjnym ptactwem.

- Nie spodziewałem się rychło powrócić do Danii - wyjaśnił Fengon. - Złożyłem pewne śluby.

- Jakie śluby?

- Śluby wyrzeczenia.

- A czego pragnąłeś się wyrzec, jeśli mogę zapytać?

- Któż oprócz ciebie miałby prawo zadać to pytanie? Wyrzekłem się widoku twojej osoby, brzmienia twojego głosu i słabego, ale przyprawiającego o szaleństwo zapachu twego ciała.

Gerta oblała się rumieńcem. Fengon potrafił zasugerować to, co niewymowne, lecz za jej poduszczeniem, nie mogła go zatem winić.

- Nie było takiej potrzeby - postanowiła jednak zaprotestować królowa. - Każdy mężczyzna ma prawo poświęcać uwagę bratowej, jeśli tylko czyni to z szacunkiem.

- Nie wykluczając szacunku, moje myśli dotyczyły jednak czegoś więcej. Przeraziła mnie ich gwałtowność i natarczywa obecność w każdej chwili, na jawie i we śnie, kiedy stawały się ohydnie zdrożne. Byłaś w nich rozpustnicą, moją zaś głowę wieńczyła w snach korona. Wyrzuty sumienia, jakie mnie dręczyły, były zapewne natury dynastycznej: obawiałem się, że z miłości do ciebie i z zazdrości o brata mógłbym wyrządzić Horvendilowi krzywdę.

Gerta wstała, poniekąd, dlatego, że ogarnął ją niepokój, poniekąd zaś, dlatego, że chciała się nieco rozgrzać, w zadymionej komnacie panował bowiem przenikliwy chłód. - Nie wolno nam rozmawiać u miłości.

- Nie, nie wolno.

Opowiadaj, zatem dalej o losie nieszczęsnej, samotnej Batszeby, która okazała się zbyt dzika dla swej pani, lecz nazbyt oswojona, by żyć zgodnie z naturą.

- Ljot i ja zabraliśmy ją na łąkę, gdzie wprowadzałeś mnie niegdyś w arkana sokolnictwa, a potem wypuściliśmy ją na wolność.

- Na wolność?

A cóż mogła oznaczać wolność dla Batszeby? Najwyżej pewną śmierć w szponach większego i dzikszego drapieżnika, którego charakter nie wypaczył się pod ludzką ręką. - Tu Fengon również wstał, by nie pozwolić sobie na arogancką pozę w obecności królowej.

- To nie moja ręka oswoiła Batszebę - powiedziała Gerta. - Rozwiązaliśmy jej pęta i z początku leciała nisko nad ziemią, nurkując co chwila, jak gdyby wlokła za sobą dłużce mogące ściągnąć ją z powrotem wedle woli człowieka, ale później, nie odczuwając oporu, wzbijała się w górę i unosząc się w rytmicznych śmignięciach, poczęła badać szerokość podniebnych korytarzy, ciągle jednak przechylając się na bok, żeby powrócić ku nam koszącym lotem i kołować pytająco nad naszymi głowami, jak gdyby nie chciała zrywać znanych sobie więzów. Nagle zniżyła lot, co wyglądało, jak gdyby zamierzała znów osiąść na mojej dłoni, ja jednak cisnęłam gienzową rękawicę w wysokie trawy; Batszeba zauważyła to w locie i początkowo zamierzała chyba ją odszukać, ale po chwili porzuciła ów zamiar i odleciała w stronę Elsynoru, pikując w oddali ponad lasem Gurre.

- Pamiętasz wszystko, jakby obraz Batszeby tkwił wciąż wymalowany w twojej pamięci. Czy pojawiła się jeszcze kiedyś na zamku? Może przysiadła, choć na parapecie twojego okna?

- Nie, lecz nawiedzała mnie w myślach, zrozumiałam, bowiem, że była droga memu sercu, chociaż jej wartość przyćmiewały problemy, jakich przysparzała swojej opiekunce.

- Masz na myśli to, że trzeba ją było karmić.

- A także zamiatać po niej, szorować klatkę, sprzątać jej odchody i sprawdzać, czy nie ma w piórach robaków, albo wszy... A poza tym martwiłam się o Batszebę pod każdym względem. - Piersz zdrząła Gercie ze wzburzenia, jak gdyby królowa była opasana pasem z dzwoneczkami i zapragnęła nagle, żeby zadźwięczały. - Miałam powody przypuszczać, że celowo obarczyłeś mnie takim, a nie innym plenipotentem, bo gdybym o niego nie dbała, zachowałabym się tak, jak gdybym nie dbała o ciebie. Nie byłam tylko pewna, czy szło ci o

to, by wyjść cało z niebezpieczeństw dalekich podróży, czy raczej pozostać żywym w mojej wdzięcznej pamięci.

- Żywi mewają niekiedy twarde wymagania - zauważył Fengon, a potem szeptem zwrócił się do swego sługi: - Parta.

Odczekał, aż ciemnowłosa młodzieniec, poruszający się z elastyczną płynnością, budzącą nieufność u stąpających ciężkim krokiem Duńczyków, wysunie się cichcem z komnaty, a potem objął stojącą jakby wyczekująco Gertę. Była wzburzona i przerażona rozwierającą się pod jej stopami otchłanią, lecz rozogniona pragnieniem połączenia swych ust z wargami Fengona, łukowatymi i wydatnymi niczym wargi kobiece, a składającymi się teraz do pocałunku w gęstwinie czarnego, przyprószonego tylko siwizną zarostu. Pragnęła, by ich oddechy zlały się ze sobą i żeby wzajemnie wsuwali sobie językami w ciepłe gardła osiadła za zębami wilgoć. Fengon był mocny jak drzewo, a w pikowanym kubraku przypominał nieustępliwego, młodego niedźwiedzia, młodszego, szczuplejszego i bardziej sprężystego niż Horvendil. Tym razem królowa nie poczuła odoru psujących się zębów ani woni niedawnego posiłku, splukanego piwem, lecz jakby żywe drewno, przypominające korzeń mandragory, który żuła i ssała czasami w dzieciństwie, podniecając się niewyraźnym posmakiem, przywodzącym na myśl cień podziemnej słodyczy.

Wyrwała się z objęć Fengona. Dyszała, choć bowiem ugasila pierwsze pragnienie, tłoczyły się za nim następne, niczym łańcuch bezwstydných interesantów, przyprowadzających królową o zawrót głowy.

- Popełniamy grzech - oświadczyła swojemu współwinowajcy.

Fengon cofnął się tanecznym krokiem, z wargami wykrzywionymi rozbawieniem triumfu.

- Nie wedle praw miłości - jął przekonywać Gertę pośpiesznie i cicho. - Rozróżnia się wszak grzechy przeciw Kościołowi i grzechy przeciwko naturze, będącej starszym i czystszy dziełem bożym, my zaś przez wiele lat popełnialiśmy grzech, sprzeciwiając się właśnie naszym naturom.

- Chcesz przez to powiedzieć, że miłuję cię od dawna? - zapytała królowa, dostrzegając zarozumiałość Fengona, choć poczuła zarazem, że jej ciało jest opuchnięte, bezwolne i pragnie jego ramion, tak jak tropione i zranione zwierzę pragnie schronienia lasu.

- Nie mogę uwierzyć...- zaczął ostrożnie Fengon, wyczuwając, że Gerta może chwycić się najłżejszego afrontu, by wykorzystać go jako wymówkę i umknąć na zawsze. - Wyznaję pewną, być może heretycką tezę mojej osobistej religii, która głosi, że Stwórca nie mógłby zaszcześcić we mnie tak niepohamowanej miłości, nie zezwoliwszy jej obiektowi na choćby

przebłysk wzajemności dla mnie - podjął Fengon przerwany wątek w inny sposób. - Czyżby moje modlitwy były całkiem daremne? Wszak zawsze przyjmowałaś moją obecność przychylnie, choć tylekroć grzeszyłem nieobecnością.

Królowej zatrzepotało serce w piersi i zadrżały dłonie; poczuła, że jej życiu zagraża nagle potężne poczucie wolności, potężniejsze niż kiedykolwiek od chwili, gdy jako mała księżniczka błagała o okruchy miłości Roderyka pośród zamętu i wojennych zawołań na rozwiątym dworze ojca. Kiedy człowiek jest mały, wszystkie znaczenia wydają się potężne - lecz gdy w dorosłym życiu utracimy dziecinne zaplecze pewności przebaczenia i po wieczność dostępnego ratunku, pokrętne poczucie osobistej wolności mimo wszystko czasem jeszcze powraca.

- Mogę kontynuować tę rozmowę, lecz me w Eisynorze - wionęła Gerta do ucha Fengonowi. - Spójrz tylko na nas, musimy szeptać i kryć się w zimnej, zadymionej komnacie, podczas gdy twój sługa waruje tuż za drzwiami i myśli, że pewnie doszło już do najgorszego! W królewskich komnatach nic się nie ukryje, a przyznam, że i moje sumienie wzdryga się na widok nawet najbliższego postępu, który nie przystoi królowej. Mój drogi szwagrze, powinnam zatem raczej cieszyć się twym wspomnieniem tam, gdzie mogę poddać się fantazjom i gdzie czule przechowuję pamięć o tym, jak ośmieliłeś przekomarzać się ze swoją królową głosem takiej barwy, jakiej nigdy przedtem nie słyszała, nie zaś stać teraz tutaj przed tobą i wysłuchiwać twych zuchwałych roszczeń.

Fengon osunął się na kolana, na kamienną posadzkę u stóp Gerty, nie podnosząc twarzy, lecz pochylając w ukłonie porośniętą szpakowatymi, gęstymi włosami głowę, zdobną w plamę bieli wygojonej rany.

- Nie wysuwam żadnych roszczeń, Gerto. Ja tylko zebrzę. Prawda jest prosta: żyję jedynie w twojej obecności. Reszta mojego życia to wyłącznie gra.

- A czy to nie jest gra? - zapytała oschle Gerta, głaszcząc kłujące włosy szwagra dłonią, którą wyziębiło zgubne oddanie. - Musimy znaleźć sobie lepszą scenę... Scenę, której nie musielibyśmy wynajmować od naszego króla.

- Tak - odpowiedział Fengon i powstał, przybierając równie pragmatyczny ton, jak Gerta.

- Horvendil jest także i moim królem, więc spotkania z tobą na zamku byłyby dla mnie upokarzające, nawet gdybym nie znajdował się już w położeniu niegodziwca, pożądanego żony brata.

- Czyli mnie, która już dawno przekwitła... Drogi Fengonie, czyż nie poznałeś w śródziemnomorskich krainach młodszych kobiet, które pomogłyby ci zapomnieć o pulchnej,

starzejącej się bratowej? Słyszałam, że tam, z dala od naszego ponurego nieba i okrutnych mrozów, krew żywiej krąży w żyłach, a noce bywają gęste od zapachów kwiecia i cytryn. - Królowa chciała, by opuścili zdradliwy, przygnębiający grunt rozmowy, na którym, co było jasne, choć nie padło na ten temat ani jedno słowo, zawarli wzbronione im porozumienie.

Fengon podchwycił żartobliwy ton Gerty

- Istotnie, zdarzają się tam takie noce. I miałem tam młode kobiety, których nie brakuje przecież w żadnym kraju. Ja jednak jestem synem jałowych wrzosowisk, toteż na próżno szukałem zorzy polarnej na śródziemnomorskim niebie, na którym gwiazdy wiszą nisko, jak owoce, u nas zaś poruszają się zwodniczym, jakby niepochwytym ruchem. W porównaniu z naszymi gwiazdami gorące słońce i spasiony księżyc, które nadają mieszkańcom południa jasność ducha, wydawały mi się... jak to powiedzieć?... wulgarne, krzykliwe, pospolite...

- Za mało subtelne - podpowiedziała Gerta, śmiejąc się i z siebie, i z harmonii, w jakiej pozostawała z tym czarującym łajdakiem. Skoro księża wciąż powtarzają kobietom, że ich podbrzusza to siedliska zła, kobiety muszą czynić swoimi kochankami złych mężczyzn.

Gerta wezwała Korambisa na audiencję w dniu, w którym król nie mógł przeszkodzić im w spotkaniu. Horvendil wyjechał na przegląd garnizonu w Spodsbjergu. Wystąpił w pełnej zbroi, by podnieść morale żołnierzy przed nieuniknionym, jak obwieścił, starciem z młodym Fortynbrasem i jego norwesкими renegatami, Gerta mogła, więc tymczasem odetchnąć przez kilka dni. Natarczywa obecność korpulentnego, wojowniczego małżonka nie pozwalała jej ostatnimi czasy swobodnie oddychać, a na samą myśl o Horvendilu w gardle królowej pojawiała się dławiąca klucha.

Szambelan wydawał się siedemnastoletniej dziewczynie starcem, w dniu kiedy utraciła dziewictwo, choć w rzeczywistości królewski dostojnik był wówczas krzepkim jeszcze, niespełna czterdziestoletnim mężczyzną, który przebył dwanaście wiorst w świeżym, kopnym śniegu, by oficjalnie potwierdzić, że widział krew na małżeńskim posłaniu - teraz jednak, w oczach czterdziestosiedmioletniej matrony nie zdawał się wiele starszy od niej, choć następne urodziny szambelana miały być siedemdziesiątymi z kolei, a nieczesana kozia bródka monarszego doradcy całkiem posiwiiała.

- Drogi przyjacielu - zaczęła Gerta. - Ty jeden na naszym dworze przejrzałeś maskę królowej i dostrzegłeś niepokój w moim sercu.

Wilgotna dolna warga Korambisa rozciągnęła się na bok, zanim szambelan oznajmił:

- Być może wielu spostrzegło twój niepokój, lecz tylko ja dostąpiłem przywileju rozmowy z tobą, pani, na temat doskwierających ci, lecz łagodnych rozterek.

- Łagodne rozterki stają się z czasem nieznośne, a drobne otarcie często kończy się nawet konwulsjami.

- Wasza dostojność, niepokój jest wpisany w los każdego człowieka, także osób najwyżej urodzonych. Zadbana stopa jest najwrażliwsza na ból.

- Nie pouczaj mnie. Wierzę, że miłujesz swą królową - powiedziała Gerta. Jej dłoń z własnej, pobudzonej nerwowo woli opadła w pobliże kolan Korambisa, siedzącego, jak zwykle, na trójnogim krześle o prostym, spiralnym oparciu, które nikomu nie mogło służyć za bezpieczną podporę. - A od ludzi, których miłujemy, nie mogą nas dzielić żadne wstydlive problemy. - Dłonie Gerty, nie dotknąwszy jeszcze szambelana, zatrzepotały, ukazując otaczające ich kamienne ściany. - Elsynor stał się dla mnie lochem od dnia, w którym ujrzałam, jak w tych murach kończy żywot mój ojciec, który wymógł na mnie, bym pozostała tutaj jako pani na zamku. To wbrew naturze, żyć całe życie tam, gdzie się urodziłyśmy: nasze rozrastające się korzenie powinny przebijać się przez stosy starych śmieci. Żywiłam kiedyś nadzieję, że czas złagodzi we mnie poczucie izolacji i że przywyknę do samotności, podobnie jak uszy, które przyzwyczajają się do hałasów i głuchną na codziennie powtarzane od głosy, czy byłyby to krzyki gawronów, czy grzechot kół wozów na bruku. Tak się jednak nie stało, tymczasem nadciąga już starość. Moja uroda, będąca raczej po prostu odbiciem zdrowia niż jakiegoś szczególnego wdzięku, zdążyła przyblaknąć, ja zaś nigdy dotąd nie żyłam jeszcze dla siebie.

- Dla siebie? - powtórzył Korambis, zaciskając i rozwierając swe wilgotne wargi, jak gdyby chciał posmakować niejasnej dla niego idei.

- Najpierw byłam córką mojego ojca, a potem zostałam żoną zajętego własnymi sprawami męża i matką obcego, oddalającego się ode mnie syna. Powiedz mi, zatem, kiedy zacznę wreszcie służyć osobie, którą noszę wewnątrz, kiedy zacznę służyć mojej duszy, której nie mogę nie słyszeć, a która szukała ujścia już w pierwszym, krwawym krzyku, gdy moje ciało wyrwano z rozszarpanych porodem lędźwi matki? Kiedy, Korambisie? Potrzeba mi czegoś... co wcale nie powinno cię zadziwić...

Sędziwy dostojnik cmoknął kapryśnie, gładząc ekstrawaganckie, muszlowate rękawy swojego kaftana.

- Ale, kochana Gerto, czyż istnieje człowiek, którego życia nie określałyby stosunki z innymi ludźmi? Nie istnieją samotne, niezależnie unoszące się w przestrzeni byty. Mógłbym wyrecytować podobną do twojej litanię, i ja mam, bowiem nieobecnego syna, jako że Laertes

kształci się w Paryżu, a jestem także ojcem jak najbardziej obecnej przy mnie córki, obecnej jednak w moich pełnych troski myślach jako kopia Magrit, zagrożona nieziemską, eteryczną pięknnością swojej matki. Mówiąc dalej w tym relatywnym tonie o moim związkach ze światem, muszę dodać, że jestem wdowcem i posłusznym sługą mojego króla, a co z tego gładko i słusznie wynika, sługą jego małżonki, mej znakomitej królowej.

W mozolnej przemowie Korambisa znalazło się żądanie sugerujące wyższość pozycji króla, jak gdyby szambelan poczuł się osaczony, przewidując kłopotliwą natarczywość Gerty.

Dlatego właśnie królowa postanowiła wyłożyć mu wszystko wprost. - Potrzebuję własnej rezydencji - powiedziała.

- Miejsca, w którym, kiedy tylko pozwolą mi na to obowiązki, mogłabym przebywać, jakkolwiek chcesz rozumieć następujące określenie, w odosobnieniu, zatem z dala od tłocznych korytarzy Elsynoru, lecz nie na tyle daleko, abym po półgodzinnej podróży nie mogła bezpiecznie po wrócić do zamku. Radziłeś mi kiedyś, bym częściej oddawała się lekturze, poświęcała mniej czasu na haftowanie i zażywała ruchu. Wyobrażam, więc sobie, że moja samotnie będzie wtopiona w naturę i wolna od gapiów, którzy wszędzie towarzyszą monarchom. Mogłabym oddawać się tam w samotności zbawiennemu próżnowaniu, by odzyskać równowagę i pobożność, jaka przystoi małżonce kochającej swego króla.

Korambis słuchał, wydawszy dolną wargę. Przechylił głowę na bok, przybierając, jak wydawało się Gercie, pozę tym bardziej nacechowaną narastającym oporem, im bardziej ona zbliżała się do sedna, czyli konkretnej prośby.

- Drogi, stary przyjacielu... - Królowa zmusiła się, by ciągnąć dalej, wpadając w ton gwałtownej, głębokiej zażyłości, po części pod wpływem autentycznej sympatii do szambelana, wyczarowanej jednak celowym wspomnieniem dawnych czasów, kiedy Korambis był wciąż krzepkim mężczyzną, ona zaś smukła niczym wierzbowa witka. Mój przyjacielu, wiesz doskonale, jak starannie stępiłam moje uczucia, by dostosować się do wymagań, które stawiała mi Dania. Czy ten kraj, składający się z rozproszonych wysp, jest nazbyt mały, żeby zapewnić mi, choć jedną kryjówkę? Jeśli jej nie znajdę, gorycz nakaże mi, być może, znienawidzić państwo, które ogranicza osobistą swobodę królowej.

Korambis nastawił czujnie uszu, spostrzegłszy, że Gerta jest w niebezpiecznym nastroju.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś mogła kogoś nienawidzić, choćby i ludzi, którzy ograniczają twoją wolność. Domeną Gerty była zawsze wesołość i dobroduszość. Już będąc różowym niemowlęciem w kołysce, śmiałaś się i oddawałaś swe zabawki każdemu, kto tylko zechciał obdarzyć cię spojrzeniem. A i ostatnio na przykład na moją córkę spłynęło wiele łask

za sprawą życzliwego zainteresowania królowej jej osobą. Ofelia traktuje cię niemal jak rodzoną matkę.

- Szczerze miłuję Ofelię, i to nie tylko, dlatego, jak ktoś ostatnio nieuprzejmie powiedział, że widzę w niej siebie samą z lat młodości. Nigdy nie dorównywałam Ofelii nie zwykłą pięknnością i nigdy nie byłam tak nieśmiała, jak ona. Ja po prostu dostrzegam w niej lekarstwo, mogące rozproszyć chłód mojego Hambleta, a wraz z nim chłód panujący w całym naszym królestwie. Muszę jednak ocalić własną duszę - dodała - pospiesznie Gerta. - Choćby na krótkie chwile odosobnienia, potrzebnego mi ostatnio tak bardzo, iż obawiam się, że nie zdołałam tego w pełni wyrazić.

- Powiedziałaś dość.

- Jakie to dziwne, że królowa musi błagać o to, co każdej wiejskiej dziewczce zapewnia zwykły stóg siana! I jakże niezwykły wydaje się zapewne kaprys mojej namiętności mężczyźnie, któremu wystarczyłoby po prostu owinąć się płaszczem, odwrócić i posłać świat do diabła! Korambisie, nabyłeś otóż i odnowiłeś dwór nad brzegiem Gurre So. Leży w odludnym miejscu w lesie Gurre i zapewnia wszelkie ważniejsze wygody, jakich moglibyś o sobie życzyć ewentualni goście.

- To nie jest dwór, wasza wysokość... W żadnym wypadku. Właściwie tego domu nie sposób nazwać nawet zwykłą chatą. To nieużywany od dawna domek myśliwski, zbudowany z pni, desek i tarcicy. Stary dach był kiedyś kryty strzechą, nowy jest z łupku, a domek ów powstał w czasach, gdy okolice Elsynoru obfitowały jeszcze w dziką zwierzynę, później jednak, jak już powiedziałem, stał nieużywany. Przylega natomiast do niego pewna osobliwość - prastara, okrągła wieżyca, być może o przeznaczeniu religijnym, niegdyś zapewne sanktuarium albo kapliczka, wzniesiona przez odstępczych anachoretów jeszcze przed chrystianizacją kraju za czasów Haralda Sinozębego, a może nawet przez wyznawców jakiejś całkowicie innej religii, jako że jeziora powszechnie traktowano dawniej jako miejsca święte. Śmiem twierdzić, że udało mi się ciekawie połączyć ów zabytek z resztą budowli. Wypełniłem luki w wiekowym, kamiennym murze wieży modną dzisiaj cegłą i zaprawą murarską, wzniosłem dach z łupku oraz mocnych krokwi, o czym już wspominałem, a jedyny w budynku otwór okienny wyposażyłem w najkosztowniejszą nowość z dziedziny budownictwa okiennego, czyli w szkło witrażowe, zdobione wzorami w kształcie diamentów i kół, a osadzone w ramie na żelaznych zawiasach i drążkach, toteż za pomocą klamki okno można ściśle zawrzeć albo otworzyć na otwartą przestrzeń i widok na jezioro, wedle kaprysu i wygody mieszkańców. Rzadko korzystam z tej uroczej i zacisznej samotni, gdy wymagana jest moja obecność na zamku, lecz chciałbym uczynić z leśnej siedziby nad jeziorem swój

ostatni dom, gdy troski służby publicznej zostaną wreszcie zdjęte z mnich barków, ja zaś będę mógł oddać się rozmyśleniom nad sprawami wieczności oraz praktykom uświęcającym ducha. Jak sama powiadasz, to odludne miejsce, leży jednak całkiem niedaleko... O jedną czwartą drogi do Odinsheim, a pół godziny niemęczącej wierzchowca jazdy z Elsynoru.

Odinsheim i Lokisheim, pomyśleli oboje.

- Krótko mówiąc, to przedsiónek rajy, przezornie i słusznie przygotowany w oczekiwaniu na Dzień Sądu - powiedziała Gerta. - W rzeczy samej, widziałam kiedyś twój dom, Korambisie, a było to pewnego dnia tej jesieni, gdy Herda i ja zabrałyśmy twoją kochaną Ofelię na przejażdżkę, by zaróżowić nieco jej blade policzki. Pokazywała mi tę rezydencję z radością dziewczynki, która dostała właśnie domek dla lalek, wyposażony we wszelkie najnowsze wygody, wiem zatem, że jest w nim jasno, ciepło i nie brakuje wody, choć dom pozostał wierny starej, surowej tradycji nordyckiej, zdobiony jest bowiem rogami i futrami dzikich zwierząt. W okolicy, jak okiem sięgnąć, nie widać innych domostw, z wyjątkiem kościoła, którego zbity z desek iglica zwiesza się odwróconym łukiem nad przeciwległym brzegiem jeziora, i nie słychać nic, wyjąwszy pomruk drobnych fal, świergot ptaków i ukradkowy szmer ścigającej i ściganej zarazem drobnej zwierzyny leśnej. W takim miejscu z pewnością odzyskałabym utraconą równowagę ducha. Moja prośba do ciebie, mój najdroższy, stary przyjacielu, brzmi zatem tak: czy mogłabym, powiedzmy, raz lub dwa razy na tydzień udać się do twej siedziby So na popołudniowy wypoczynek z tkaniną do haftowania albo żywotem jakiegoś świętego, by czytaniem zająć oczy, a może po prostu po to, by próżnować, złożwszy ręce na kolanach, i chłonąć cudowne widoki oraz zapachy nieskażonego lasu i jeziora? Potrzeba mi spokoju, który nie gości w elsynorskim zamku. Teraz, kiedy z pewnością przekroczyłam już połowę życia, jakkolwiek hojnie by obliczać jego długość, zapragnęłam czegoś, co można nazwać prawością, jeśli nie świętością, która umocni mnie na resztę lat, jakie pozostały mi na ziemi. Proszę, zgódź się wypożyczać czasem samotnię swej królowej. Prawie nikt nie będzie o tym wiedział. Pojedzie ze mną jedynie Herda i zbrojni ze straży przybocznej, a że są to ludzie nieprzejednanie lojalni i najbardziej dyskretni z całego garnizonu, przypieczętują tylko samotność i spokój, którego tak łaknę.

W tym miejscu Gerta przerwała długi monolog, choć zdenerwowanie kazało jej językowi brnąć coraz dalej i dalej, albowiem wszystkie te niewinne kłamstwa, zawierające ziarno prawdy, jak każdy celny fałsz, brzmiały w uszach królowej niebezpiecznie, poza tym zaś obawiała się, jakiej odpowiedzi udzieli jej Korambis. Więcej, irytowało ją wręcz, że znalazła się na łasce dworzanina swojego ojca i męża, królewskiego sługi, i że przez jego notoryczną ostrożność musi błagać nie wiedzieć jak uniżenie o - w gruncie rzeczy - niezwykle

drobną przysługę. Korambisowi powinna raczej pochlebiać ta nietypowa, co należało przyznać, sposobność, by przysłużyć się królowej.

Szambelan przypatrywał się jej oczami osadzonymi w krągłej niby wydrażona dynia głowie. Jego spojrzenie trzymały na wodzy starania, by nie zdradzać jakichkolwiek uczuć.

- A król? Czy i on ma znaleźć się wśród tych, którzy nie będą znali miejsca twojego pobytu?

Gercie gwałtownie zabiło serce, albowiem usidlająca wycieczka w oszustwo działała jej na nerwy. Odpowiedziała szybko, śmigając w powietrzu białymi dłońmi w poszukiwaniu niezliczonych wymówek.

- Oczywiście nie stałoby się nic złego, gdyby król je znał, ale po prawdzie wolałabym, by nie wiedział, gdzie jestem. Albowiem gdyby znał miejsce mojego pobytu, przez cały czas tkwiłby niechybnie w mojej świadomości, ja zaś pragnę uwolnić myśli nawet od tak niewinnego natręta, jak Horvendil. W kapryśnej trosce o mnie mógłby przyjechać nad Gurre So w odwiedzin... On, konie w pełnej uprzęży, tupot i hałas, i to akurat w chwili, w której za pewne nie byłabym w nastroju, odpowiadającym jego pełnym oddania dla żony uczuciom... Nie. Brzmi to wszystko bezdusznie, wiem, lecz jeśli pomyślisz o tych szczęśliwych tatach, które przeżyłeś u boku Magrit, przypomnisz sobie niechybnie, że małżonkowie powinni niekiedy trochę od siebie odpocząć. W przeciwnym wypadku nie będą mieli czasu, by splukać osad wzajemnych pretensji i żalów.

- Twoje wyjazdy i powroty nie pozostaną niezauważone wśród mieszkańców zamku, którzy zaczną snuć różne domysły.

- Cóż, jeśli król odkryje moje niewinne wycieczki, dowie się, zgodnie z prawdą, że służą one wyłącznie ćwiczeniom duchowym i doskonaleniu się w medytacji. Ja, która trawiłam niegdyś, rozmarzona, całe popołudnia na czytaniu jałowych romansów, bajających o rycerzach i pokrytych łuską potworach, tym razem zabiorę ze sobą oprawne w welin księgi Ewangelii, Listy Apostolskie albo pouczające komentarze do nich, jak na przykład te, które przysyła nam ciągle biskup z Roskilde. To prawda, cny Korambisie, nikt zaś nie może znać jej lepiej od ciebie, że dwór mojego ojca nie był zbyt pobożny, toteż w dzieciństwie moje nauki misteriów Chrystusowych poważnie zaniedbano. Popieram prawdziwą wiarę, jak każdy szlachetny Duńczyk, ale z trudem przyszłoby mi wymienić jej zasady. Jezus umarł i został wskrzeszony, wywracając porządek natury upadłej od czasów Adama, tkwiącej wciąż jednak i w nas, i poza nami. Czy mniemasz, że król, którego wiara jest znacznie silniejsza i mroczniejsza niż moja, a którego nadrzędnym celem jest uczynić rządzonego przez siebie naród

bardziej chrześcijańskim, mógłby mi się sprzeciwić, gdybym zechciała pogłębiać w samotności znajomość świętych prawd?

Korambis nie darzył Horvendila sympatią ani teraz, ani dawniej, lubił natomiast Gertę - tak przynajmniej podpowiadało królowej przeczucie zrodzone na podstawie tysięcy drobnych incydentów i impresji, jakie nagromadziły się w jej wspomnieniach niezliczonych już dni, spędzonych w murach elsynorskiego zamczyska.

- Sądzę, że temu król nie byłby przeciwny - zdecydował szambelan. Uśmiechnął się oślizłym, krótkim uśmiechem, przy którym podskoczyła jego kozia bródka, gdy usiłował pokłonić się niezgrabnie i gwałtownie, nie powstając ze skrzypiącego pod jego ciężarem krzesła, potem zaś ciągnął dalej: - I ja także nie mogę odmówić królowej wstępu do mojej skromnej samotni, jeśli dusza waszej wysokości łaskawa jest pragnąć odosobnienia pośród puszczańskiej dziczy.

- Samotność napawa mnie lękiem, lecz pragnę jej mimo to, byłaby, bowiem wypadem w nieznaną mi dotąd wnętrze własnej jaźni. Jestem bojaźliwa, ale nazbyt doświadczona życiowo, bym miała zrezygnować ze swych planów.

- Planów realizowanych w słusznej sprawie - przypomniał jej Korambis. - Wszak rzecz dotyczy batalii o twą duszę. Nieopodal mojego ustronia mieszka wraz z małżonką pewien człowiek, który dogląda domku myśliwskiego nad Gurre So. Powiadomię ich, że królowa może tam przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy zechce, i że nie należy jej przeszkadzać, gdy bawi nad jeziorem.

- Królowa czuje wielką wdzięczność i niewątpliwie znajdzie jakiś sposób, aby ci okazać, jak bardzo jest rada.

Ale stary polityk nie pozwolił Gercie wykręcić się tak tanim kosztem.

- Z tronu na jego sługi spływają zawsze same błogosławieństwa - powiedział. - Nie potrafię odmówić ci ni czego, co posiadam. Muszę jednak wyznać, że istnieje w tej kwestii pewna trudność: otóż jeśli osoba na moim stanowisku skrywa coś przed królem, popełnia zdradę stanu, a zatem najcięższą, karaną gardłem zbrodnię.

Była to prawda, i chociaż jako królowa Gerta przywykła do tego, że z losem władczyni powiązane są ściśle losy wielu ludzi, serce zadrżało jej na myśl, iż mogłaby wciągnąć starego szambelana w swoje zdradliwe matactwa. Korambis nie miał wszak podobnych strapień, jak Gerta, i nie posiadał także jej animuszu.

- Przecież to tylko drobny sekret rodzinny - odparła beztrąsko.

- Uknuliśmy spisek, istotnie, lecz jedynie po to, by uczynić ze mnie lepszą żonę, która stałaby się mądrzejszym wsparciem dla męża.

Korambis westchnął i ponownie przemieścił się na krzesło. Nasunął na czoło stożkowaty zielony kapelusz pod odpowiednim kątem, przechylając z niezadowoleniem głowę, a potem zacisnął dłonie na poręczy, jak gdyby zamierzał wesprzeć się i wstać. Ręce szambelana były niepokojąco zeschnięte, choć wydawało się, że jego tułów zachował jeszcze pulchność.

- Tak czy owak, robię to dla ciebie, za to, jaka byłaś. A byłaś kiedyś dziewczęciem, które pływało swobodnie i beztrąsko dopóki nie przywiązano ci do nogi ołowianego ciężarka. Ta bestia o płowych włosach, Horvendil, który przyjeżdżał do niej w zaloty w rubinowym płaszczu i kolczudze, miałaby być dla królowej ołowianym ciężarkiem?

Ger ta zaczęła go bronić.

- Sądzę, że mój mąż nadal mnie miłuje.

- Tyle tylko, ile się należy, i ani odrobinę więcej - odpowiedział Korambis, który szybciej zmiarkował, w jakim kierunku zmiarzają, i nie chciał zaciemniać sprawy. Po chwili westchnął, mrugając powiekami na myśl o przyszłości. - Kiedy król i królowa wchodzi z sobą w konflikt, głowy ich doradców zbliżają się niebezpiecznie do katowskiego pnia.

- Nie kazałabym ci podejmować dla mnie takiego ryzyka - skłamała Gerta.

Korambis znów opadł bezwładnie na oparcie niewygodnego krzesła.

- Nawet doradcy nie zawsze bywają niewolnikami wyłącznie dobrych rad. „Nie pożyczaj nic nikomu ani od nikogo” - powiada znane porzekadło, życie jest jednak płataniną spłaconych oraz niespłaconych należności i wciąga nas wszystkich w długi. Podejrzewam, że król chciałby mnie odprawić ze dworu, co zmniejsza albo i zwiększa ryzyko z mojej strony, nie umiem tego ocenić. Sądzę jednak, że stawka, o którą gram, jeżeli mierzyć ją latami pozostałych mi jeszcze łask królewskich, jest niewielka i nieustannie topnieje.

- Jesteś ojcem przyszłej królowej Danii - zapewniła go Gerta. - Dlatego nie można cię tak po prostu odprawić.

- Nie kuś w tej sprawie losu zbyt stanowczo, pani. Ofelia jest jeszcze dzieckiem i łatwo odda to, czego nigdy nie będzie mogła odzyskać, uzyskując w zamian jedynie wzgardę. Hamlet jest opryskliwy, posiada daleko szersze horyzonty niż moja córka i z upodobaniem sięga w rozmowie ich krańców. Obawiam się, że księżę nie ceni mojego aniołka tak wysoko, jak ty albo ja.

Gerta z najwyższym trudem zwróciła uwagę na tę nić fabuły, była, bowiem pochłonięta wątkiem, dotyczącym wyłącznie jej osoby, a ponadto upojona sukcesem. Oto znalazła samotnię poza Elsynorem. A nadchodziła już wiosna. Pąki wierzby stały się długie i soczyscie żółte, pąki dębów zaś zarumieniły się i napęczniały.

- Opowiedz mi o Bizancjum - poprosiła królowa w czasie pierwszej schadzki z Fengonem.

Gdy ustąpiła zima, Gerta zaczęła korzystać z domku Korambisa nad jeziorem. Nieopodal krytej strzechą chaty przyjmowała z siodła ukłony starej kobiety, podczas gdy jej kulawy mąż, który był kiedyś gajowym, dopóki topór nieszczęśliwie nie wyśliznął mu się z rąk, pędził w popłochu ścieżką, wiodącą do posiadłości szambelana, żeby napalić w kominku. Dwaj milczący zbrojni królewskiej eskorty czuwali w przedpokoju o glinianej podłodze przy leniwym, opalonym torfem ognisku, przy którym grzali sobie dłonie i stopy. Herda urzędowała w podziemnej kamiennej komnacie, stanowiącej w ustroniu Korambisa pokój kominkowy, którego główne palenisko było tak wielkie, że mogło pomieścić w swej gardzieli dzika. W komnacie, w szczycie dachu, znajdowała się kłapa wentylacyjna, którą można było otwierać i zamykać za pomocą długiej tyczki, a pod ścianami stały ławy, służące dawniej myśliwym za posłania.

Gerta schroniła się dwie komnaty dalej, w starej, okrągłej wieży - aby się do niej dostać, należało przejść przez wysoką salę bankietową, udekorowaną jelenimi rogami i rozciągniętymi na posadzce skórami niedźwiedzi, zanurzyć się w nowo wybudowany korytarzyk o niskim sklepieniu, a następnie pokonać sześć stopni schodów w górę. Jedyne, oszklone, otwierane okno w tej sypialni, ostrołukowe w kształcie, wychodziło na kurtynę zieleni. Tworzyły ją długoiglaste modrzewie oraz rosnące szybciej klony i dęby, których rozwijające się liście zdusiłyby pędy iglaków, gdyby dębowych i klonowych gałęzi nie przycinał od czasu do czasu gajowy. Dalej, zza listowia, połyskiwało jezioro. Dym z niewielkiego kominka, obramowanego pasem bladobłękitnych kafli, sprowadzonych z Fryzji, uchodził przewodem kominowym, wbudowanym wedle najnowszej mody w szczytową ścianę, Gerta woląla jednak grzać się przy żelaznych kuszach, wypełnionych gorejącymi, dymiącymi okruchami węgla. Siadywała często między żelaznymi piecykami, pochylając się nad tamborkiem lub przewracając z wolna jasne pergaminowe stronicie Ewangelii, zapisane trudną do zrozumienia łaciną.

Małeńkie, pokolorowane tuszem postacie w - różowo - niebieskich szatach, o dużych oczach w kształcie ryb i zaciętych, drobnych ustach, przypominających pyszczki cierników, usiłowały przy każdym kolejnym, zawiłym inicjale ożywić święte teksty, podobnie jak różnorodne, fantastyczne zwierzęta o nierealnych barwach i uskrzydłone anioły, które wręczały ludziom maciupeńkie zwoje Pisma, dęły w złocone rogi albo z wyrazem niewinności w oczach wznosiły ku górze dwa palce ku strasznej i zdumiewającej przestrodze.

Bijące z kart księgi niejasne znaczenie, atmosferę dobrej nowiny i odległego, niebiańskiego ładu Gerta przyjmowała z taką samą rozkoszą, jak ciepło bijące z koszy z rozpalonymi węglami, koszy, o które wspierała łokcie. Kiedy robiło jej się za gorąco, krążyła po komnacie wokół osłoniętego baldachimem, puchowego łoża, gładząc zbytkowne, gładkie kafle, idealnie równo ułożone cegły, cynowe świeczniki i witrażową szybę, będące wyrazem zmysłowości starego wdowca, przejawiającej się w tych finezyjnych przedmiotach. Bąbelki powietrza, uwięzione w szklanych płytkach romboidalnych szybek, sprawiały, że majaczące za nimi pnie drzew zdawały się falować i załamywać. Było tak cicho, że Gerta słyszała szmer spłoszonych myszy i trzepot własnego serca, kiedy usiłowała wysondować głębię zdrady, jaką knuła. Śpiewy ptaków brzmiały coraz żywiej, ponieważ światłość kwietnia zwiastowała pierzastemu plemieniu nadejście pory zakładania gniazd, kojąc w ten sposób duszę królowej esencjonalną niewinnością natury. Lecz z drugiej strony, jaka nagroda spotka rozśpiewane ptaki za niewinność? Najdalej za kilka miesięcy pikujący z nieba sokół - albo śnieg, który pokryje trawy - przyniesie śmierć tym stworzeniom.

Podczas skrępowanych, ukradkowych, lecz nabrzmiałych - dwuznacznością rozmów, jakie prowadzili w tajemnych zakamarkach olbrzymiego, chłodnego, ponurego i pełnego ech elsynorskiego zamczyska, Gerta zdradziła najpierw Fengonowi fakt istnienia samotni, potem jej położenie, a następnie, przed kilkoma dniami, wyznaczyła mu spotkanie, na ten dzień właśnie, na dziś, wiedziała bowiem, że dzisiaj będzie nad jeziorem sama, wyjąwszy służbę, i oświadczyła, że nie ma nic przeciwko odwiedzinom Fengona, jeśli tylko szwagier potrafi dochować sekretu. Skrzydła ostrołukowego okna otwierały się na zewnątrz, a szeroko rozwarte odsłaniały otwór, przez który mógł przecisnąć się dorosły człowiek, dość sprawny, by wspiąć się najpierw na parapet na wysokości półtora chłopca nad ziemią. Wdzięczne dzikie wino o bujnych liściach w symbolicznym kształcie serc oplatało wielkie, stare kamienie tak ściśle, że podczas przebudowy domu mularze przycięli gałązki tylko trochę i pracowali, omijając poskręcane w pień łodygi w obawie, że gdyby wyrwali pnącze, cała ściana mogłaby się zawalić. Bujnie i uparcie rozrastająca się winorośl stanowiła jakby śliską drabinę sznurową, dającą stopom w butach o płaskiej podeszwie skąpe oparcie. Fengon, uwiązawszy konia w niewidocznym z domku miejscu, kazał się podsadzić Sandrowi, chwycił pnącze i wspiął się na górę, postępując z wysiłku i uśmiechając się ironicznie na myśl, że będąc już w średnim wieku, musi robić tak męczące rzeczy. Nie obeszło się bez pomocy Gerty, która podbiegła do okna, chwyciła Fengona za ramię i wciągnęła go wyżej, gdy wydawało się, że utknął na dobre w pół drogi, a jego ciężkie, pięćdziesięciosiedmioletnie ciało zawisło w idealnym bezruchu wbrew woli mięśni. Tak więc, dzięki pomocy królowej, Fengon stanął w

końcu w jej komnacie, wyprostowany dumnie i potargany, odsłaniając w szerokim uśmiechu wilcze zęby, ukryte w gęstwinie ciemnej, owalnej brody.

Spostrzegłszy, że Gerta cofa się na jego widok - bo choć dopomogła mu dostać się na górę, nieoczekiwanie poraziła ją myśl, że natychmiast utonie w porywczym uścisku szwagra - Fengon zadowolili się tylko dwornym, rozbrajającym pocałunkiem, muskając zaledwie grzbiet jej drżącej, białej dłoni. Po chwili, wciąż lekko dysząc, siedział u boku królowej, pośród nakładających się na siebie fal ciepła, wydzielanych przez bliźniacze kosze, i czekał na jej rozkaz, stanęli, bowiem niezdecydowanie na skraju zięjącej u ich stóp kazirodczej zbrodni. Ale do sztuki dyplomacji, której Fengon wyuczył się za granicą, należała umiejętność prowadzenia rozmowy ogródkami.

- To kraina bardzo do Danii podobna - odparł. - Składa się z wysp, które poprzესiewała jednak fortuna wojny, sprzyjająca od wieków wrogom Bizancjum, czyli Genuńczykom, Wenecjanom, Frankom, Nicejczykom, Bułgarom, Gruzinom, sułtanom seldżuckim, Alanom, Połowcom, chanom perskim i egipskim mamelukom. Ogromne niegdyś imperium z jednej strony starli na proch wyznawcy Mahometa, którzy uważają Bizantyjczyków za przeklętych niewiernych, z drugiej zaś chrześcijanie, wierni rzymskiemu papieżowi, ci, bowiem mają ich za godnych potępienia odszczepieńców. Mimo to w Konstantynopolu panuje wielkomięjska gorączka, której brak innym, mniej rozwiązłym stolicom. To największe miasto na świecie, dorównać mogłyby mu chyba jedynie miasta Chin. Bizantyjski dwór odznacza się przepychem i hieratycznym blichtrzem, jakim nie może się poszczycić żadna monarchia w Europie. Konstantynopol to newralgiczny punkt, w którym Azja zbiega się z Europą, a czarna Afryka wdziera się na bezmiar białych wód, zasilających Wołgę oraz Don. Do Konstantynopola przybywają ludzie ze wszystkich stron świata, Gerto, toteż spotyka się tam cały świat - ku mojemu zdumieniu, natknąłem się w tym mieście nawet na Duńczyków. Okazało się, że nasi przodkowie, pochodzący jeszcze od wikingów, pokonywali niegdyś burzliwe katarakty Dniepru, dostarczając konstantynopolskim kupcom topory bitewne, bursztyn oraz futra, a niektórzy z nich osiedli na stałe w Bizancjum, zostawszy ojcami błękitnookich dzieci, zrodzonych z greckich matek. Duńczyków, Szwedów, Norwegów i Anglików, którzy wchodzi w skład cesarskiej gwardii Waregów, ceni się tam wysoko za okrutną bitność. Przy Bramie Adrianopolskiej powstał nawet specjalny cmentarz dla przybyszów z naszych stron. Zmitrężyłem niejedną godzinę, chcąc przybliżyć ostatnie wydarzenia w Danii moim tamtejszym współziomkom w języku, którego już niemal całkowicie zapomnieli. Dawni Normanowie nadali Konstantynopolowi nazwę Miklagard, czyli „piękne miasto”, miasto, w którym marzenia stają się rzeczywistością. Bizantyjczycy z

kolei, niby w odwróconej w zwierciadle fantazji, nazywają Danię Brytią i twierdzą, że kraj nasz przedzielony jest murem na dwie części: jedna z nich ma być zdrowa i szczęśliwa, druga zaś zapowietrzona i rojąca się od węży. Ale to mniemanie lepiej oddaje dwoistość ich własnej natury, Bizantyjczycy są, bowiem krańcowo pobożni i nikczemni zarazem. W typowej dla nich bezdusznej niewinności bywają okrutni okrucieństwem dzieci. Ich odmiana religii chrześcijańskiej to tylko maskarada, której ceremonie ciągną się w nieskończoność. Kapłani dokonują cudu transsubstancjacji za bogato zdobionym przepierzeniem, po czym sami pożerają chleb. Ludność tamtejsza ma cerę ciemniejszą od naszej, choć nieznacznie, ale czarne czupryny Bizantyjczyków odznaczają się połyskiem, przy którym moje włosy zdałyby ci się matowe. Tę niewielką białą bliznę, którą mam na głowie, uznali za oznakę moich magicznych mocy. Ponadto nade wszystko uwielbiają czosnek, łaźnie i kastrację,

- Prawisz, Fengonie, o spotkaniach z ludźmi pochodzącymi z Danii, lecz czy nie nawiązałeś tam stosunków, no, powiedzmy z jakąś Greczynką, pragnącą urodzić ci niebieskookie potomstwo?

Fengon machnięciem dłoni sparował sztych zazdrości niegodnej serca jego królowej.

- Niełatwo porozumieć się w Bizancjum. Tamtejsi wielmoże, którzy łączą zazwyczaj funkcje władców i kapłanów, znają oczywiście łacinę i grekę, język z tych dwóch bardziej wartki i płynniejszy. Niższe stany, mając do czynienia z cudzoziemcem, uciekają się do mozaiki zwrotów pochodzących z francuskiego, włoskiego, a niekiedy nawet niemieckiego, choć Bizantyjczycy uważają Węgry za kraj germański, a Hiszpanię mają za kalifat, przy czym żaden z tych absurdalnych sądów nie jest przecież całkowicie błędny. Żydowscy i libańscy kupcy, którzy przelewają się olbrzymią falą przez Konstantynopol, posiadają szeroką znajomość języków, podobnie jak nierządnice, stanowiące znaczną i kwitnącą grupę społeczną. W cynicznym upodleniu władcy bizantyjscy odbierają jedną ósmą dochodów uroczej wspólnocie tych kobiet, napęlniając ich złotem swoje szkatuły.

Gerta zamarła - gdyby w tym momencie mogła wezwać ukochanego Horvendila, by zgładził tego bezczelnego szydercę, pławiącego się w zepsutych wspomnieniach, uczyniłaby to bez wahania.

- Tak w każdym razie słyszałem - ciągnął dalej Fengon, nie mrugnawszy okiem. - Ja ślubowałem wierność mej niedościgłej damie i z satysfakcją zachowywałem czystość w jej służbie. Nie było mi zresztą trudno poskromić żądze w królestwie oddanym z jednej strony obrzydliwym występkom, z drugiej zaś ascetyzmowi i samookaleczeniom. Klasztory buduje się tam na najbardziej odludnych stromiznach i wysepkach, by chronić ich mieszkańców przed pokusami tego świata, lecz mimo to są mnisi, którym samotność i odosobnienie nie

wystarcza, toteż często plamią się sodomia. Swoich świętych natomiast Bizantyjczycy podziwiają wprost proporcjonalnie do okrucieństw, jakie zadają sobie owi ludzie, którzy zadrezczają się bezsennością, stoją całymi dniami wyprostowani w bezruchu, głodzą z radością swoje grzeszne brzuchy lub wspinają się na słupy, na których wysiadują po kilka dziesiątków lat, dbając więcej o rozmnażające się w ich ranach robaki niż o swoje umęczone ciała. Inni, ogarnięci manią czystości, mieszkają w ziemnych norach, jak święty Joannikos, albo własną krwią karmią komary na błotach, jak święty Makarios. Są także wśród nich tak zwani hesychaści, którzy spodziewają się, że pewnego dnia z ich pępeków wytryśnie nieoczekiwane boskie światło.

Gerta zachichotała ze zdumienia, co zachęciło Fengona do kontynuowania tej niewiarygodnej opowieści.

- Był taki czas, Gerto, kiedy przedstawiciele tamtejszego Kościoła zwrócili się przeciwko własnym ikonom, zrywając ze ścian wspaniałe mozaiki i kopuły z bazylik, a także skazując na śmierć wszystkich chrześcijan, którzy ukrywali w domach wizerunki Chrystusa i Jego błogosławionej Matki. Bizantyjskie kościoły, w przeciwieństwie do naszych, pachnących czystym drewnem lipowym i jemiolą, cuchną ohydnyimi kadzidłami, zjełczałym krzyżmem i woskiem skapującym z lampek wotywnych. Szaleńcy w Bizancjum nie różnią się niczym od świętych, podobnie jak biskupi od morderców, a chorobliwa religijność tamtejszego ludu sprawiła, że zatęskniłem za prostotą naszej świeższej i znacznie prostszej wiary, zaprzątniętej bardziej wewnętrzną czystością niż demonstracją na pokaz.

- Zabawne, że ty śmiesz mówić ze mną o czystości.

Zęby Fengona błysnęły jakby lekko brunatną bladością. Siekacze w jego dolnej szczęce były krzywe i zachodziły na siebie, ale kły królewski brat miał ostre.

- A dlaczego nie? Czyśmy się, choć dotknęli? Czy w naszej rozmowie pojawiła się choćby najcichsza nutka cudzołóstwa? Jeżeli tak, zacznę od tego, że utnę sobie język. Wpuściłaś mnie, bowiem do siebie przez bramę tak ciasną - Fengon wskazał ostrołukowe okno - że nie mogłem ci przynieść ani jednego podarunku z tych, które przywiozłem z Grecji.

- Masz dla mnie jakieś podarki? - Gerta spostrzegła, że wciąż jest jeszcze dzieckiem, skoro tak szybko zbudziła się w niej ciekawość tego, co materialne przedmioty mogły powiedzieć jej o rozmyślaniach, jakie snuł o niej Fengon w owej dalekiej i fantastycznej krainie. Ptaki za oknem świergotały w dziwnej, własnej odmianie gwałtownej i piskliwej duńszczyzny, a guziczki bladozielonych listków, które rozwinęły się zaledwie wczoraj, wisiały już cętkami w chłodnym, ciemnym od modrzewi powietrzu. Ten mężczyzna, mimo otaczających go wykrętnych niewiadomych, odkrywał przed królową jej własne wnętrze.

Tymczasem żadna słabość, jaką okazywała w obecności męża, nie była w stanie złagodzić roztargnionej, nachmurzonej miny Horvendila, którą przybierał zawsze, gdy Gerta usiłowała zwrócić na siebie uwagę. Horvendil został odlany z jeszcze twardszego metalu niż srogi Roderyk. Tymczasem baczna uwaga, z jaką przypatrywał się jej Fengon, paliła i jednocześnie koła królową,

Roześmiał się, widząc jej niewinne rozgorączkowanie, po czym rzekł:

- Jeżeli kiedyś odwiedzę cię ponownie, być może będę mógł skorzystać z drzwi frontowych, jak dziś mój sługa, Sandro, który siedzi w tej chwili w podziemiach z twoją Herdą, dzieląc z nią ciasteczka, cydr oraz milczenie spiskowców.

Teraz z kolei roześmiała się Gerta.

- Czy widzisz na wskroś przez ściany? Czyżbyś na prawdę w Bizancjum stał się czarodziejem?

- Nie jestem czarodziejem, lecz kosmopolitą i znawcą ludzkiej natury. Mieszkałem tam, gdzie żyją obok siebie ludzie wszelkich usposobień i ras i gdzie wszystko jest cichcem dozwolone. W Bizancjum tak zwani dunatos, obdarzeni władzą i potęgą, mieszkają w luksusie z porfiru i jaspisu, a dwa kroki dalej od ich złoconych drzwi koczują głodujący bezdomni, wśród których widać niejedną umierającą matkę i niemowlę, ssące jedynie nicłość. Skrajne okrucieństwo i pobożność stykają się tam z sobą w krwawej mgle. Bizantyjczycy karzą cudzołóstwo, obcinając damom piękne, acz zuchwałe noski, lecz później takie kobiety wstępują do klasztorów, które z kolei okazują się czasem burdelami, tak daleko sięga tam, bowiem święte powołanie kurtyzany. Kiedy zostaje obalony cesarz, co wcale nie zdarza się rzadko, jego następcą, jakoby wyświadczając przysługę poprzednikowi, wydziera mu oczy, by przygotować go do życia pozagrobowego i uniemożliwić mu działalność polityczną na tym świecie. Mimo to mieszkańcy Bizancjum dalecy są od barbarzyństwa, a rozkosze bitew mają za niesmaczne. Wolą płacić wrogom daninę albo najmują żołnierzy z mniej cywilizowanych krajów, żeby walczyli za nich. Ich ulubionym środkiem skrytobójczym jest trucizna, której wytwórczość tamtejsi pigularze podnieśli do rangi sztuki. Owi Rzymianie Wschodu oddzielili sumienie od religii, dzięki czemu poruszają się w swoich jedwabiach swobodnie niby w stawie rojącym się od węgorzy, prześlizgując się przez życie, aby uniknąć krwawych, wynikających z ciasnoty umysłów utarczek, z którymi tak często mamy do czynienia tutaj, na północy. Bizantyjczycy nadali naszej ziemi wdzięczną nazwę: Thule.

Gertę przeszył dreszcz.

- Więc jednak cieszę się; że to ty zwiedziłeś ten kraj, nie ja.

- Darzyliby cię tam wielką estymą. Rudowłose niewolnice są w Bizancjum warte dwa razy tyle, co kobiety o ciemniejszej cerze.

- Czy bardzo tęsknisz za owymi ciepłowodnymi węgorzami? Obawiam się, że nasze mroźne obyczaje budzą w tobie niechęć.

- Jestem tej samej krwi, co ty, Gerto, Duńczykiem do szpiku kości. I tylko jedna dama na świecie odpowiada mojemu ideałowi. Tyś jest moją hagia sophia, czyli świętą mądrością.

- Mądrością czy szaleństwem, panie? - uśmiechnęła się Gerta, odsłaniając szparę między przednimi zębami.

- W Konstantynopolu istnieje wiele nurtów myśli religijnej - wyjaśnił Fegon. - Jeden z nich utrzymuje, że każdemu człowiekowi przysługuje pewna forma światłości, będąca w istocie jego własnym duchem, który przebywa w niebie, z dala od otaczającego nas zewsząd piekielnego więzienia materii. W chwili śmierci forma światłości powita swojego właściciela pocałunkiem, zwanym pocałunkiem miłości, którego akt odgrywa się tam w niektórych heretyckich sektach ku zgrozie ściśle ortodoksyjnych wyznawców. Owa forma to jakby osobista zbawicielka człowieka, manifestacja żeńskiego pierwiastka boskości. Jeśli chcesz, powiedz, że porywa mnie uniesienie, ja jednak wierzę, że dla mnie taką formą jesteś ty.

Gerta oblała się rumieńcem, jak gdyby od żaru płomiennego wyznania afektu Fengona.

- To przejawskrawienie graniczące z bluźnierstwem, stroi, bowiem naturę w zbyt pyszną dla niej suknię.

- Ja jednak doskonale rozpoznaję w niej moje uczucia. Wiem, że z naszego, ziemskiego punktu widzenia moje uczucie do ciebie wydaje się absurdalne, jesteś bowiem kobietą, a nie brak ich przecież na świecie, jak powiedziałem przed chwilą.

Gerta wydawała się urażona.

- Chciałbyś pozbawić mnie realnego istnienia, korzystając z usług teologii. Ja zaś wolałabym dostać te materialne podarki, które, jak twierdzisz, posiadasz, lecz których nie zdołałbyś rzekomo precyzyjnie przecisnąć przez okno - oświadczyła niemal z gniewem i monarszą godnością. - Następnym razem wejdź, zatem przez drzwi, tak jak twój sługa. Oboje jesteśmy już za starzy na trudne ewolucje szczenięcej miłości. Niechaj schronienie Korambisa od czasu do czasu nam służy, abyśmy mogli swobodnie pogawędzić, nie kryjąc się bojaźliwie. Ci, którzy o tym wiedzą, są naszymi współnikami, a zatem współudział nakazuje im milczeć.

- Nie boję się o siebie - powiedział Fegon, wolno cedząc słowa, jak gdyby każde z osobna musiało przejść sprawdzian szczerości. - W minionych latach igrałem z niebezpieczeństwem, dając Bogu sposobność, aby uwolnił świat od mojej niszczącej

namiętności. Miłość ta nie była niebezpieczna, dokąd pozostawałaś z dala ode mnie, moja amors de terra lonhdana, lecz teraz, gdy jesteś tak blisko, twoje oblicze i gesty pasują niby klucz do zamka moich fanatycznie hołubionych wspomnień, więc boję się o nas oboje. Boję się o tron i boję się o Danię.

- Być może za bardzo się boisz i za wiele marzysz. Potężne państwa rzadko upadały w następstwie kaprysu łask kobiety, a ponadto zwiesz eterycznym to, co w istocie dzielimy ze wszystkimi zwierzętami. Wydaje mi się, że prowadziliśmy już kiedyś podobną dyskusję, zastanawiając się, czy miłość jest niebiańskiego, czy też może ziemskiego pochodzenia. Ja jestem dzieckiem ziemi i nie mogę się doczekać, gdy zważę w dłoni i ujmę twe podarki, przywiezione, jak mówisz, z owego Miklagardu, którego nigdy nie zobaczę, ja, nieszczęsna, blada dama z Thule.

Fengon domyślił się, że nie otrzyma dziś od Gerty nic więcej ponad to ultimatum, złożył, więc królowej pożegnalny ukłon. Sandro nie wiedział, że jego pan wyjdzie tak szybko, kiedy bowiem Fengon wyłonił się z korytarza, wiodącego do sali kominkowej, Kalabryjczyk uniósł zaskoczony wzrok z głębin rozmowy, jaką toczył z Herdą, która, choć dwakroć od niego starsza, zachowała wciąż ślady dawnej urody. Sandro i ona siedzieli blisko siebie wokół wielkiego, centralnego paleniska, pochyleni nad glinianymi kubkami z zaprawionym korzeniami cydrem. Usiłowali znaleźć wspólny język - luki w duńszczyźnie Sandro próbował uzupełnić miękkimi, okrągłymi gestami, na które Herda pomrukiwała tylko, nic nie rozumiejąc. - Una regina none una gallina - rzekł Fango w odpowiedzi na malujące się na twarzy Sandra pytanie, kiedy wychodzili.

Emaliowany wisior wyobrażający pawia okazał się pierwszym podarkiem, jaki przywiózł bratowej Fengon w następnym tygodniu, kiedy twarde dotąd pąki klonów i olch przestały przypominać guziki, upodabiając się raczej do maleńkich, drobnolistnych kapuścianych główek. Rozpostarty pawi ogon tworzył wachlarz, pośrodku którego tkwiły lśniące błękitem korpus i szyja ptaka, odcinające się od tła rozłożonych dumnie zielonych piór, upstrzonych czarnymi i żółtymi oczkami. Kontury poszczególnych elementów wisiora obwiedzione były cieńszym niż nitka złotym drucikiem, obejmującym nawet maleńkie białe, czerwone, zielone i szare łupki, które nadawały anatomiczny kształt wyprofilowanej głowie ptaka o zagiętym ku dołowi dziobie. Twórca tak misternej ozdoby niewątpliwie musiał oślepnąć przy tej robocie, a jego wzrok stanowił część wartości wisiora.

- Dajesz mi tylko ptaki - powiedziała Gerta, która dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pierwszy ptasi prezent - parę łaciatych makolągów - dostała od Horvendila.

- Paw to bizantyjski symbol nieśmiertelności - wyjaśnił Fengon. - Często widuje się tam dzikie pawie na dziedzińcach, gdy wloką w pyle swoje wspaniałe pióra, wyciągają mieniające się wszystkimi kolorami tęczy szyje i wydają obłąkańcze okrzyki, przywodzące na myśl raczej dusze potępieńców niż mieszkańców raju.

- Jest bardzo piękny i ciężki.

- Gerta uniosła wisior wraz ze złotym łańcuchem, tak gładkim, że niczym struga cieczy wśliznął się we wnętrze jej otwartej dłoni.

- Sprawdź, czy wyda ci się równie ciężki na szyi. Czy mogę go nałożyć mojej pani?

Gerta zawahała się, ale pochyliła głowę i pozwoliła Fengonowi na tę frywolność. Zakładając jej wisior, pogładził palcami włosy królowej, najcieńsze i najbledsze na karku, gdzie jego dłonie bawiły się przez chwilę z zapinką łańcucha. Kształtne i rumiane wargi Fengona znalazły się zaledwie kilka cali od oczu Gerty, kiedy szukał po omacku spinki. Znalazłszy ją, cofnął dłonie, ale nie odsunął ust. Włoski wąsów szwagra królowej błyszcząły niczym polakierowane. Nozdrza Geny owionął delikatny niby piórko powiew oddechu, pachnącego sprowadzanymi z dalekich krajów goździkami. Uniosła palec, by dotknąć jego wyrazistych ust i wzbudzić w nich mrowienie, podobne do tego, które czuła na karku. Brzemie wisiora ciążyło Gercie wąską, chłodną wstęgą. Ich przylegające do siebie ciała zdały się królowej ogromne, jak gdyby tworzyły je maleńkie, wirujące mikrokosmosy, których każda cząstka i każde włókienko było równie cenne, jak emaliowane kształty nieśmiertelnego pawia. Chłód na karku nakazał jej szukać ciepła ust Fengona w tym miejscu, którego przez krótką chwilę dotykały jej palce.

Pocałowali się, lecz nie tak gorliwie i wilgotno, jak kiedyś w Elsynorze. Tutaj, we własnym, niewyszukanym zamku, poza zasięgiem patriarchalnej opieki króla, zachowywali się nieco bojaźliwiej, próbując powstrzymać występki, jakie ukartowały ich ciała. Poczucie winy przenikało dotkliwiej Gertę niż Fengona, albowiem to ona żyła w małżeńskim stadle, a jednak zbudził się w niej zarazem młodzieńczy bunt, który wpierw oparł się wyrzutom sumienia królowej, a potem przewyciężył je zupełnie na czas trwania tego pocałunku i kilku dalszych, mniej gorących, lecz bardziej wyrafinowanych pieszczot, aż wreszcie, strudzona trwającą w jej duszy burzą, królowa cofnęła się i jęła błagać Fengona, by powrócili raczej do rozmowy.

Lecz z każdym spędzonym w Danii gnuśnym dniem, Bizancjum i cała Europa, leżąca na południe od Szlezewiku, zacierała się w pamięci brata Horvendila, toteż opowiadając o podróżach, myślał raczej o sprężystej twardości, skrytej w jego ciele niczym osłonięty pochwą miecz, i kładł jej obecność na karb niecierpliwości swego charakteru, obcej

statecznym na ogół Duńczykom. Na szczęście Gerta podsunęła mu temat, namawiając go na wspomnienia z młodości. Opowiedział więc jej o swoim jutlandzkim dzieciństwie, o pierwszych wyprawach wojennych u boku starszego brata i o surowym wykształceniu, jakie otrzymał z rąk księży, którzy kazali uczyć się wszystkiego na pamięć, potem zaś ona opowiedziała mu z kolei o czasach własnej młodości, wesoło i ze stracącą szczerością wspominając urazy, które żywiła do swojego ojca, męża i syna, jak gdyby składały się one na dzieje życia zupełnie obcej kobiety. Fengon zasłyszał w wesołości Gerty zarówno echo jej prężnego charakteru, jak i podjętej niedawno decyzji, by jeszcze użyć życia. Pomyślał, że królowa upaja się wyczekiwaniem, co przyniesie przyszłość, i że uodporniła się już na wyrzuty sumienia.

W drodze powrotnej do Lokisheim Fengon wyczytał z miny Sandra, iż tym razem jego odwiedziny u królowej trwały niemal tak długo, jak należało.

Drugim darem dla Gerty, który Fengon przywiózł tydzień później, kiedy pąki drzew rozwinęły się na tyle, by wypełnić las żółtozieloną mgłą, był kielich ze srebra kutego tak cieniutko, że brzegi pucharu mogły kaleczyć wargi pijącym z niego ludziom. Wysadzana klejnotami była tylko nóżka, nabijana gęsto guzami zielonego chryzoprazu, różowego kwarcu i brunatno-czerwonego karneolu. Misę pucharu zdobiły ryte w srebrze wzory, które, po dokładniejszych oględzinach okazały się układać w kształty drzew, bardziej symetrycznych niż w rzeczywistości, rozrastających się jakby spiralnie do wewnątrz i tworzących fantastyczne listowie, w którym kryły się węże, jabłka, a także ptaki, nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do poziomych łodyg, na których zostały rozmieszczone wedle zasad symetrii, podobnie jak gałęzie. Oczy ptaków otaczała obwódka, a ich dzioby sięgały trójkątnych kiści owoców, które Gerta uznała za winne grona. Po drugiej stronie kielicha, przeciwległej względem brzemiennej owocami, spletanego drzewa, widać było również symetrycznie umiejscowione bestie, siedzące pod kolumną zwieńczoną krzyżem, którego rozwidlone ramiona wybuchwały następnie serią linii, zamykających się wokół figury, przypominającej gwiazdę. Siedzące z obu stron kolumny stwory, które jak gdyby pozowały przed lustrem, miały ciała koni, chociaż ich nóg nie kończyły kopyta, lecz pazury, zbyt długie i szponiaste, by można je wziąć za pazury lwa. Wyżej, w części barkowej, przednie łapy stworzeń przechodziły w upierzone skrzydła, a ich oblicza nie były pyskami koni ani lwów, lecz uśmiechniętymi twarzami kobiet o włosach układających się na czole w grzywkę. Chuderlawe szyje dziwnych istot zdobiły naszyjniki, złożone z elementów przypominających pierścienie rozszczepionych kosmyków ich grzyw. Kobiece twarze - choć właściwie mogły to być także twarze dzieci - były pogodne i piękne.

- Czy to feniksy? - zapytała Gerta, otrząsnawszy się z transu, w jaki popadła, oglądając z najwyższą uwagą kielich. Zauważyła jednak majaczącą tuż obok twarz Fengona, który także przyglądał się uważnie prezentowi, jako że nabył go już dawno temu i prawie całkiem zapomniał, jakimi ozdobami pokryli go mistrzowie bizantyjscy.

- Coś w tym rodzaju - odparł. Jego głos, rozbrzmiewający tak bliźutko królewskiego ucha, znaczyły jedyne w swoim rodzaju, chrapliwe, wilgotne desenie oddechu, tworzące jego płynącą z głębi barwę, przypominającą szelest niepewności. - Grecy zwą je chimajra, od greckiego słowa oznaczającego kozę, ale określenie to odnoszą do potworów poskładanych z części ciał różnych zwierząt.

Gerta zdała sobie sprawę, że dłoń Fengona spoczywa na jej biodrze z drugiego boku, choć dotyk ręki królewskiego brata nie był cięższy niż tknienie dodatkowej warstwy sukna. Tego nieoczekiwanie ciepłego, kwietniowego dnia królowa zrezygnowała z ciemnej wełnianej mantylki, miała, więc na sobie tylko wyszywany złotem kaftan, okrywający koszulę z białego lnu. Nie odsunęła się jednak ani nie dała poznać, że czuje karesy Fengona.

- Te klejnoty też są różnorodne - powiedziała, pieszcząc bryłowate gładzizny kamieni, osadzonych w widlastych srebrnych gniazdach. - i tworzą równie oryginalny melanż. Nóżka jest gruba i inkrustowana, a misa pucharu delikatna i tak cienka, że z łatwością można by ją zgnieść. Przy takim arcydziele wyroby nawet najzdolniejszych duńskich rzemieślników wydają się prymitywne. - Guzowate brzemię kielicha przypominało jej coś, co dawniej, wprawdzie z mieszanymi uczuciami, często trzymała w dłoniach, choć niesmak i strach w końcu ustępował zawsze uciesze i zadziwieniu.

- To, co spodobało mi się w tym kielichu przed laty - rzekł Fengon swoim łagodnym, płynnym głosem - i co na jego widok kazało mi pomyśleć na rynku w Salonikach o tobie, to jego pogoda i nieokreślony, ale dobry nastrój, który roztacza wokoło. A twarze tych chimer przypominały mi ciebie, ciebie w dwóch osobach.

Światło wpadające przez ostrołukowe okno rozjaśniło wyryte w kielichu wzory. Gerta pomyślała, że uśmiechnięte twarze chimer rzeczywiście nie są niepodobne do pełnego oblicza, które oglądała, co dzień w swoim owalnym metalowym zwierciadle, choć ona nie nosiła włosów przyciętych w attycką grzywkę, lecz zaczesane do tyłu i splecione w warkocze. Dwie Gerty dla dwóch braci - ta fantazja wywołała w niej złowroźny niepokój, który usiłowała stłumić, niczym przyływ mdłości.

- Musimy napić się wspólnie z tego urzekającego daru - oświadczyła. - Sandro i Herda nie są chyba pogrążeni w dyskusji tak głębokiej, żeby nie mogli przynieść nam flaszki reńskiego wina. Korambis trzyma w spiżarni całą beczkę. Zgromadził mnóstwo zapasów, jak

gdyby spodziewał się oblężenia, a Horvedil coraz częściej mówi o nim jak o łotrze dbającym wyłącznie o swoje własne korzyści. - Zrobiło jej się przykro, że posłużyła się imieniem męża, choć Fengon znał zarówno imię, jak i człowieka, którego oznaczało, dwakroć dłużej niż ona.

- Młot nigdy nie myli się całkowicie - powiedział, uwalniając królową od dotyku swej dłoni i cofając się tanecznie wedle swawolnych zwyczajów, jakich nabył w cudzoziemskich krajach. - Na miejscu Korambisa ja także zadbałbym przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Jeśli zdefiniować słowo „łotr” z tego punktu widzenia, tylko niewielu ludzi nie zasługiwałoby na ten epitet. A wino, owszem, jak najbardziej, choć mamy przecież tylko jeden kielich. Czy jeden wystarczy?

- W kredensie są ich tuziny.

- Ale ten kielich jest nasz. A raczej twój, albowiem podarowałem ci go w dowód uwielbienia, które ślubowałem twej osobie.

Fengon na chwilę opuścił tajemną komnatę i niebawem Herda z niewzruszoną miną służebnicy, przypominającą maskę, przyniosła im na tacy z lipowego drewna nie tylko glinianą flaszkę, lecz także chleb i ser. Fengon pokroił go na porcje sztyletem, który nosił przytroczony do pasa. Wino było gęste i słodkie, a pod jego wpływem, pijąc najpierw z przeciwnych stron pucharu o ciężkiej nóżce, potem zaś z tego samego brzegu, nie mogli się oprzeć, żeby nie ocierać się o siebie, opadli więc zaraz na łożo, gdzie, nie zdjawszy szat, szukali po omacku wrażliwych części swych ciał, wymieniając cuchnące pocałunki, albowiem ich usta były kwaśne od wina i zalatywały serem, lecz mimo to smakowały słodko, przejmująco słodko. Było to tak, jak gdyby dwa anielskie lejki przelewały przez złączone w pocałunku usta przeklętą od dawna treść ich dusz, treść wszystkich ran, które należało wygoić, i wszelkich ukojeń, jakich nie dane było im dotąd dostąpić. Ukryte pod szatami ciała powlekły się potem i poczerwieniały. Dłonie Fengona szukały lędźwi i piersi królowej pod obszytym lamówką, haftowanym kaftanem, osłaniającym ją od szyi po pięty. Na górnej wardze Gerty, pokrytej przezroczystym meszkiem, którego nigdy przedtem nie zauważył, pojawiła się smuga rosy. Pod przepasaną aksamitną tuniką Fengona dłoń Gerty gmerała tymczasem w poszukiwaniu podobnego do berła trzonu, którego kształt przypomniał wcześniej jej palcom dzisiejszy podarunek, lecz mimo tego gwałtownego zapалу, zduszonych pieszczot wśród szat, tłumionych jęków, syknięć i urywanych pomruków, nie potrafili poradzić sobie z duchowym ciężarem przedsięwzięcia i oddać się miłosnemu zespoleniu. Ciężar nieuchronności losu okazał się zbyt wielki dla ich nikczemnych ciał.

Następnego ranka Gerta wyruszyła u boku króla do Skanii, owego pasa odległej purpury, leżącego za ponurą cieśniną Sund. Były to ziemie duńskie od czasów ginącej w

promroce dziejów epoki, kiedy to Jutowie i Anglowie podzielili między siebie ogromny półwysep, zarządzany obecnie z Elsynoru. Skania, Halland i Blekinge graniczyły obecnie z terytoriami, należącymi do szwedzkiego władcy, który zazdrośnie spoglądał na żyzne ziemie Skanii i obfite połowy śledzi w okolicznych wodach. Dlatego Horvendil uważał, że postąpi politycznie, jeśli zaznaczy królewską obecność swej osoby w Skanii. Najpierw złożył wraz z królową oficjalną wizytę w Lund, gdzie arcybiskup wydał na ich cześć trwający trzy dni bankiet. Królewska para odwiedziła też Dalby, a tamtejszy biskup urządził uroczystą procesję wokół murów miejskich, na której czele, w osobnych relikwiarzach, niesiono liczne kości rozmaitych świętych. Gerta i Horvendil udali się także z patriotyczną wizytą na pole bitwy pod Fotevig, gdzie przeszło sto lat wcześniej Eryk Pamiętny pokonał ostatecznie Nielsa i jego syna, Magnusa, który w lesie Haraldsted zdradziecko zamordował księcia Kanuta Chlebobawcę, pogromcę Wenedów. Magnus poległ wtedy pod Fotevig wraz, z co najmniej pięcioma biskupami, a do zwycięstwa nad nim walnie przyczyniło się trzystu pancernych zaciężnych rycerzy niemieckich, pozostających na usługach Eryka. Zbroje Niemców okazały się nowinką techniczną, która niemal natychmiast uczyniła przeżytkiem powszechny dotąd zaciąg chłopów do armii.

Gercie przyszło do głowy, że tutaj właśnie miało swój początek życie Fengona jako wolnego najmity. Ponieważ ostatnimi dniami przebywała bezustannie w towarzystwie Horyendila, romans z jego bratem zaczął jej się wydawać coraz bardziej urojony. Horvendil był zawsze w doskonałym humorze w podróży, albowiem fetowano go i organizowano parady na jego cześć, on zaś, choć już nieco otyły, czarował wszystkich dostojników swoją nordycką, efektowną urodą. Wiwatująca ludność gromadziła się na trasach przejazdów królewskiej pary, rzucając pod kopyta parsających, spłoszonych krzykami rumaków wiosenne kwiaty - kaczeńce albo gałązki kwitnących właśnie jabłoni.

Ubocznym skutkiem dobrego nastroju króla okazało się jednak namiętne zainteresowanie, jakie zaczął okazywać Gercie. W krytych baldachimami łożach dostojników kościelnych, swoich gospodarzy, zaczęli się znowu kochać, jak gdyby ich młode małżeństwo nie zestarzało się już i nie zepsuło. Małżonek Gerty był tęższy niż Fengon, jego ciało nie reagowało tak sprężysto i ochoczo w ramionach królowej, jak ciało jego brata, a broda nie była równie gęsta i sztywna jak broda Fengona. Horvendil otaczał jednak żonę dobrocią, był dbałym królem i mężem, a ponadto należał do niej pod każdym względem - był „jej” królem, „jej” mężem i „jej” zdobywcą. Kuł ją niby młotem, lecz sprawiał Gercie przyjemność. Jeśli tylko będzie leżeć bez ruchu, wiernie jak kamień runiczny, który postawił król Gorm ku czci swojej małżonki, Tyry, chluby Danii, szczęśliwa fortuna i sława będą jej udziałem. Widziany

z oddali kazirodczy flirt z Fengonem przerażał królową. Znalazła się niemal na krawędzi upadku! Kiedy tylko powróci do Elsynoru, oświadczy Fengonowi, łagodnie, lecz stanowczo, że ich spotkaniom trzeba położyć kres. Męczyła ją w Skanii bezsenność, tak niecierpliwie chciała rozmówić się z Fengonem i oddalić zawisłe nad jej głową (wszak nieszczęście było już - tuż) piętno hańby.

Lecz po powrocie do zamku okazało się, że Fengon bywa rzadkim gościem w Elsynorze, a kiedy przyjeżdża, spotyka się wyłącznie z bratem i jego dworzanami. Impuls, który nakazał Gercie wyrzec się Fengona, wyparło bolesne uczucie, że oto ona została odrzucona pierwsza. Policzki płonęły jej ze wstydu na wspomnienie przysiąg, które gwałtownie szeptała szwagrowi do ucha, a także na wspomnienie głębokich pocałunków i żaru, jakie odczuwała pod sukniami, wiedziała, bowiem, że tylko ich ucisk powstrzymywał ją przed zgubną kapitulacją.

Minął tydzień od dnia powrotu królowej, kiedy Korambis odciągnął ją na stronę, w niewielką wnękę w długim, wysadzonym kolumnami i nierówno wybrukowanym korytarzu, którym Gerta zmierzała właśnie do kaplicy.

- Wyprawa do Skanii nadała nowy blask usposobieniu mojej monarchini - zauważył, choć z wahaniem, jak gdyby wolał, żeby Gerta mu się sprzeciwiła. Dzielili wszak tajemnicę, która czyniła słowa obosiecznymi.

- To ulga bawić z dala od Elsynoru i jego małych intryg - odpowiedziała dość wyniośle Gerta. - Król błyszczał wspaniałością i wypadł jak najkorzystniej. Lud go uwielbia.

- Słońce wstaje na wschodzie - odparł Korambis. Jego obwiedzione czerwoną krechą oczy o poźółkłych, obwisłych powiekach zalśniły, jak gdyby wygłosił błyskotliwą myśl.

Gerta pomyślała, że szambelan gwałtownie się starzeje - wciąż wdziewał ten sam niemodny stożkowaty kapelusz i kaftan o szerokich, wlokących się po ziemi, muszlowatych rękawach. Zrozumiała, co czuje na jego widok Horyendil i dlaczego król chce się pozbyć tego gadatliwego, starczego zawalidrogi.

- Lud nasz jest ufny i pełen miłości do nas - powiedziała. - Czasami człowiek zapomina, kim rządzi, ale na widok poddanych rośnie nam serce.

- Gdybyśmy nie umieli zapominać, życie byłoby nieznośne, pani. Pamiętając wszystko, czego doświadczyliśmy lub co poznaliśmy w życiu, udusilibyśmy się w morzu wspomnień, przypominających wciśnięte do sakwy łachmany, co zdarza się podobno nieszczęśnikom, którzy znajdują śmierć w wodzie. Ponoć utonięcie to bezbolesna śmierć, ale o tym mogliby nas upewnić jedynie topielcy, oni zaś, jako topielcy, milczą. Bo utopili się

przecież. - Korambis urwał, przekrzywiwszy zwieńczoną kapeluszem głowę, chcąc się przekonać, co Gerta zrozumiała z palety mądrości, którą jej podsunął.

- Dołożę wszelkich starań, żeby nie utonąć - oświadczyła chłodno królowa. Wyczuwała, że Korambis nie może się doczekać, by podjąć trop ich wspólnej tajemnicy i niegdysiejszej zmywy.

- Cała Dania pragnie, byś pływała bezpiecznie na powierzchni, a chyba nikomu nie zależy na tym bardziej ode mnie. Cieszy moje stare, zamglone oczy, że córkę Roderyka otacza miłość i szacunek, należne jej z tytułu dumnej krwi rodowej. Jak kiedyś mówiliśmy, tron ofiarował ci mniej radości, niż sądziły tłumy, którym nie dane jest zasiadać na nim.

- Znamy się od dawna, odbyliśmy, więc wiele różnych rozmów, na ten i inne tematy.

- W rzeczy samej, więc błagam o wybaczenie, jeżeli zdaje ci się, pani, że próbuję cię skłonić do jeszcze jedne go dialogu. Lecz skoro mówiliśmy o zapominaniu, a tak sądzę, o ile dobrze pamiętam, o czym mówiliśmy, to nasz wspólny przyjaciel pragnie wiedzieć, czy nie zapomniałaś go wśród uciech i uniesień twoich ostatnich podróży.

- Nasz przyjaciel bawi w Lokisheim i wydaje mi się, że to raczej on o mnie nie pamięta.

Korambis, ostatnie żyjące ogniwo, łączące Gertę z rozprzężonym dworem ojca, a także strażnik jej dziecięcej tożsamości, zdawał się prowadzić ją na manowce, czyli dokładnie tam, dokąd nie chciała wracać.

- Daleko mu do miana zapominalca. Pragnie jedynie uszanować twoją wolę.

- Moim życzeniem jest...- Gerta uznała jednak, że nie należy powierzać wiekowemu pośrednikowi słów rozstania, które Fengon powinien usłyszeć z jej ust.

Język Korambisa szybko wykorzystał zaistniałą pauzę.

- Nasz wspólny przyjaciel nalegał, bym ci przypomniiał, że pozostał mu jeszcze trzeci podarek. Jest już ostatni, i jeśli raczysz go łaskawie przyjąć, on zaprzestanie cię obdarowywać i położy kres swym heretyckim skłonnościom, cokolwiek miałyby znaczyć to określenie. Ja przytaczam tylko jego słowa.

- Moim życzeniem, jak zaczęłam mówić, jest nie odwiedzać więcej twojej cichej siedziby nad Gurre So, jako że obecna aura bywa dość sprzyjająca, bym wszędzie w przyrodzie mogła znaleźć schronienie. Królowa jest ci niepomnie wdzięczna za łaskawą gościnność. W prawdziwej samotności twojego ustronia odzyskałam miarę zadowolenia z losu i pogodziłam się ze sobą.

Ale serce Gerty zabiło mocniej na wspomnienie siedzącego u jej boku Fengona, ujrzała go bowiem tam, gdzie odludne jezioro srebrzyło się aż po odległy, odwracający obrazy brzeg, odbijając niebo niby wielka owalna taca.

- Prosił, bym błagał cię o wyznaczenie mu terminu spotkania - naciskał łagodnie Korambis głosem dworzanina, który boi się wyprowadzić królową z równowagi.

Zdecydowana nie wtajemniczać w przyszłości starego rajfura i jego żalosnej córki w swoje zamiary, Gerta wyznaczyła spotkanie z Fengonem na następny dzień.

Drzewa otaczającego ich lasu pokrywały świeże, w pełni rozwinięte liście, a monotonna, ciepła mżawka dodatkowo ograniczała widoczność. Drugiego brzegu jeziora i kościoła nie było w ogóle widać. Kwiecień przeszedł w maj. Żołnierze eskorty, którzy zawsze towarzyszyli królowej - w drodze nad jezioro poważni, ale podczas powrotów rozluźnieni, a nawet weseli, czekając bowiem końca królewskich schadzek, popijali piwo - wydawali się jej dzisiaj ponurzy i spięci, jak gdyby i oni zdawali sobie sprawę, że oto nadszedł punkt kulminacyjny. Chcąc uczcić długo oczekiwany powrót czasu wycieczek na łono natury, Herda zabrała na drogę suty posiłek: sera, chleba, solonego mięsiwa i suszonych owoców wystarczyłoby dla sześciu osób. Sielankowy widok wyładowanego po brzegi łozinowego kosza pozwolił królowej nieco zbagatelizować awanturniczą przygodę, której wymiar, wbrew wcześniejszym obawom, wydał się jej teraz nieco mniej ostateczny. Bo przecież jemy, podróżujemy, przeżywamy kolejne dni w nastrojach zależnych od panującej akurat aury, miłujemy, wступujemy w związki małżeńskie i dotykamy życia na wszystkich jego przez Boga wyznaczonych etapach, jeśli tylko zaraza lub wypadek nie przetną przedwcześnie nici naszego żywota...Życie jest częścią natury. Jego początków nie sposób sobie przypomnieć, o końcu nie należy zaś rozmyślać poza murami kościoła, będącego domem wszelkiej wieczności.

Fengon i Sandro po raz pierwszy spóźniali się, jak gdy by chcąc odwlec nieprzychylny dla nich wyrok. Przybyli wreszcie, choć przemokli do cna podczas liczącej dziewięć mil drogi z Lokisheim. Fengon zaczął się tłumaczyć z roztargnieniem:

- Musieliśmy zachować ostrożność w skalistych miejscach traktu, by konie nie poślizgnęły się na mokrych kamieniach.

Wiedział doskonale, że traci grunt pod nogami. Kiedy pozostał w ustronnej komnacie sam na sam z Gertą, chwyciły go nerwowe dreszcze, dygotał więc cały pod przemoczonym płaszczem. Od królewskiego brata bił zapach mokrej wełny, mokrej skóry i mokrej końskiej sierści. Ogień, który rozpałił chromy stróż, wygasł już niemal, jako że Fengon się spóźniał,

toteż usiłowali teraz podsycić płomienie. Fengon poukładał szczapy zbyt gęsto - a kiedyś, w dzieciństwie, Roderyk powiedział Gercie pewnego wieczoru, gdy owładnięta poobiednią sennością córka usiadła mu na kolanach, że ogień jest istotą, która, podobnie jak wszystkie inne stworzenia, musi oddychać. Dzisiejsze spotkanie z Fengonem miało być krótkie, więc żelazne kosze z węglami nie zdążyłyby się nawet rozgrzać.

Szczapy w kominku, które rozsunęli pogrzebaczem, zaczynały się niechętnie rozpalać, kiedy Fengon powstał i oskarżycielskim tonem rzekł:

- Bawiłaś się dobrze w Skanii.

- Kobiety lubią podróże. Szkoda, że tak rzadko zabieracie nas ze sobą.

- Horyendil był ci miłym towarzyszem.

- Tak, Fengonie. Blichtr to jego żywioł, a szczęście króla udzieliło się mnie.

- Obawiam się, że może człowiek, którego opuściłaś, nie dawał ci powodu do powrotu.

Pomimo ponurego postanowienia, jakie podjęła, Gerta musiała się uśmiechnąć, spostrzegłszy chłopięcy smutek na twarzy brodatego mężczyzny.

- Powodem mego powrotu był choćby ów trzeci podarek, który mi przyrzekłeś. Zważywszy na twoje usposobienie, gotów byłbyś oddać go innej kobiecie, która umiałaby zaspokoić cię lepiej ode mnie.

- Zaspokajasz mnie aż nadto, o czym jak mi się zdaje, zdołałem cię przekonać. Lecz żywiąć dziś przeczucie, że dając ci ten prezent, na próżno staram się przekupić mego kata.

Łagodny deszcz za oknem bębnił o liście, spadając z pasm świeżej zieleni na ziemię. Nigdy jeszcze nie czuli się tak odcięci od świata. Nieoczekiwanie Fengon nabrał w oczach Gerty pełnej wyrazistości - on, jego wilgotny zapach, inteligentna twarz, ogorzała od wiatru, wiosennego słońca, oraz nerwowe ciepło ciała urażonego szwagra. Horyendil wraz z kościelnymi procesjami w Skanii odpłynął w przeszłość. Gerta zauważyła już dawno, jak trudno jest jej myśleć o jednym mężczyźnie, jeśli przebywa w towarzystwie drugiego.

- Wszyscy śmiertelnicy wstępują po stopniach na szafot, lecz Bóg jedyny wie, jak blisko szczytu jesteśmy - odpowiedziała lekko. - Twoje przeczucia stawiają moją osobę w niekorzystnym świetle, choć powinienes zwać mnie raczej swą wybawicielką. Oboje dobrze rozumiemy, z jakiej wysokości zagraża nam upadek. Zakazać ci dalszych schadzek na osobności ze mną znaczyłoby utrzymać cię w twym dawniejszym, a mądrym postanowieniu, które pchnęło cię na dobrowolne wygnanie z Danii przed dwunastu laty.

- Dobiegałem wówczas pięćdziesiątego roku życia, dziś zaś mam lat blisko sześćdziesiąt. Myślałem, że zdołam otrząsnąć się z twojego uroku, lecz stało się inaczej. Czar

pochwyił mnie mocniej, ja natomiast osłabłem. Coraz mniej czeka mnie w życiu, nie wolno ci jednak żywić dla mnie litości. Królowa musi się ratować. Jej kaprys to sprawiedliwość, a twoje słowo będzie moim prawem.

Gerta zaśmiała się zarówno ze swoich płochych, roztrzepotanych uczuć, jak i z pełnych namaszczenia wyrzutów Fengona. W przemoczonym kapturze przypominał jej mnicha.

- Zdejmij przynajmniej ten cuchnący płaszcz - rozkazała. - Czy pod nim ukryłeś ostatni podarek dla mnie?

- Spoczywa zwinięty w suchy kłębek na mojej piersi - odpowiedział Fengon. Zrzucił płaszcz, po czym rozpostarł na łożu długą, niewieścią tunikę, utkaną ze splecionych, falujących, pawich barw zieleni, błękitu i żółci, upstrzonych ponadto czerwonymi i czarnymi cętkami. Tkanina była elastyczniejsza od ludzkiej skóry, choć usztywniona przy kołnierzu, mankietach i rąbkach obszytych rzędami drobnych pereł. Nici tuniki odbijały światło jak wyszlifowane.

- To nieznanne dotąd w Danii sukno - wyjaśnił Fengon. - Zwie się jedwabiem. Jego nici to wydzieliną zielonych, rogatych gąsienic, karmiących się wyłącznie liśćmi morwy. Legenda głosi, że jaja tych gąsienic i morwowe nasiona wywieźli potajemnie z Chin perscy zakonnicy, ukrywając je w wydrążonych kosturach. W ten sposób jedwabniki i morwa trafiły do Bizancjum. Kokony, które gąsienice wija dla ślepych motyli, żyjących po wykluciu ledwie kilka dni, drobnymi paluszkami rozsypują dzieci, następnie zaś stare kobiety skręcają włókna w przędzę, z której tka się cudownie wzorzystą materię, jak ta, którą widzisz przed sobą, a która zapowiada chyba roziskrzoną klejnotami wspaniałość niebios.

Gerta dotknęła migotliwej tuniki i ten dotyk przywiódł ją do upadku.

- Chciałabym przywdziać tę szatę.

- Lepiej, by nie oglądał cię w niej twój małżonek, pozna, bowiem, że ta tkanina nie pochodzi z żadnego z krajów północy.

- Chcę przywdziać suknię teraz, by mógł ją ocenić sam ofiarodawca. Stań tam. - Zdziwił ją ton, jakim wydała mu to polecenie. Królowa wspinała się na wyżyny zapomnienia. Deszcz za oknem przybrał siłę ulewy i w komnacie pociemniało, rozświetlał ją bowiem jedynie drżący blask podsyconego ognia, którego ciepło otulało skórę Gerty, kiedy zrzuciła z ramion wilgotny płaszcz, kaftan bez rękawów, długą, prostą tunikę o rozwianych rękawach i krótką, białą spódnicę, aż pozostała tylko w lnianej koszuli, w której drżała z zimna. Drobne kropelki wody, odbite od kamiennego parapetu majaczącego za jej plecami okna, którego skrzydło było otwarte, kłuły obnażone ciało królowej. Ciepło płomieni, sięgają

ce tylko jej barków i ramion, przywodziło Gercie na myśl anielsko cienką zbroję. Znowu przypomniała sobie pewne zdarzenie z odległego zakamarka życia - a było to wspomnienie małżeńskie, przepojone delikatnym posmakiem upokorzenia. Bizantyjska tunika, usztywniona, gdzie obszyto ją guzkami pereł, osłoniła głowę Gerty na szeleszczącą chwilę, w której odgłos deszczu, bijącego nad jej głową o dach, zlał się z coraz głośniejszym przyływem krwi, uderzającej do uszu królowej. Potem, kiedy wysunęła znów głowę na powietrze i światło, zaczęła przybierać rozmaite pozy, skryta za wspaniałą zasłoną z jedwabiu, mocną i giętką zarazem, krystaliczną i płynną. Z każdym ruchem Gerty pawie kolory zmieniały odcień z zielonego na błękitny i odwrotnie, albowiem nieznanym sposobem jedwab mienił się niczym ptasie pióra. Królowa uniosła ramiona, pozwalając opaść szerokim rękawom, przypominającym rozpostarte skrzydła, a potem zastygła w tym geście, wyciągając z upiętych warkoczy brązowe szpile spinek. Były tak długie, że białe między żebra sięgnęłyby serca mężczyzny. Deszcz za oknem, ciepło na plecach i dotyk jedwabiu skąpały Gertę w naturze, gdzie nie istnieje grzech i skąd nie ma odwrotu.

- Czy wyglądam tak, jak się spodziewałeś?

- Tysiące razy wydawało mi się, że wiem, jak będziesz wyglądać w tej tunice, ale byłem w błędzie. Są rzeczy, których nie można sobie wyobrazić.

- Czy ja, leciwa matrona, nie nazbyt wypełniam tę szatę, wskutek czego nie leży tak ponętnie, jak na którejś z twych bizantyjskich nierządnic?

Fengon nie odpowiedział na tę zaczepkę, jak gdyby widok Gerty odebrał mu rozum.

- Dlaczego stoisz tak daleko ode mnie?

Przysunął się o krok bliżej, wyrwany z urzeczzonego zamyślenia.

- Kazałaś mi tu stanąć. I byłaś dla mnie okrutna.

- Nim przyodziałeś mnie w tę suknię barwy śródziemnomorskiego jadeitu. Spójrz tylko, na jej tle moje włosy wydają się czarne, a cera oliwkowa. - Z oblicza Gerty bił żar, bo oszołomione spojrzenie Fengona paliło ją żywym ogniem. Jego ciało, niższe i zwinniejsze niż ciało jej męża, jaśniało oczarowaną bezradnością. Wyciągnięte ramiona królewskiego brata ugięły się niby pod wielkim ciężarem. - Pójdź, mój szwagrze - powiedziała. - Pozwalam ci rozdziać to, co przyodziałeś.

Ugiętymi z wysiłku ramionami zadarł przylegającą do jej ciała tunikę i ściągnął ją wraz z koszulą, zrywając podtrzymujące tkaninę tasiemki, a Gerta wtuliła swój różany owoc w chropowaty i szorstki strój Fengona. Koszula, którą wkładał do jazdy wierzchem, była wyposażona w skórzane naramienniki, osłaniające przed tarciem kolczugi, toteż królowa poczuła głęboko w nozdrzach przepojony deszczem zapach martwego zwierzęcia.

- Chroń mnie - szepnęła, przywierając mocno do Fengona, jak gdyby chciała się ukryć. Szukała ustami szczeliny w jego wilgotnej, szpeciniastej brodzie. Gdy było już po wszystkim, zaczęła się bawić długą, brązową szpilką do włosów, przykładając ją do nagiej piersi wyciągniętego wygodnie na łożu kochanka. Ostrze drugiej szpili wcisnęła w białą skórę pomiędzy swoimi rozkołysanymi piersiami. - Moglibyśmy teraz skończyć to wszystko - zaproponowała. Oczy miała szeroko otwarte i złagodniałe miłością, ale to, co powiedziała, nadawało im szelmowski wyraz.

Fengon, już rozluźniony, rozważał jej sugestię. Sięgająca jeszcze dalej, ostateczna ulga byłaby pomyślnym ukoronowaniem jego triumfu. Po chwili jednak delikatnie wyjął spinę z dłoni królowej, uszczyptał Gertę w podbródek i zważył w dłoni jej pierś.

- Obawiam się, że przejęliśmy zbyt wiele z charakteru naszych ojców, żeby pozwolić światu cieszyć się tak łatwym zwycięstwem nad nami.

Sądziła, że coś takiego może wydarzyć się jedynie raz w życiu, że raz tylko można się tak otworzyć, pielęgnowała, więc swoje uczucie ze zmysłową starannością, jak gdyby była zarówno narratorką, jak i bohaterką opowiadania, medykiem i pacjentem. Podczas kradzionych godzin wspólnej samotności, w białym zwierciadle swojego włochatego i rogatego ciała Fengon odsłaniał przed królową utkwioną w zakamarkach jej duszy jaźń, która od czterdziestu siedmiu lat spoczywała utajona i uspiona. Ożywiły się i oczyściły wszystkie jej miejsca nieczyste, wyrażając całą prawdę o Gercie. Czyż nie płynęła w jej żyłach wojownicza krew Roderyka i jego ojca, Hotera, pogromcy Guimona, pokonanego i spalonego żywcem za to, że zdradził Geyarę? W Gercie drzemały sprzeciw, brawura i zdradliwość, które doszły do głosu dopiero niedawno, w trudzie i pocie cudzołożnego zespolenia z mężczyzną, niebędącym jej mężem.

Fengon i królowa wykorzystywali każde dostępne posłanie, bywali, bowiem niekiedy zbyt niecierpliwi, by czekać wygod szyderczego dworu, jaki ustanowili w domku Korambisa: pokładali się więc w trawiastych krzaczkach czarnych jagód, rosnących nie dalej niż o milę za fosą Elsynoru, albo w kamiennej niszy w rzadko odwiedzanej galeryjce, gdzie podciągnięte spódnice i opuszczone pludry stwarzały wystarczający dostęp dla emisariuszy dusz, podbrzuszy, olśniewająco bogatych w anielskie doznania. Gerta położyłaby się dla Fengona choćby w ciepłym błocie, nawet w błocie chlewa, byle tylko zaznać uniesienia, jakie odnajdywała w jego zwierzęcej miłości. Nie zawsze był delikatny i nie zawsze brutalny - wciąż skrywał przed nią rozmaite niespodzianki sztuki uwodzenia, które, jak mniemała,

ujawniały się bez udziału jego woli, aby pobudzić potężny żywioł kobiecości, pozostający również poza jej kontrolą.

W przeciwieństwie do Horyendila, Fengon czuł się swobodnie w piekle cielesności. Jego dusza nie rozglądała się w poszukiwaniu wyjścia prowadzącego do bezpieczniejszej, bardziej publicznej komnaty, rozjarzonej rozmową i świecami, przywodzącymi na myśl kościół. Skończywszy swoje dzieło, król niecierpliwie umykał na pokoje, bo niechętna naturze pobożność, której nabył w Jutlandii, odbierała Horvendilowi odwagę. Uciechy miłosne, gwałtowne i beztroskie podczas łupieżczych wypraw króla, graniczyły w jego wyobraźni z dominium władzy Szatana, Fengon natomiast znajdował przyjemność w powolnej, zdwojonej lubieżności, kiedy językiem, spojrzeniem i nabrzmiałym po raz kolejny rogiem powtarzał Gercie tyle prawdy o niej, ile była w stanie sobie przyswoić. Odsłonił w królowej nie tylko wojowniczkę, ale i niewolnicę. Gdyby poprosił, by położyła się dla niego w świńskim łąnie, zacisnęłaby jedynie pośladki i pozwoliłaby się zbrukać z radością. Nocami, przeżywając na nowo popołudniowe uściski, lizała poduszkę, tak bardzo łaknęła, by znów się połączyć z kochankiem, odkupicielem ogłuszającej martwotą pustki prawowitego życia i zbawcą jej jaźni, która wywracała się ostatnio na nice, przybierając nieokrzesaną, jakby chłopięcą formę. Nawet dwór jej ojca nie znał równie chutliwej ładacznicy, jak Gerta.

Zauważyła, że rozkoszuje się nagim aktem zdrady, wstrętną dwulicowością posiadania dwóch mężczyzn na raz. Horvendil był kontent, że teraz roznamiętnia ją szybko, królowa zaś usiłowała powstrzymać się od pieszczot i sztuczek, których nauczyła się od jego brata. Z biegiem lat mąż obcował z Gerta coraz rzadziej, jeszcze niedawno najwyżej raz na jedną pełnię księżyca, ostatnio jednak, pobudzony nieznanymi niepokojami, wzniecanymi poza zasięgiem jego świadomości, częściej odpowiadał na milczący zew ciała małżonki. Fengon wyczuwał, kiedy współżyła z Horvendilem, choć Gerta nigdy nie chciała się do tego przyznać.

- Otacza cię zapach Młota - zarzucił jej szwagier. - Przychodzisz do mnie już zaspokojona.

- Nikt nie potrafi mnie zaspokoić oprócz ciebie, Fengonie. Tylko ty mnie znasz. Ty jeden znasz drogę do wnętrza mego serca i tylko ty poznałeś najgłębsze siedlisko mojej namiętności. Drugi mężczyzna to wyłącznie obowiązek, obowiązek uległości, jaki na żony nakładają nieubłagani księża, dla których jesteśmy jedynie nieszczęsnymi, grzesznymi zwierzętami.

- Ale oddajesz mu się. Jak najpodlejsza wszetecznicza rozkładasz nogi dla obmierzłego klienta. Powiniem cię zbić. Wytrzepać z twych wąpeli blady śluz tego jurnego koguta.

- Jeżeli chcesz, możesz mnie ranić słowem i spojrzeniem, ale nie wolno ci pozostawiać ran na moim ciele - ostrzegła go Gerta.

Oczy Fengona zabłyśły, zrozumiał bowiem, do czego pije królowa.

- By zażywając z tobą rozkoszy cielesnych, twój równie tępy, co nadęty małżonek, nie dostrzegł śladów miłości oszalałego rywala ani sinoczarnych sińców, odcisniętych na skórze królowej dłonią diabła. - Górną wargę Fengona uniosło jakby warknięcie.

Gerta miała go ochotę pocałować w podzięce za to, że przyjął tak ciężki cios, ale ostatecznie wybrała balsam słów:

- On nie zażywa rozkoszy. Co najwyżej korzysta ze swoich praw, skoro oddaje się robocie łożnicy z obojętnością, prostacko i z takim wysiłkiem, że nie potrafi wykrzesać ze mnie choćby najmniejszej iskry. - Nie była to całkiem prawda, Gertą kierowała, bowiem zarówno namiętność, jak i obłuda. Czowała przyjemny dreszcz zdrady między nogami, gdzie walczyło ze sobą o lepsze dwóch mężczyzn: jeden, którego namaścił dla niej świat, i drugi, którego na maściła ona. Gerta знаła ich obu, lecz żaden z nich nie poznał do końca jej. - Zapal miłosny to dla kobiety kwestia ducha, nie ciała - ciągnęła pocieszającym tonem. - Niejedna żona zmusza się, żeby otwierać ramiona dla mężczyzny, którego nienawidzi.

- Więc nienawidzisz go? Powiedz mi, że tak.

Teraz, kiedy błagał ją, by skłamała, nie umiała się do tego zmusić. Wyraz cierpienia na twarzy Fengona był tak szczery, że postanowiła powiedzieć mu prawdę.

- Czasem jestem bliska nienawiści do króla, ale nic więcej. Horyendil grzeszył przeciw mnie zaniedbaniem, a ból takich grzechów jest słaby i niezmienny, choć nieustający. Od początku byłam dla niego jedynie atrakcyjną błyskotką, dbał, więc o swoją własność dość troskliwie. Jednak z drugiej strony, nienawidzę go za to, że zabrał najlepsze dni mojego życia, jak i za to, że narzucił mi skostniałą, monarszą sztywność manier. Ty natomiast, który ośmieliłeś mnie w miłości, uświadomiłeś mi zarazem, jak niewłaściwie byłam pielęgnowana. Lecz świata nie da się zmienić. Moim panem jest Horvendil, ja zaś poza Elsynorem jestem nikim...A raczej kimś gorszym niż chłopka, która posiada przynajmniej przyrodzoną żywotność, wygłodniałe bachory, grządkę fasoli i słomiany siennik.

Jeśli Gerta liczyła, że Fengon zaprzeczy, iżby była nikim za murami królewskiego zamku, doznała rozczarowania. Wyczuła, że mechanizm żądy wstrzymuje w sercu Fengona jakaś inna, głębsza maszyna. Jego brązowe oczy pociemniały, a czarne źrenice rozszerzyły się, kiedy spoglądał w głąb jaskini przyszłości.

- A co pocniemy, jeśli król nas wykryje? - zapytał. Wszystkie dźwięczne żyłki tych słów zabrzmiały wyraźnie w jego łagodnym głosie.

Byli odcięci od świata, w okrągłym pokoju, w wieży, w domku Korambisa. Zrzucili ubrania i leżeli na osłoniętym baldachimem łożu niczym na tratwie unoszącej się na ciepłych falach morskich. Nadszedł dzień pełni lata, zalany bzyczeniem owadów i wilgotnością wzrastającego życia, które wciskało się i przenikało chytrze w każdą możliwą szczelinę. Pnącze zza okna usiłowało wepchnąć do komnaty sercowate liście. Jak okiem sięgnąć, drzewa i powierzchnia jeziora połyskiwały milionem migotliwych detali, składających się na ocean życiowych przypadków, w którym dryfował również ich przypadek, przypadek dwojga tych właśnie, a nie innych kochanków. Lecz po chwili chłodny cień zatroskania padł na ich ciała i ekstaza ostygła.

- Jakim sposobem Horvendil mógłby nas odkryć? - zapytała Gerta.

- Zapytaj lepiej, jak mógłby nas nie odkryć? - odpowiedział Fengon. - O tym, co się tu dzieje, wie nas czworo w tym domu, jego nieobecny gospodarz, Korambis, mieszkańcy Elsynoru, którzy widzą, jak chętnie opuszczasz zamek, wieśniacy, którzy pozdrawiają cię po drodze nad jeziorem, i tych dwoje starców, mieszkających w chatce, skąd doglądają naszej kryjówki. Więc prawda o nas jest zakładnikiem ich wszystkich.

Gerta zamknęła oczy. Fengon rozkołysał ją i spychał z tratwy, każąc królowej myśleć o ich wspólnym, niedocieczonym losie.

- Dlaczego ktoś z tych ludzi miałby donieść na nas Horvendilowi?

- Z powodu osobistych korzyści, pod wpływem tortur w śledztwie lub dla niewinnej przyjemności, jaką sprawiają ludziom cudze niedole. Niewykluczone też, że skłoni ich do tego słuszny gniew na wielmożów, którzy nie respektują przykazań obowiązujących ubogich tego świata.

- Postępowałam zaiste niefrasobliwie - przyznała królowa, próbując zebrać myśli. Poczula, że jej nagie ciało oddala się jakby od myślącej głowy - piersi królowej rozkwitły bladoczerwonymi i białymi różami, jej okryta krzaczastą gęstwiną kobiecość nabrzmiała i pulsowała bólem, a na nagich stopach Gerta widziała odległą galerię zwróconych paznokciami ku niej palców.- Nie zdawałam sobie sprawy, że byłam aż tak zuchwała. Trzydzieści lat życia w pętach wyniosłości wzmogło mój apetyt, pofolgowałam mu, więc, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. A jeśli nawet, to myśl o nich bladła w obliczu, przywilejów królowej, ufnej w moc władczych uprawnień. Okazałam się beztrąsko impulsywna i samolubna, gdy zaczął się nasz związek, teraz zaś twoje odejście oznacza dla mnie śmierć. - Enamorata, śmierć może cię spotkać, jeśli zechcesz zatrzymać mnie przy sobie - ostrzegł ją Fengon. - Amor, mors. - Pogłaskał łaskoczące jego ciało włosy Gerty i pociągnął za kosmyk, żeby zilustrować swoje słowa. - Los rzuca czasem żeglarzowi luźną linę, która

później jednak mocno się napina, lichwiarz zaś najpierw okazuje cierpliwość, po pewnym czasie jednak zaczyna powoli naciskać na zwrot długu. My pławiliśmy się tego lata w bezmyślności. Istnieją jednak ludzie tak mali, że stają się niewidzialni, toteż właśnie, dlatego, iż jesteśmy znikomymi i znajdujemy się bardzo blisko króla, trudno jest nas dostrzec. Mniemam, że Horvendil nie przejawia szczególnej ochoty, żeby zauważyć, co zaszło między nami, albowiem gdyby nas zdemaskował, miałby obowiązek działać zgodnie z prawem. Obowiązek, który, o ile znam mojego brata, usiłowałby przezornie wypełnić. Ale nie pokój w Danii mógłby wysadzić go z siodła, a sympatia ludu nie bywa pruderyjna. Wielu ludzi utożsamia z tronem raczej ciebie niż jego, ja zaś mam w Jutlandii popleczników i wysoko postawionych przyjaciół za granicą.

Lewa dłoń Gerty powróciła z leniwej wycieczki.

- Ach, kochanie, spójrz...Mały emisariusz twojego podbrzusza całkiem utracił chęć na swoją ochoczą nierządnicę.

Fengon spojrział w dół, ku miejscu, które odsłonił, ściągawszy pludry.

- Myśl, że można położyć głowę pod topór, w rzeczy samej skutkuje przykurczeniem przyrodzenia. - Brat Horvendila z ponurą miną pogłaskał miękką, podwójną pulchność podbródka królowej. - Obawiam się, że jestem rybakiem, który zgubił haczyk - powiedział. - Ty zaś poszybujesz z powrotem w toń znajomych wód.

- Nie, panie, bo stałam się już częścią ciebie, musimy, zatem wspólnie szybować dalej. - I Gerta, naprawdę niby wielka ryba, zsunęła się niżej na łożu, aby ożywić męskość kochanka bizantyjskim sposobem, którego ją na uczył. Lubiła to robić, lubiła go ssać w ślepym zapomnieniu, karmiąc się korzeniem natury Fengona. Walczyła z nim, krztusząc się i zaciekle pieszcząc jego jądra. Nie warto myśleć. Niech się dzieje, co chce. Nabrzmiąta reakcja szwagra wyгнаła z myśli królowej wszelkie skrupuły, które najpierw spęczniały jak gąsienice, a następnie odleciały w dal.

- II tempo fa tardi - powiedział Fengon do Sandra, kiedy w końcu wyłonił się z komnaty. - Andiamo prosto!

- II giorno va bene per Lei? - Sługa wyczuł że nadciągają kłopoty.

- Si, si. Era un giorno perfetto. El per te?

Herda, choć siedziała spokojnie przy wymiecionym do czysta, zimnym palenisku, miała zarumienioną, rozpogodzoną twarz i potargany czepek, który zsunął się z biegnącej pod brodą przepaski. Usta służebnicy Gerty wyglądały niczym poszarpane, oczy miała mętne.

- Molto bene, grazie, signore. Crepi il lupo! Niech się wilk rozpuknie!

Ciepło lato przeszło w jesień. Popołudnia październikowych dni, wyzłoconych zmieniającymi barwy lasami buków i kasztanowców, rozgrzewało słońce, choć o świtaniu widać było szron na trawie w sadzie, a na kałużach zamkowego dziedzińca lśnił już lód. Każdy wieczór odgryzał kilka minut długości dnia, o północy zaś nastawał trzaskający mróz i pojawiały się pierwsze zorze polarne. Istniały poza wszelką skalą zjawisk, na usianym gwiazdami nieboskłonie, migotały skrojone wyłącznie na własną miarę, wysokimi zasłonami, które zwieszały się z nicości i odsłaniały, rozsuwając się, nicość, a co najwyżej swe własne, mroczne fałdy oraz ich ulotne, blade, pawie kolory, fioletowe oraz turkusowe, tworzące jakby odległą muzykę fosforescencji. Falowały wokół pionowych zmarszczek, przyzywając jakby obserwatora, kiedy odpływały w mrok i powracały.

Elsynor wymagał obecności króla częściej aniżeli w lecie, gdy Horvendil raz po raz wyprawiał się na całe tygodnie w objazd posiadłości albo z wizytą do namiestników prowincji, których w domowych pieleszach trzymały obowiązki - musieli pilnować swych dzielnic, a czasami ludzi, którzy w ich imieniu sprawowali nadzór nad dojrzewającymi plonami, pasącymi się na łąkach stadami bydła, puszczeniami obfitującymi w zwierzynę, a także nad pracowitymi żniwami oraz należną od nich koronie dziesięciną, której płacenia chłopów i lennicy usiłowali niestrudzenie unikać. Nie pojmowali w swojej krótkowzroczności, że bez podatków nie byłoby ani królewskich wojsk, ani zaciężnych armii, które broniłyby ludu przed Norwegami, Pomorzanami i innymi wrogami, pragnącymi podbić duńskie ziemie, wszystkich Duńczyków zaś uczynić niewolnikami. Bez podatków nie byłoby także zamków, dających schronienie poddanym podczas najazdów, ani mostów, którymi można przebywać rzeki w drodze na targ, jarmark lub zapusty, kiedy to, zdaniem króla, ludzie zamiast pracować marnotrawią tylko czas i zdrowie, przypatrując się z rozdziawionymi ustami rozmaitym monstrom i oszustom oraz oddając się lubieżnym chuciom, pijaństwu i obżarstwu, które mądrych czynią głupimi, głupich zaś ogłupiają do cna. Kościół lekkomyślnie mnożył kolejnych świętych, a z nimi świąteczne dni, będące pretekstem do organizowania jarmarków i obłakańczych zabaw. Jeszcze trochę, a ludowi zabraknie dni roboczych i wspólnego celu. Zaś bez solidnego fundamentu, jaki stanowi centralny ośrodek władzy, każda wioszczyna pozostanie zaledwie samotną wyspą - bez władzy nie byłoby krucjat, turniejów ani jednoczących naród wojen.

Kiedy król Horvendil bawił na prowincji, czuwając, by płody ziemi przynosiły grosz należny królewskiej szkatule, Gerta i Fengon spędzali swobodnie razem długie godziny, sycąc nie tylko żądzę (która raczej narastała, niż słabła, jako że praktyka i rosnąca zażyłość między nimi sprawiały, iż pozwalali sobie na coraz więcej), lecz także niewinną ciekawość, karmioną

przez zakochanych najbardziej nawet trywialnymi szczegółami, składającymi się, cząsteczka po cząsteczce, na obiekt odwzajemnianej miłości. Fengon pragnął zwłaszcza posiadać dziewczęcość Gerty, przeniknąć obraz dojrzałej, dorodnej kochanki i ujrzeć ją jako śmiałe dziecko o nieco zdziwionej buzi, niewinnie i poważnie torujące sobie drogę pośród kłopotów na dworze Roderyka, pogrążonym w żałobie po śmierci matki dziewczynki. Uwielbiał tę małą o życzliwych, szarzielonych oczach, tak jak uwielbiał śliczną, wąziutką, ciemną szparkę między jej zębami... Różowe dziecko w brokatowym czepeczku, zakrywającym uszy całkowicie, a kaskadę włosów do połowy...Zaniedbywana, lecz rozpieszczona dziewczynka przechodziła z kolan jednej faworyty króla na kolana drugiej. Kiedy ojcowskie nałożnice traciły do niej cierpliwość, odsyłały małą Gertę pod opiekę niańki, leciwej, sękaty Marlgar, ona natomiast zabierała ją wtedy na wysokie, bezpieczne poddasze, górujące nad gwarem świata dorosłych, do otoczonego balustradą łóżeczka i trzech szmacianych lalek, których imiona królowa pamiętała jeszcze po czterdziestu latach i wymawiała je tak pieszczotliwie, opowiadając Fengonowi to wszystko, że w wyobraźni widziała ich oczy z glinianych paciorków, nosy z supłów i wyszywane uśmiechy.

- Czułaś się wtedy samotna? - zapytał.

- Chyba nie - odrzekła, sięgając ze smutkiem do wspomnień, jak gdyby szukała swojego odbicia na dnie studni. - Nie miałam rodzeństwa, ale w Elsynorze były dzieci w moim wieku, niżej urodzone. Bawiliśmy się w rycerzy i Saracenów i rzucaliśmy na nitkach koniki polne złocistym karpion, pływającym w fosie. Marlgar miała na mnie baczenie, ale bardzo rzadko nie pozwalała mi na jakąś zabawę czy przyjemność. Pochodziła z jednej z wyseppek, leżących na północ od Lolland, gdzie dzieciom zostawia się całkowitą swobodę. Mój ojciec potrafił być szorstki, a jego przyjaciele grubiańscy, kiedy się upijali, wiedziałam jednak, że nie stanie mi się krzywda. Byłam księżniczką, zrozumiałam to wcześniej, i często zastanawiałam się, kim będzie książę, którego obdarzę miłością i poślubię... Myśl o nim często mi towarzyszyła. A teraz jest tutaj, przy mnie.

- Och, kochanie, nie jestem ideałem księcia z dziewczęcych marzeń, tylko mrocznym, bezecnym cieniem króla. A czy mała księżniczka...wiedziała, że zawsze ktoś będzie się nią opiekował, nawet jeśli ona nie zechce o to zabiegać?

- Tak. Zresztą nie mogłam zabiegać o wiele ponad to, żeby być dobrym dzieckiem i nie skarżyć się.

- I taka pozostałaś. Uległa i rozkoszna.

- Chyba masz rację. Czy to ci we mnie przeszkadza?

- Urzeka mnie. I chyba trochę przeraża.

- Nie bój się, najdroższy. Wszystko, co żyje, musi umrzeć. Jest grzechem marnować nasze życie tu trapiąc się nieustannie życiem na tamtym świecie albo nadciągającą katastrofą. Narodziny nakładają na nas dziedziczny obowiązek wypełnienia naturalnego przykazania, by kochać każdy dzień i to, co ze sobą niesie.

- Gerto! - zawołał Fengon, delektując się, jak zwykle, smutnymi sylabami imienia, które w jego myślach składały się na ciało królowej. - Przemawia przez ciebie głęboka słodycz lub może słodka głębia. Niebezpieczeństwa, które zawisły nad nami, zdają ci się zupełnie nierealne.

- Nie, one są rzeczywiste, ale postanowiłam podjąć ryzyko. Kobieta powinna żyć na własny rachunek, jak mężczyzna.

Gerta pogładziła Fengona po nagich ramionach, gładkich niczym zbroja, jeśli nie liczyć fioletowej bruzdy, pozostawionej przez turecki jatagan. Wodziła palcem wzdłuż blizny sięgającej skapo owłosionej piersi kochanka.

- Straszliwe cierpienie, jakiego zaznałam podczas porodu Hambleta, uczyniło życie i koronę mymi dłużnikami. Uznałam, że to może być ostatnia szansa, bym mogła odebrać dług. Roderyk i mój przysły małż targowali się o mnie, ty zaś przywróciłeś mi najskrytszą wartość, tkwiącą w tej małej dziewczynce, którą tak uwielbiasz poniewczasie.

Fengon jęknął.

- Twoja ufność czasami mnie obezwładnia. Świat mógłby powiedzieć, że okazałem się nikczemny jak beklivy kozioł, który biegnie tam, dokąd pcha go żądza.

Królowa uśmiechnęła się.

- Byłeś dyskretny i bardzo długo czekałeś. Ja byłam gotowa przyjąć cię już w dniu mojego ślubu. Nie przyjechałeś wtedy, przysłałeś mi w prezencie tylko pustą tacę. A co do świata, to istnieje prawda zewnętrzna i wewnętrzna. Prawda wewnętrzna należy wyłącznie do nas, a ty okazałeś się godny zaufania i dochowujesz mi wierności. Nic zatem nie może zniszczyć naszego uczucia, chyba że jedno z nas nieoczekiwanie porzuci drugie.

Fengon ucałował dłonie królowej, zawsze całkiem nagie, ilekroć się z nim spotykała, choć gęsto upierścienione, kiedy zasiadała na tronie u boku Horvendila.

Tymczasem po złotych dniach zbiorów nadchodziła zima i król mógł wreszcie poświęcić więcej uwagi sprawom domowym. Pewnego feralnego, już srebrnego dnia, zwanego Dniem Wszystkich Świętych, Horvendil zavezwał brata na prywatną audiencję.

- Doszły mnie słuchy, że bywasz w Elsynorze nie tylko wtedy, kiedy widzujemy się jako bracia i przyjaciele - zaczął król. Przybrał na wadze, odkąd spotkali się ostatni raz. Horvendil pochylał głowę i tors, jak gdyby bolały go mięśnie potężnej szyi.

- Ty musisz doglądać całego królestwa, ja zaś tylko moich robiących bokami posiadłości, tutaj i w ziemi rodzinnej. Lecz kiedy zbierze się rad lub, gdy rozpoczną się obrady thingu, nie poskąpię ci pomocy.

- Twoje porady i widoczne wsparcie wiele znaczą dla korony. Poza następcą tronu nikt nie jest jej tak blisko, Jak ty.

- Zewsząd słyhać jednak, że księżę pozostaje zdrowy na ciele i umyśle, jeśli nie liczyć jego kapryśnego charakteru. Poza tym podobno jest uzdolniony.

- Uzdolniony, ale skandalicznie nieobecny.

- Hamblet kształci umysł w ziemiach naszego dostojnego sojusznika, cesarza, by przygotować się do objęcia stanowiska władcy, gdy przyjdzie po temu pora. Ale ty nie jesteś jeszcze starcem, a co więcej, pochodzisz z twardego rodu naszego ojca.

- Niestety, nie każdy szlachetnie urodzony Duńczyk żyje na tyle długo, by umrzeć ze zniedołężniałej starości. Są tacy, których czas popędza, mnie zaś ostatnio ogarnia często sztywność i ociężałość. Ale mniejsza z tym. Kto ci donosi, że księżę jest poczytalny i utalentowany?

Fengon zawahał się na mgnienie oka, nim zauważył, że szczerą odpowiedź nie może mu zaszkodzić.

- Jego matka i twój królewski szambelan. Oboje z miłością opowiadają mi o męskich zaletach Hambleta.

- Ich opinie kształtuje naturalne przywiązanie i względy polityczne. Dla mnie mój syn pozostaje tajemnicą.

- Choć sam nie mam dzieci, które uznaję za swoje, mniemam, bracie, że z ojcem i jego synami zawsze bywa podobnie. Świat syna różni się od świata ojca choćby tylko, dlatego, że dominującą postacią jest w nim właśnie ojciec. To samo można powiedzieć o starszych i młodszych braciach. Ty zawsze jasno widzisz swoje cele - ja dostrzegam jedynie twoje czyny.

Po szerokiej twarzy Horvendila o wąskich, ściągniętych ustach widać było przez chwilę, że usiłuje ogarnąć geometryczną figurę tej wypowiedzi, przesiewając jej składniki w poszukiwaniu zuchwalstwa. Ale zainteresowanie króla skupiało się wokół innej kwestii, od której nie chciał pozwolić się odciągnąć.

- A królowa... Podobno ostatnio toczyłeś z nią częste rozmowy.

Fengon postanowił wyrażać się nieco dworniej. Poczuł się dziwnie lekki. Wyteżył wszystkie zmysły.

- Moje opowieści z egzotycznych podróży przynoszą jej ulgę wśród jednostajnych dni. Twoja małżonka posiada skłonny do przygód charakter, została jednak spętana codziennością królewskiego życia. - Tego lata bawiła ze mną w Skanii.

- I spędziła czas iście po królewsku. Mówiła, że byłeś fetowany i podziwiany.

- Często o mnie mówi?

- Stanowisz właściwie jedyny temat jej opowieści.

- A w jakim tonie wyraża się o mnie żona?

- Mój drogi, stary fratrze, naciskasz, jak gdybym to ja był twoim partnerem w tym stadle. Otóż po powrocie ze Skanii z uwielbieniem rozprawiała o twojej przykładowej dobroci, okupionej wielkim staraniem potędze oraz miłości, jaką żywisz dla poddanych, a którą lud ci oczywiście odwzajemnia.

- Królowa mniema, że moja zaborcza miłość do Danii to przejaw głupoty. Sądzi, że zbyt biorę sobie do serca starą prawdę, głoszącą, że jeśli dobroć nie spływa od Boga poprzez króla na poddanych, lud będzie cierpieć i zginie, znikną, bowiem wszelkie wzajemne zobowiązania, których miejsce zajmie powszechna zwierzęca samolubność i dzika anarchia. Król jest jak słońce, co ogrzewa glebę. Jeśli coś je przesłania, promienie nie docierają do ziemi. Plony nie wschodzą, a zebrane i zmagazynowane zapasy zaczyna toczyć zgnilizna.

Takie górnolotne metafory kusiły Fengona, by uśmiechnąć się na znak sprzeciwu, zapomnieć o zdrowym rozsądku i rozbić w pył słowa, splamione zabobonami, za pomocą, których król dokonywał aktu samouwielbienia. Najwidoczniej władza monarsza odebrała Horvendilowi rozum. Tymczasem jednak Młot zadał kolejny cios:

- Często zastanawiam się, mój bracie, czemu nie weźmiesz sobie żony.

- Ja miałbym się ożenić? Zdaje się, że małżeństwa to kluczowy temat naszego spotkania.

- Nie dotarliśmy jeszcze do kwestii kluczowych, więc nie trać cierpliwości i oszczędź sobie uśmiechów. Lena z Orkadów, którą poślubiłeś, kiedy ja dałem ci przykład moim małżeństwem, a którą poznałem i uznałem za odpowiednią towarzyszkę dla człowieka o twojej rozmarzonej, romantycznej naturze, zesła z tego świata przedwcześnie. Przez kilka dziesiątków lat, które minęły od tamtego czasu, nie brakło ci animuszu, zwiedziłeś, bowiem cały kontynent kandydatek na żonę, lekceważąc jednak oczywisty obowiązek wobec Danii i naszego rodu. Nie odegrałeś należytej roli w poszerzaniu granic naszych interesów. A miałbyś po temu okazję choćby i teraz, bo, jak donoszą posłowie, córka króla Szkocji jest urodziwa, bystra i smakowicie młoda, a dzięki ścisłemu związkowi między naszymi dworami,

Anglicy, ku obopólnej uciechu Szkotów i Duńczyków, znaleźliby się między młotem a kowadłem.

Fengon roześmiał się nieco nierozsądnie.

- Z radością ujrzałbym Anglików w tym położeniu, nie chciałbym jednak, by kowadłem była moja żona, którą ty sterowałbyś wedle swej woli. Nie trzeba mi żony. Stoję ponad tego rodzaju pragnieniami. Rozmawiasz ze starym wojownikiem, przywykłym do przyjaznego odoru męskich ciał.

- Nie chcesz żony. Jak to być może? Czyżbyś był odmieńcem żyjącym wbrew naturze?

- Żyję zgodnie z naturą, jako i ty, bracie, a może nawet lepiej, nie zniewoliłem bowiem niechętnego małżeństwu dziewczki, żeby stać się królem.

- Czy Gerta mówiła ci, że była niechętna małżeństwu?

- Nie, to tylko moje domysły. Żywiłem je od samego początku, dlatego nie chciałem oglądać twojego triumfu, równie brutalnego, jak gwałt, którego dokonałeś na Seli, nim pozbawiłeś ją życia.

- Sela była plagą naszych wybrzeży - odpowiedział spokojnie Horvendil, przyglądając się bacznie bratu swoimi podłużnymi oczami. Królewskie białka krył jakby rybi połysk, współgrający z wyrazem jego niemal pozbawionych warg, stanowczych ust, które przywodziły na myśl płaza. Fengon nie powinien był dawać upustu złości i bronić kilkunastoletniej oblubienicy, która na zawsze zniknęła z powierzchni ziemi, a która być może wcale nie była tak niechętna małżeństwu, jak to opowiadała kochankowi. Romantyczne uniesienie zdradziło Fengona. Przechodząc do ofensywy, zachwiał równowagę sił między braćmi.

- A może nie chcesz sobie wziąć małżonki, bo w pewnym sensie ją masz...- powiedział Horvendil ciężkim, znużonym głosem, jak gdyby pewny swego. - Posiadasz, bowiem małżonkę innego mężczyzny. Nie mów nic, Fengonie. Przedstawmy sobie razem tę bajkę. Oto pewien zacy, prawowity król ma brata włóczęgę, który powraca po latach do królewskiego zamku, strudzony bezowocną tułaczką w poszukiwaniu przygód, i wskutek zgorzkniałego próżniactwa uwodzi królową przy pomocy zdradliwego, zgrzybiałego szambelana. Cudzołożna para całymi miesiącami syci swoje niewymowne żądze w tajemnej kryjówce, jaką zapewnił im - szambelan-rajfur w swej wrogości do króla, o którym wie, że zamierza pozbawić go popłatanej posady. Zapytuję cię jako mojego kochającego brata i zaufanego członka radu, co w takiej sytuacji winien uczynić żałośnie skrzywdzony król, strażnik przykazań Boga i opiekun państwowego domostwa?

Fengon poczuł niezwykle podniecenie, a każdy jego nerw spłynął kojącym, oczyszczającym naparem katastrofy. Pod jego stopami otworzyło się piekło, niesięgające jednak głębiej niż śmierć, z którą spotka się tak czy inaczej. Jak podczas potyczki samowtór z Turkiem, Saracenenem lub alzackim albo pizańskim najemnikiem, wszystkie aspekty chwili rozbłysły przed nim jednocześnie, niczym fasety brylantu, a bajecznie ubarwiony świat został odarty do zaledwie kilku podstawowych kolorów - bieli życia, czerwieni krwi i kontrastowej czerni, czyli śmierci.

- Król powinien najpierw wziąć na męki swoich informatorów, którzy ułożyli tak dziwną i nieprawdopodobną opowieść, by zmusić ich do wycofania donosu i wyznania kłamstw.

- Najlepiej poinformowanego ze wszystkich informatorów nie mogę wziąć na męki, albowiem nie ma go tutaj. Powrócił do Kalabrii. Wystraszył się naszych lodowatych, jesiennych nocy, zapowiadających nadejście jeszcze sroższej zimy, i zdradził cię w zamian za obietnicę bezpiecznego powrotu do słonecznej ziemi rodzinnej.

Fengon zmilczał, czuł jednak, że mówi za niego zaczerwienione oblicze. Lata spędzone w służbie dyplomatycznej utwierdziły go w przesadnym przekonaniu, że posiada uwodzicielskie moce i umiejętność zaskarbiania sobie lojalności, szczególnie wśród młodzieńców i cudzoziemców. Granice języka narzuciły mu fałszywą zażyłość, na dając drugie dno wglądowi Fengona w dusze obcych. Zaufałyby Sandrowi własne życie. Ba, zaufał mu przecież. Crepi il lupo!

Horvendil począł chodzić jak lew po audiencyjnej komnacie o posadzce wyłożonej skórą wilków i lwów, upajając się pozycją człowieka panującego wszechwładnie nad sytuacją i demonstrując pełen mściwości spokój.

- Nie wiń wyłącznie Sandra... Widziało was wiele par oczu i obmawiało wiele języków. Nawet mój własny zmysł obserwacji, choć wiem, że ty i Gerta sądzicie, iż został beznadziejnie stępiony ciężarem korony, podpowiadał mi, że coś jest nie w porządku...A raczej, że coś zaszło. Gerta zaczęła się zachowywać inaczej, gdy obcowała ze mną. Stała się odważniejsza, jak gdyby chciała usprawiedliwić jakąś wielką tajemnicę zdradzonymi mi w sekrecie aluzjami i dowodami zainteresowania. Stała się... czy zranią cię te słowa? Stała się bardziej ognista, wbrew temu, co można by przypuszczać na podstawie przyjętych powszechnie zasad przyzwoitości. Gorzała nawet, kiedy odstępowała od ognia. Ognia potępienia, jak powiedzieliby zapewne kapłani, księża, którzy ciało znają jedynie z ksiąg, a oglądają je tylko w trupim świetle konfesjonału, nigdy nie poznawszy go, jak my, z natury gdzie jawi się narzędziem obosiecznym, służącym zdradliwym gwałtom i ukojeniem, i gdzie

podtrzymuje, jak i przywodzi do upadku rozum. Gerta to zacna niewiasta - ciągnął Horvendil, bawiąc się żoną i bratem, jak gdyby Gerta i Fengon byli marionetkami. - Nie radoowało jej, że hańbi moją cześć, równającą się w istocie czci Danii. Nasze małżeńskie łóżce wciąż było dla niej świątynią, chociaż ją zbrukała. Korzystałem, więc dzięki jej strapieniom, choć nie zmiarkowałem z początku, co się święci. A przecież było w niej i w jej przejrzałych zalotach coś dziwnego, zgniłego, jak można by rzec, gdybym chciał wyrazić się z niepotrzebną przecież dosadnością. Chce, żebym ja o niej mówił, zrozumiał nagle Fengon.

Chce, żebym opisał ją w równie bezwstydnym słowach, jakich on sam użył, abym przedstawił ją jako lubieżnicę, oddającą się cielesnym chuciom, duszącą się w poczuciu winy i przewracającą się bezustannie na plecy, bo w tej pozycji przypomina tłusty, smakowity kąsek, podany w aromatycznym sosie, gdy leży z szeroko rozłożonymi nogami, obnażając włochatą, piekielną dziurę. Horvendil mógł odzyskać żonę tylko w taki sposób, poprzez niego, poprzez swego brata, na rzecz, którego tylekroć tracił ją na długie godziny, gdy wymykała się z zamku. Rzuciwszy okiem wstecz, ku splamionym słońcem miesiącom zakazanej namiętności, Fengon przypomniał sobie przejrzystą grę światła w ich okrągłej komnacie i dalej, na jeziorze, wspomniawszy głos Gerty, rozbrzmiewający zalotnym zachwytem na widok jego podarków, i dojrzała, różaną wspaniałość królowej, którą wtulała się w niego, jak gdyby szukając kryjówki w obliczu kapitulacji. „Chroń mnie” - błagała go wtedy.

Fengon wciąż milczał, nie spuszczać oka z krążącego po komnacie króla, owładniętego wyniosłym podnieceniem drapieźnika, który wie, że ofiara już mu się nie wymknie. Horvendil domyślił się, że brat nie podzielił się z nim swym nagim łupem. Ogarnęło go wzburzenie.

- Nie dajesz mi żadnej rady,

- Nie mogę być zarazem sędzią i oskarżonym. Bacz jednak, że trony rozpadają się czasem wskutek wstrząsów, które wywołują. Pod twoim, jak pod każdym berłem, Danię przenika niepokój wielu krzywd i spodziewanych korzyści - Ludzi, kwitnących pod panującym aktualnie władcą, jest zawsze mniej niż tych, którzy żywią się nadzieją nastania lepszego ładu.

- Jak śmiesz mnie pouczać, ty, który zburzyłeś spokój domowego ogniska i godność mojego małżeństwa? Który nagiąłeś do swej podłej żądz, cuchnącej cudzoziemskimi zamtuzami, wolę cnotliwej królowej, mojej żony? Zawsze byłeś gorszy ode mnie, Fengonie, byłeś paskudnym, przyczajonym cieniem, mniej sprytnym na łowach, słabszym, brzydszym, mniej pilnym i mniej lubianym przez zakonnych nauczycieli i naszego ojca. Tak, takie jest

moje zda nie, choć Gervendil zamierzył wyznaczyć nam w Jutlandii równoważne stanowiska, jakbyśmy oddali mu identyczne usługi w bojach, wykazując się równą odwagą i mądrością wojenną.

Dotknięty do żywego Fengon położył dłoń na czarnej rękojeści miecza.

- Byłem też mniejszym okrutnikiem od ciebie - po wiedział. - Mniej zachwycało mnie więc plądrowanie bezbronnych parafii u wybrzeży Norwegii, zaprzeczam jednak, jakobyś przewyższał mnie zmyślnością czy odwagą.

Podłużne oczy Horvendila spostrzegły jego gest.

- Sięgasz po miecz? Chciałbyś się na mnie rzucić? Dalej, więc, bracie, oto moja pierś, zakuta jedynie w aksamit. Nie zdołałbyś mnie zranić głębiej niż wtedy, kiedy oczarowałeś i bodłeś moją, jak mogłem wówczas sądzić, cnotliwą królową!

Wystawia pierś na cios. To jego stara sztuczka, pomyślał Fengon. Za arrasem mogą kryć się łucznicy. A może klęczą w niszach nad naszymi głowami, gotowi naszpikować mnie jak jeżozwierza, jeśli postąpię choć krok ku jego majestatowi.

- Zawsze byłeś podły w głębi duszy - mówił dalej król, pełnym wyrzutu i gderliwym tonem, spostrzegłszy, że jego brat cofnął dłoń z rękojeści. - Nieunikniona zawiść kazała ci spiskować, oddawać się nienaturalnym rozmyślaniom i fantazjom, w które postanowiłeś wtajemniczyć kogoś, należącego do słabszej i podatniejszej na wszelakie wpływy płci. Ubóstwiałeś kobiety i dlatego chciałeś je poniżyć, wiedziałeś, bowiem, że twoje górnołotne zachcianki nie mogą się ziścić, będąc jedynie wynikiem nikczemnej a tchórzliwej gorączki. Nieszczęsna Lena, wychowana wśród pól bezdrzewnych wysp, usianych prastarymi grobowcami była dla ciebie idealną partnerką, sama, bowiem żyła w nierzeczywistości odpowiadającej twoim dziwactwom. Wokół jej śmierci krążyły najczarniejsze pogłoski, dotyczące nadużyć, jakich miałeś się dopuścić na jej niewinności, ja jednak nie dawałem im wiary. Wierzyłem, że kochałeś Lenę tak mocno, jak umiałbyś kochać każdą inną kobietę, niebędącą wytworem twojego zepsutego umysłu. Dlaczego mnie znienawidziłeś, Fengonie? Pochodzimy od tych samych rodziców i odebraliśmy to samo bezlitosne wychowanie. Nie pragnąłem dla siebie doskonałości po to tylko, żeby tobą pogardzać. Mogłeś stać u mego boku, ciesząc się czcią nieomal równą mojej, zamiast włóczyć się po najdalszych zakątkach chrześcijańskiego świata, obnosząc się ze swoimi sprośnymi tęsknotami i dumą wygnańca, marnując życie pośród sybarytów i heretyków.

- Nie jesteś mi nienawistny - odpowiedział Fengon. - Choć cały świat sprzysiągł się, by nadać cię pychą, wydajesz mi się dziwnie mały, a w miarę jak przebiega to spotkanie, coraz bardziej gadatliwy i nudny. To, co rzekomo wiesz, nie jest całą prawdą, czyni jednak

wedle swej woli. Jak brzmi twoja odpowiedź na pytanie, dotyczące naszej wymyślonej bajki?

- Na początek uśmiercę zdradzieckiego szambelana - oświadczył Horyndil.

- Jego siwe włosy i długie lata lennej wierności nakazywałyby raczej okazać mu łaskę.

- Nakazują coś wręcz przeciwnego, bo potęgują obrazę, jakiej się dopuścił. Zło z dawna zaplanowane to podwójne zło. Zadam więc szambelanowi śmierć na torturach i każę go poćwiartować jako przykład dla pozostałych dworzan. Natomiast co do nikczemnego brata króla...

-...który odsunął wiele nikczemnych myśli...

-...to i on zasłużył sobie na śmierć, król zezwoli mu jednak na dożywotnie wygnanie. Egzekucja człowieka, w którym płynie krew monarchy, mogłaby wzburzyć wierne umysły poddanych, uważających nas za boskie rodzeństwo. Banicja jest bardziej wspaniałomyślna niż egzekucja, a przy tym podtrzymuje poczucie żalu i zazdrości w grzeszniku. Można by ją nawet określić mianem łaski wobec kogoś, kto kiedyś przebywał długo na wygnaniu z własnej woli, i kto, podobnie jak Szatan, wolałby wycofać się w trzewia ziemi, niż dręczyć oczy widokiem swego promieniejącego szczęściem pogromcy i prawowitego pana.

- A co się stanie z królową?

Horvendil dosłyszał napięcie w głosie brata. Uśmiechnął się, a jego jakby pozbawione warg usta, tak często zaciśnięte, kiedy z zimną krwią podejmował jakąś błyskawiczną decyzję, rozsunęły się szeroko i podciągnęły policzki króla ku górze, unosząc kędziory jego skąpej bródki.

- Królowa, zakochany beznadziejnie amanciku, należy do króla, który zdecyduje, w jaki sposób ją zgładzić. W zamierzchłych czasach naszych przodków uważano pal za karę odpowiednią w stosunku do występków, jakich do puściła się Gerta. Legenda głosi, że Jórmunrekr kazał łamać Svanhildrę kołem za cudzołóstwo, potem zaś cisnął ją pod kopyta dzikich koni, które stratowały zdrajczynię na śmierć.

- Svanhildra została fałszywie oskarżona, wybuchły, więc zamieszki, powiada dalej legenda. Ukarz raczej mnie, spal mnie w zamian na stosie, albo ukarż sam siebie. Zaniedbywałeś Gertę i gardziłeś nią, ona zaś w słodczy swej niewieściej duszy pragnęła jedynie powetować sobie twoje zaniedbanie i pogardę.

- Królowa należy do mnie, bez względu na to, jak ohydnie ją wykorzystałeś, i bez względu na to, jak spotwarzasz moje małżeńskie stadło, o którym Gerta ujawniła kochankowi jedynie to, co mogło mu pochlebiać i usprawiedliwiać jej groteskową, kazirodczą wiarołomność. Wyrzecz się jej, Fengonie, a także wszelkich myśli o tym, że zdołasz

zachować szlachetną reputację. W imię prawdy i porządku musicie oboje okryć się niesławą. Dopilnuję, aby skonfiskowano twoje dobra w Jutlandii i pozbawiono cię wszelkich praw do tronu.

- Praw, które tytułem dziedzicznego przywileju przypadają raczej Gercie niż tobie - wtrącił zapalczywie Fengon.

Horvendil zbył tę uwagę gestem.

- Popadniesz w ubóstwo i będziesz się błąkał po świecie, a piętno wstydu i podłości, którym naznaczą cię wynajęte przeze mnie języki uczyni bohatera z tego, kto cię zabije. Będziesz czymś gorszym niż proch, proch, bowiem nie posiada imienia, które mógłby zhańbić. Spłoń, jeśli chcesz spłonąć, lecz w ogniu świadomości, że nadobna Gerta pozostanie ze mną w stadle małżeńskim, choć pokarana i pognębiona cierniami wyrzutów sumienia, dręczącymi jej łono, co jednak pozwoli zranionej duszy królowej zaśpiewać w niebiesiech, kiedy nadejdzie kres naszych plugawych nieszczęść i udręk na ziemi.

Horvendil wybiegał myślami w przyszłość. Fengon zorientował się, że w wąskich, lodowatych oczach brata nie jest niczym więcej niż komarem, którego król za chwilę rozgniecie - więcej, którego już rozgniół i który już stał się jedynie maleńką plamką na karcie swej historii.

- Lecz w chrześcijańskiej dobie nie ma miejsca na pełną męczarni pomstę - odezwał się z łaskawością w głosie Horvendil. - Gertę czeka ten sam los, który rządził jej życiem od trzydziestu lat, czyli pozostanie moją żoną. Złe mnie osądziłeś, mój cudzołożny i zawistny bracie, jeśli myślałeś, że nie wyprzedzam cię także w miłości do Gerty. Albowiem moja miłość dla królowej jest święta i niewzruszona, twoja zaś rozpustna i pozbawiona podstaw. Choć jesteś podły i wszedłeś do mego łóża, brakuje ci podłoża - ja zaś wspieram się na fundamencie wielkim jak Dania.

Ha.

Cios Horvendila ugodził tak celnie, jak wtedy, gdy król mieczem o szerokim ostrzu odrąbał nogę Kollowi. Fengon wyobraził sobie, jak bezsilnie uchodzi z niego krew. Horvendil rozdzielił go z Gertą...Po długich dniach smutku i pokuty zgodna, zacna natura królowej zespoliła się znów z naturą jej małżonka, słabe ciało zaś i łagodny, rozsądny duch Gerty oddadzą Horvendilowi wszystko, co należało kiedyś do kochanka. Królewski rębacz ociosał go już jak pniak, do ostatniego gniazda oporu, który pozostawał, jak dotąd, bezskuteczny.

Fengon poczuł się niczym rozplątane, wypatroszone zwierzę. Jego dusza porzuciła stan zawieszenia, właściwy duszom większości zwykłych ludzi, przechodząc na stronę partii

Szatana i jego niezłomności, przypieczętowanej żelazną przysięgą, której nie sposób uchybić. Brat króla skłonił się dwornie.

- Czekam twojego wyroku.

- Poczekasz więc jeszcze w milczeniu, bo sprawy wagi państwowej, które muszę omówić z posłami z królestwa polskiego, wzywają mnie tymczasem do szerszego i bardziej odpowiedzialnego świata niż krąg potrójnej zdrady, która doprawdy przepełnia mi serce smutkiem. Nie cieszy mnie świadomość, że mężczyźni, tak jak i kobiety, bywają zwykłymi śmieciami i że królewska miłość i łaska rodzą rozpustną niewdzięczność.

- Błagam, pobożny bracie, wbij mnie na pal, jeżeli sprawi ci to przyjemność, lecz oszczędź głowę usłużnego starca i nie wydawaj królowej na publiczną hańbę, bez względu na to, jak postanowisz ukarać ich po cichu. Gertę przepełnia nieskalana duma, ponieważ była ukochaną córką Roderyka.

- Moje postanowienia i wyroki będą wynikiem moich własnych decyzji, a każda uwaga, którą wygłaszasz przed obliczem króla na temat królowej, jest tylko przejawem łotrowskiej arogancji. Pomnij, że ja także znam Gertę, i przysięgałem, że będę ją miłował. Od tej chwili zabraniam ci ze mną rozmawiać. Przeklinam cię, bracie, a razem z tobą potworny figiel natury, za którego przyczyną wyszliśmy na świat z łona tej samej matki.

Odchodząc sprzed oblicza króla, odprawiony sromotnie Fengon pojął, że zachodzi w jego duszy głęboka przemiana - nagle otwarto się przed nim mroźne przestrzenie, sięgające daleko poza wściekłość, przez którą jego myśli przebijały się z błyskawiczną szybkością doświadczonych w pojedynkach szermierza. Cały romantyzm Fengona gdzieś się ulotnił. Wyszło szydło z worka. Gerta nie jawiła mu się już jako *princesse lointaine* ani forma światłości, lecz jako skarb, który musi odzyskać, lub terytorium, którego nie wolno mu stracić. Mimo to nie wiedział jeszcze, co począć, zdawał sobie tylko sprawę, że nie może cofnąć się przed niczym. Myśli Fengona szybowały wysoko niby zastygły w bezruchu sokół o czarnych, otwartych oczach, w których powiększa się każdy skrawek leżącej w dole ziemi, ptak zaś dzieli ją wzrokiem na wiele momentalnie rozpoznawanych kryjówek, w których, być może, przyczaiło się życie.

Opuszczając komnatę audiencyjną, Fengon zauważył, że arras przy drzwiach drgnął. Nie zdążył pokonać nawet dziesięciu stopni, po których schodził pustą arkadą u wejścia do wielkiej sali, kiedy dogonił go, rzucając z wysiłku, Korambis. Starzec słyszał wszystko i przeraził się. Zdjął zielony stożkowaty kapelusz, a siwe włosy stanęły dęba wokół jego łysiny, jak gdyby chciały uciec gdzie pieprz rośnie. Zwiędłe policzki Korambisa pokryły czerwone

plamy, znamionujące najwyższe podniecenie, a jego głos, narzędzie pracy całego życia królewskiego doradcy, nabrał ożywczej barwy i młodzieńczego, naglącego brzmienia, które przywrócił mu wstrząs.

- Król spędzi trzy godziny na obiedzie - powiedział, jak gdyby podejmował na nowo przerwana a wartką rozmowę. - Polacy tego piją, do rzeczy przechodzą zaś długą i okrężną drogą. Wino uczyni króla ociężałym. Nie uzna za stosowne, aby niezwłocznie rozprawić się z nami i z królową, jest, bowiem głęboko przeświadczony o nienaruszalności swojej władzy. Mniemam, że tak jak zwykle, utnie sobie drzemkę w sadzie. Czując ciężar przybywających lat, a także chcąc umknąć przed petycjami i prośbami dworzan tudzież poddanych, nabrał zwyczaju dawać wytchnienie swoim baczynom oczom i umysłowi na godzinę snu, choć czasem nawet i dwie, od kwietnia do października, a niekiedy nawet aż do listopada, w który wprowadził nas właśnie Dzień Wszystkich Świętych. Przed chłodami o tej porze roku chronią króla futra albo gruba wełna, a także udziergana gęstym ścięciem czapka, którą nakrywa głowę, w letnie upały Horvendilowi nie potrzeba natomiast żadnego okrycia...

- Tak, tak. Do rzeczy. Mniej mów, lecz powiedz więcej, Korambisie. Ktoś może nas zobaczyć i podsłuchać.

-...kiedy śpi w wykuszu, pod pergolą, choć ktoś inny powiedziałby, że sypia w pawilonie albo pod altaną, wzniesioną, by zaspokoić potrzebę wypoczynku króla, z nieociosanych pni i pośpiesznie oheblowanych desek przy południowej ścianie środkowego dziedzińca, aby kamienie muru ocieplały tę altanę w sadzie, która stoi po wewnętrznej stronie fosy, przy ścianie środkowego, jak powiadam, dziedzińca, a król zawsze tam sypia, wyjąwszy dni, kiedy panuje wyjątkowo niesprzyjająca aura lub nawet pada deszcz, chyba że nie niesie go zacinający wiatr, tak bardzo jego wysokość lubi powietrze sadu, zarówno wtedy, gdy ogród bieli się płatkami kwieciami i rozbrzmiewa brzęczeniem pszczół, jak i wówczas, kiedy staje się ciężki zielonym cieniem, albo pachnący, jak teraz, spadłymi z drzew owocami, którymi karmią się osy...

- Korambisie, przejdź do sedna, na Boga.

- Król będzie tam spał, sam, bezbronny.

- Ach, tak.

A jak można się dostać do altany?

- Z komnat królewskich prowadzą spiralne schody. Przejście jest tak ciasne, że dwóch ludzi nie przecisnie się obok siebie na stopniach. Wiodą do wąskich drzwi, do których klucz ma tylko kilka osób, a wśród nich i ja, na wypadek gdyby trzeba było nagle wezwać króla w razie kryzysu wojskowego czy dyplomatycznego.

- Daj mi go - powiedział Fengon, wyciągając rękę po prawie nieużywany klucz, który Korambis z denerwującą pieczołowitością odczepił drżącymi rękami z obręczy, wybierając go uważnie spośród innych. Klucz był pokryty rdzą, która splamiła dłoń Fengona.

- Ile mam czasu, za nim Horvendil uda się na spoczynek?

- Szlachta polska, jak powiadam, żywi skłonność do dywagacji, dwuznaczników i dyskusji w takim stopniu, że jakiegokolwiek rachuby...

- Oceń z grubsza. Od tego może zależeć nasze życie.

- Więcej niż trzy godziny, ale mniej niż cztery. Jak na jesień, dzień jest dzisiaj ciepły, Horvendil nie będzie zatem czekał, aż wieczorne cienie przyniosą chłód.

- To daje mi dość czasu, by zdążyć do Lokisheim i wrócić w porę, jeżeli będę pędził jak sam szatan. Przechowuję we dworze pewną substancję, którą składniki czynią odpowiednią dla naszych zamysłów. Czy król zawsze śpi sam?

- Chroni go tylko fosa, on zaś, jako osoba nieustannie wystawiona na widok publiczny, rozkoszuje się chwilą, gdy nie jest obserwowany.

- Mógłbym, więc przeniknąć do królewskich komnat, zejść na dół i czekać na niego.

- A jeżeli ktoś cię zatrzyma, panie?

- Powiem, że szukam królowej. Ten, przed którym na leżało zachować tajemnicę, i tak wie już wszystko.

- Czy mam powiedzieć królowej, co się stało?

- Nie mów jej nic. Nic. - Starzec aż skrzywił się z bólu, kiedy Fengon ścisnął go za ramię. - Gerta musi zachować niewinność, dla swojego i naszego dobra. Choć spiskowała w miłości, cofnęłaby się przed tym... nieodzownym krokiem. Jedynie niewiedza pozwoli jej ocalić czystość serca i oblicza. Polacy zajmą króla przez kilka godzin, na razie jesteśmy, więc bezpieczni, lecz powinieneś na wszelki wypadek mieć na wszystko oko i nie dopuścić królowej przed oblicze Horvendila, by nie odstonił się przed nią i nie zadał jej bolesnej rany, bo otrzymawszy ją, Gerta podniesie lament i zgubi nas wszystkich. A teraz mów, jaką drogą można dostać się z powrotem z sadu do zamku, aby nie wracać po schodach?

Korambis przechylił wielką, rozczochraną głowę, przypominającą dynię, nadzianą wszystkimi spiskami dworskimi, jakie w ostatnim półwieczu zawiązano w państwie duńskim. Choć groziło mu poćwiartowanie, nawet w tych okolicznościach cieszył się smakiem zmowy, do której przed chwilą przystąpił.

- Most zwodzony, po którym przekraczają fosę zbieracze owoców, podnosi się i zakuwa na zimę łańcuchami - odparł. - Ale... - głos szambelana pojaśniał mglistym światłem -

...z ustępu dla stajennych, ze stajni, wybiega szyb. Można się przezeń precyzyjnie i dostać na górę, na mury. To nie jest jednak droga dla szlachcica, tyle tam plugastwa...

- Ocenę zostaw mnie. Rozejdźmy się teraz, kto wie, na jak długo, i miejmy nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Jeśli nie na tym świecie, to być może na tamtym, już w wieczności.

Fengon stał się swym własnym, bezdusznym narzędziem, które trzymał w garści. Osobiście osiodłał konia, a tego dnia był nim na szczęście jego najszybszy wierzchowiec, czarny, choć posiwiały już nieco na pysku rumak krwi arabskiej. Fengon mocował się niezdarnie z popręgiem, przeklinając Sandra, który radził sobie z genueńskim siodłem z pełną zamięłowania zręcznością. Wreszcie dosiadł konia, wypadł przez bramę barbakanu i ruszył galopem w liczącą dwanaście mil drogę do leżącego za lasem Gurre dworu Lokisheim. Wkrótce arab okrył się rześistym potem, który oblewał i jeźdźca pod rozgrzanymi szatami. Czeladź powitała go ze zdumieniem, pan wyjechał, bowiem z Lokisheim niedawno, zaledwie o świecie. Po chwili słudzy okryli derkami i napoili drżącego z wysiłku rumaka, Fengon natomiast pędem wpadł do domu.

To, czego szukał, spoczywało w rzeźbionej skrzyni, stojącej pod skrzyżowanymi na ścianie halabardami. Gdy po luzował żelazne klamry i podniósł wieko, z wnętrza buchnął jodowy zapach Morza Egejskiego. Niemal na samym dnie, pod warstwą bel jedwabiu, garbowanych skór oraz rzeźb z kości słoniowej i cedrowego drewna, czyli zapasowych skarbów, przechowywanych na wypadek, gdyby adoracja Fengona dla królowej wymagała zrobienia z nich użytku, odnalazł gruby, jodeitowy krzyż - grecki, o ramionach jednakowej długości. Podarowała mu go pewna wytworna dama. „Gdyby kiedyś wróg stanął ci na drodze” - wyjaśniła spokojnie. Fengon był wówczas młodszy, chciał, więc uderzyć w dworny ton i palnął głupstwo, że nie obawia się żadnego wroga, dopóki ona pozostaje jego przyjaciółką. Cudzoziemska dama była jednak starsza od niego i tylko zachnęła się na próżne pochlebstwo. Bizantyjczycy rozumieli dobrze, że życie i miłość po prostu kiedyś się kończą. „Tak jak krzyż kryje w sobie zarówno cierpienie śmierci, jak i obietnicę wiecznego żywota, tak ten trujący jad łączy wyciągi z cisu i czarnego lulka z innymi, śmiercionośnymi dla humorów krwi składnikami - powiedziała wtedy owa kobieta. - Jeśli wprowadzić truciznę do ust lub ucha ofiary, natychmiast zetnie jej krew, niczym porywczy brat postępującego wolno trądu. Zadaje szybką i pewną, choć straszną dla oczu śmierć”.

Jedno z ramion krzyża, zalepione purpurowym woskiem, zostało pracowicie wydrążone, by ukryć wewnątrz smukłą, zakorkowaną fiołkę z weneckiego szkła. Fengon zerwał wosk szpicem sztyletu i fiołka wysunęła się z ramienia. Na dnie naczynia zawierającego śmiercionośną ciecz, przechowywaną w ukryciu przez długie lata, zebrał się

drobniutki, brunatny osad - gdy Fengon potrząsnął delikatnie ampułką, płyn przybrał bladożółtą barwę, która nawet tu, w ciemnej, niskiej sali, rzucała odbłask światła. A jeśli tamta kobieta okłamała go? Często zdarzało jej się kłamać w innych sprawach. Kłamała zresztą bez powodu, dla czystej uciechy tworzenia nowych światów. Dłonie Fengona zdrząły, gdy podniósł ciecz pod światło, oddychając ciężko. Po chwili wsunął kruchą fiolkę do wewnętrznej kieszeni kaftana. Pośladki i wnętrze ud miał obolałe, a kark rwał go przeraźliwie od powtarzających się w czasie jazdy wstrząsów. Był już stary, bardzo stary - i zmarnował życie. Poczuł, że wydaje woń starości, odór stęchłej słomy, której nikt od dawna nie rozrzucił w stajni.

Koń galopował z powrotem z takim animuszem, że dobiegł do zamku u kresu wytrzymałości. Fengon bezlitośnie smagał podstarzałego rumaka, wyrzaskując przysięgi do ucha nic z nich niepojmującego zwierzęcia - sierść na uchu araba była szorstka, ale jego przypominająca kwiat lilii małżowina miała barwę ludzkiego ciała. Fengon zaklinał się, że jeśli serce konia nie pęknie, to zawiedzie go na bujne pastwisko, pomiędzy całe stado tłustych klaczy. Odpowiadając z siodła w pełnym galopie na wezwanie strażnika, Fengon przemknął z tętentem nad fosą i pod zjeżoną szpikulcami kratą, przejechał barbakan i wpadł na dziedziniec zewnętrzny, na którym mieściły się pod murem stajnie. Żadnego ze stajennych nie było widać - i dobrze. Zawsze o jednego świadka mniej, a w takich sytuacjach lepiej w ogóle obejść się bez świadków. Fengon sam wprowadził konia do stajni. Poklepał go po spienionych, czarnych nozdrzach - chrapy rumaka były zbryzgane krwią - i szepnął:

- Obym i ja spisał się równie dzielnie.

Drogę w obie strony, której przebycie zajmowało zazwyczaj cztery godziny, Fengon pokonał w trzy. W okrytej długimi rzęsami gałce końskiego oka o fioletowej źrenicy odbijała się wyraźnie jego postać, mocna a zarazem filigranowa, przypominająca jakby brodatego trolla.

Kręciło mu się w głowie i zadygotał, kiedy ruszał dalej, już na własnych nogach. Sunął miękko, cicho, ostrożnie, wzdłuż wewnętrznego dziedzińca, aż do malej sali, potem w górę, po szerokich schodach, wytartych przez stulecia, i dalej, wyludnionym westybulem do wielkiej sali, a potem znów w górę, kryjąc się jeszcze starannie, do komnaty audiencyjnej i wykładanych jodłową posadzką komnat królewskiej pary. W oddali ktoś grał na lutni - po chwili dobiegły też splecione, cienkie niby nici dźwięki fletów. Muzyka bawiła królową i jej zajęte haftowaniem damy. Być może lokaje króla też poszli posłuchać grajków. Cicho jak wąż Fengon przemknął przez pusty alkierz królewskiego brata i znalazł wyjście, niskie niczym nisza kryjąca w kościele kropielnicę z wodą święconą, a prowadzące dalej, na spiralne

schody. Korytarz był tak wąski, że Fengon ocierał się o ściany. Schody oświetlał tylko pojedynczy otwór strzelniczy, meurtriere, osadzony mniej więcej w połowie drogi w dół. W jego pionowej szparze Fengon ujrzał daleką panoramę - błysk fosy, kawałek dachu krytego strzechą domu i dym unoszący się z ogniska na polu. Widok poraził go i osiadł wodnistym światłem na łukowatym sklepieniu za plecami Fengona.

Potem brat Horvendila zstąpił w studnię mroku. Namacał rozeschnięte deski i zardzewiałą żelazną siatkę drzwi. Jął gładzić chropowate wypukłości w poszukiwaniu dziurki od klucza, jak mężczyzna pieszczący kobiece ciało w poszukiwaniu owego tajemnego, maleńkiego punktu, który kryje w sobie odprężenie. Fengon znalazł dziurkę. Klucz Korambisa pasował, a naoliwiony mechanizm zamka ustąpił pod naciskiem. Sad wyglądał na opustoszały. Fengon przybył pierwszy. Dzięki...komu? Nie, nie Diabłu. Nie dopuszczał myśli, że odtąd pozostanie je go dłużnikiem.

Rozgrzewające słońce krzesło złote iskry z nieskoszonej trawy. Gnijące jabłka i gruszki napępniały powietrze zapachem fermentujących owoców. Rozdeptywał opadłe na ziemię, papkowate kształty, pozostawiając w splątanych źdźbłach zdradliwe ślady stóp. Tętniące serce Fengona dotrzymywało kroku innemu, abstrakcyjnemu postanowieniu woli. Nie było innej drogi, więc musiał improwizować i podejmować ryzyko.

Wyżej, za murem, rozległy się kroki - snadź kierowała nim ręka niebios, skoro zdążył przybyć naprawdę w ostatniej chwili. Przykucnął za wozem, na którym przed miesiącem składowano zbiory, a który niedbali o zamkowe zaopatrzenie chłopci porzucili na pastwę nadchodzącej zimy. Fengon przebiegł palcami po ciężkim krzyżu, który rozpychał mu kaftan. Jadeitowe krawędzie były spiłowane, a powierzchnia ramion gładka jak wyprawiona skóra, na której wycięto koliste desenie, przypominające w dotyku koronkę. Próbował myśleć o pięknej, różanej Gercie, lecz jego dusza z mroczną gorliwością skoncentrowała się już wyłącznie na łowach, by zadać śmiertelny cios.

Król wyłonił się z arkady u stóp muru dziedzińca. Monarsze szaty lśniły jaskrawo w niskich, ukośnie padających promieniach słońca. Horvendil miał obrzmiałą, zmęczoną, jak gdyby nagą twarz, nie wiedział, bowiem, że jest obserwowany. Po chwili Fengon wysunął fiolkę z gniazda w ramieniu krzyża i paznokciem kciuka podważył zatyczkę, którą okazał się szklany paciorek, umocowany klejem, wskutek działania czasu stwardniałym na kamień. A jeśli klej nie puści? Może trzeba będzie się wycofać, nie spełniwszy zamierzonego czynu? Wycofać się; ale dokąd? Czeką go wszak klęska i upadek, zresztą nie tylko jego - tak, że kobietę, która prosiła Fengona, by ją chronił. W końcu udało mu się jednak poluzować paciorek, a cieniutka warstewka jadowitej cieczy osmałiła mu palec.

Ukryty za porzuconym, butwiejącym w sadzie wozem, Fengon przyglądał się, jak jego brat zdejmuje błękitną aksamitną szatę, po czym owija ją wokół podstawy wyłożonej poduszkami kanapy, stojącej na wysokim postumencie altany jak na niewielkiej, zadaszanej scenie. Opończa króla była złotożółta, tunika zaś ze śnieżnobiałego lnu. Poduszki na kanapie miały barwę zieloną. Horvendil złożył ośmiokątną, wysadzaną klejnotami królewską koronę na poduszce tuż przy głowie i nakrył się derką z brudnoszarych skór owczych. Leżał, wpatrując się w niebo, a jego splecione ręce igrały bezwolnie na piersi, jak gdyby brat Fengona przetrawiał w sercu świadomość, że przyprawiono mu rogi i że musi wyrzucić okrutną zemstę na zbrodniarzach... A może wzburzyła go rozmowa z Polakami? Fengon zaczął się bać, że poruszony monarcha gotów jest w ogóle nie zasnąć, i zastanawiał się nawet, czy nie lepiej rzucić się na Horvendila i nie zmusić go przemocą, by wypił zawartość fiołki. Wlałby mu truciznę w skowyczące, czerwone gardło, jak roztopione żelazo w usta heretyka.

A jeśli atak nie powiedzie się, krzyki króla zaś ściagną do sadu pomoc? Wówczas udziałem Fengona stałby się los zdrajcy, szarpanego publicznie cęgami ku przestrodze innych. Widział kiedyś w Burgundii przywiązane do pala spiskowca, który, chcąc nie chcąc, musiał oglądać psy, pożerające jego własne, rozciągnięte przed nim na ziemi wnętrzności na oczach tłumu prawomyślnych gapiów, sądzących, że uczestniczą w podniosłym i patriotycznym widowisku. W Tuluzie opowiadano mu o katarach, których palono na stosach niczym wiązki chrustu, choć gorzeli oporniej niż drewno, a płomienie węgliły najpierw ich stopy i kostki nóg. Od ludzi, którzy przeżyli tortury, słyszał kiedyś, że duch człowieczy wstępuje na mękach na inny poziom istnienia, z którego pogodnie spogląda w dół na swoje ciało i jego dręczycieli jak znad krawędzi nieba. W takim to właśnie górnolotnym nastroju Fengon czekał teraz swojej sposobności, a kiedy szpaki i wróble, krążące nad jego głową i siedzące dokoła wśród gałęzi, przestały ostrzegać swych współbraci o obecności człowieka natarczywym ćwierkaniem, jakim ostrzegają się przed zdradzieckim kotem, postąpił kilka kroków naprzód, by sprawdzić, czy podłużne, niebieskie oczy brata wciąż pozostają otwarte. Gdyby król jeszcze nie spał, Fengon zamierzał udać, że przyszedł błagać go o litość, i starałby się jakoś wykorzystać okazję, aby zaaplikować Horvendilowi truciznę.

Ale z królewskiej altany rozlegało się już burkliwe chrapanie i niepomny na nic oddech, głośniejszy niż szum os w słodkiej trawie. Fengon podszedł bliżej, postępując krok za krokiem wśród zmarniałych, umierających już liści, i dzierżąc w dłoni odkorkowaną fiołkę.

Jego brat spał w znajomej pozycji, zwinięty na boku, z rozluźnioną pięścią wciśniętą pod brodę, co Fengon widział nieraz, kiedy dzielili wpierw łożę, a potem komnatę o dwóch

poślaniach w samotnej Jutlandii, gdzie wiatry często przerywały nocny wypoczynek. Choć młodszy, Fengon miał lżejsza sen. Horvendil codziennie próbował swoich sił, parł naprzód, przewycięzał trudności, naśladował dorosłych i wykorzystywał rodzinne przywileje w zabawach, na turniejach, wyprawach na wrzosowiska i górujące nad nimi jałowe wzgórza. Gervendil, wzorem pogańskich bogów skory do łupieżczych wypadów i hulanek, wziął małżonkę, która uszła w apatii na ustawicznym jutlandzkim wietrze, on zaś pozwalał synom wieść życie zgodne z naturą. Ponieważ nikt się nimi nie zajmował, Horvendil sprawował władzę rodzicielską nad Fengonem - rozkazywał mu, ale i świecił przykładem, karcił, lecz i przewodził zawsze węższemu i mniej ujmującemu bratu, nie bacząc na różnicę zaledwie osiemnastu miesięcy, jaka dzieliła daty ich narodzin. Gnali zatem razem przez wrzosowiska i zarośla w pogoni za zwierzyną, z procą i łukiem w rękach, dzieląc się ostrym wiatrem i pędzącym w górze nad ich głowami szerokim niebem. Czy między braćmi nie było wzajemnej miłości? Cóż, niestety, miłość jest tak przejmująca i tak łatwo obezwładnia dziecinną bezradnością, że czasami paraliżuje nasze działania, nawet wtedy, kiedy mogłyby one ocalić ludzkie życie albo zapewnić człowiekowi bogactwo i fortunę.

Stopy Fengona, powodowane jakby własną, wewnętrzną wolą, wślizgnęły się na schodki postumentu, gdzie spał na boku król, obróciwszy głowę uchem ku górze. Miał rozluźnioną, jakby obwisłą twarz. By wlać mu do ucha zawartość fiołki, Fengon musiał odsunąć kosmyk jasnych włosów brata, wciąż jeszcze miękkich i kędzierzawych nad szyją, gdzie nie przerzedził ich czas ani ucisk korony. Zgrabne było królewskie ucho, mocne, białe i zakończone pulchnym płatkami. Małżowinę porastała pianka siwych włosków. Fengon wciągnął powietrze, ale wstrzymał oddech, kiedy wlewał truciznę - dłoń jednak mu nie zadrżała. Ucho jego brata, ucho, które wchłonęło jadowite słowa Sandra, ów wir wiodący do mózgu i stwarzanego przezeń wszechświata, przyjęło blady sok trucizny, której resztki przelały się w końcu, a wtedy Horvendil przez sen otarł niezdarnie skroń, jak gdyby śnił, że łaskocze go osa. Fengon cofnął się o krok, ściskając w dłoni opróżnioną fiołkę. Kim był teraz Młot? Pulsująca w żyłach krew sprawiała, że Fengonowi drżały wszystkie mięśnie.

Nie ośmielił się wracać po spiralnych schodach, ciasnym i krępującym ruchy korytarzem. Mógł spotkać na górze lokajów albo królową w otoczeniu dam i muzykantów. Skulony, pomknął wzdłuż zakrzywionego muru dziedzińca tam, gdzie - zgodnie z zapewnieniem zdradzieckiego Korambisa - znajdowało się ujście kamiennego szybu. Choć szyb wystawał nad fosę, można było się do niego dostać, wykorzystując występy i szpary w murze. Fengon, zacisnąwszy zęby i wstrzymując oddech, żeby nie czuć fetoru, usiadł okrakiem na szybie, po czym, rozsuwając nogi i ramiona, zaczął pisać się w górę. Nie mógł

skorzystać z pnączy, jak wtedy, gdy po raz pierwszy nieporadnie wspinał się do komnaty Gerty, ale od lat spływający po gładziach muru mocz wyżłobił murarską zaprawę, w której Fengon znalazł oparcie dla stóp. Kamienie oblepiał szlam, a w jego pozbawionych słońca szczelinach gnieździły się i rozmnażały wielkie białe stonogi, którym ludzie z zamku dostarczali codziennie pożywienia. Jasny otwór, ku któremu wiał się Fengon, okazał się bardzo wąski, nie węższy jednak od ostrołukowego okna w domku Korambisa. Przecisnął się jakoś wtedy przez tamto okno, więc przecisnął się i przez to, niczym tłusty dym, wznoszący się w kominie, albo poruszający się w przeciwnym do przyrodzonego kierunku kał. Przeklinał, jęczał i zaklinał Boga albo Diabła, by naturalna potrzeba nie sprowadziła teraz do ustępu żadnego ze stajennych ani wartowników. Gdyby ktoś pojawił się na górze, Fengon musiałby użyć sztyletu, bo jedno morderstwo wymaga czasem drugiego.

Nikt jednak nie zauważył wynurzającego się z latryny Fengona. Starszy niezdrową wilgoć z tuniki i pludrów, przebiegł chyłkiem wzdłuż muru dziedzińca i barbakanu z powrotem do stajni, gdzie wciąż jeszcze ziajał jego czarny arab. Stanął u boku konia, żeby stopić swój zapach z odorem jego potu, a później zawołał parobka, który miał być świadkiem, że Fengon dopiero przed chwilą przybył do zamku. Fiolkę i jadeitowy krzyż wyrzucił do fosy przy pierwszej nadarzającej się okazji. Choć później w chwilach bezczynności trapiły go wyrzuty sumienia i strach przed nierychliwą sprawiedliwością Boga, na razie nie odczuwał żadnych świętobliwych skrupułów, lecz ulgę po dokonaniu zbrodni. Wiara Fengona stała się już dawno chłodną koniecznością, a jego praktyki religijne przypominały akrobacje, które uprawiał szczęśliwie na najważniejszej z lin.

Zwłoki Horvendila znaleziono dopiero po upływie kolejnej godziny, gdy nieprzeczuwająca nic złego królowa wysłała na dół sługę, aby zbudził jej męża. Ciało Horvendila, jak gdyby zmrożone, z niewidzącymi, przekrwionymi, wytrzeszczonymi oczami, pokrywała srebrzysta skorupa, przypominająca trąd. Gładka skóra króla przybrała ohydny wygląd, a trucizna ścięła wszystkie płyny w jego ciele. Fengon i Korambis, obejmując w zamieszaniu komendę nad służbą zamkową, wysunęli przypuszczenie, że w nieskoszonej trawie sadu krył się zapewne jadowity wąż, który ukąsił sprawiedliwego i szlachetnego rycerza, pogrążonego we śnie. Możliwe też, że jakaś choroba krwi, od dawna tocząca niewidocznie króla, ujawniła się gwałtownie i nagle - wszak ostatnimi czasy Horvendil bywał często ponury i zamyślony. Ale tak czy inaczej, choć doszło do nieszczęścia, królestwem, którego cudzoziemscy wrogowie podnoszą właśnie głowy, musi zarządzać ktoś, kto podtrzymałby na duchu zrozpaczoną królową. Kto zaś mógłby spełnić to zadanie lepiej

aniżeli brat zmarłego władcy, którego jedyny syn, książę, od przeszło dziesięciu lat ślęczy w murach Wittenbergi nad jałowymi studiami?

Część trzecia

Król był wzburzony.

- Nakazuję mu powrócić do Danii! - oświadczył Klaudiusz Gertrudzie. - Jego zuchwałe, dobrowolne wygnanie to drwina z królewskiego dworu, która podkopuje nasze młode rządy. Hamlet pozostaje za granicą właśnie dlatego, żeby nam dokuczyć, choć wskazaliśmy go jako naszego następcę, obejmując władzę częściowo z konieczności, wskutek przedłużającej się nieobecności Hamleta w Danii, częściowo zaś pod wpływem moich towarzyszy z radu, których decyzję następnie zatwierdziły thingi, rychło zwołane w Viborgu... Mimo to jednak Hamlet dąsa się i bawi wciąż na obczyźnie, kiedy zaś raczy się tu łaskawie pojawić, zachowuje się kapryśnie i narowicie, można by rzec, nieomal obłąkańczo. Na pogrzeb ojca przybył z opóźnieniem, wyjechał zaś w takim pośpiechu, gdy tylko czcigodne szczątki zmarłego króla powierzono ziemi, że jego przyjaciel, Horacy... a to wspaniały młodzieniec, poprosiłem go, aby zabawił u nas, jak długo zechce, i aby służył koronie radą, gdy uzna to za stosowne... otóż nawet on, Horacy, nie miał sposobności, żeby powitać księcia! Hamlet zlekceważył najlepszego przyjaciela, a poddani nie zauważyli choćby ulotnej zjawy królewskiego syna, bo Hamlet zabawia się w ducha, w byt utkany z pogłosek, aby mi dokuczyć, lud, bowiem zawsze był mu przychylny. Właśnie dlatego powiadam, że nieobecność księcia w Elsynorze ma na celu odebrać naszej władzy wiarygodność!

Gertruda nie przywykła jeszcze wysłuchiwać tak długich i pompatycznych tyrad kochanka. Nawet, gdy byli sami, król wyrażał się teraz w taki sposób, jak gdyby przebywali pośród ludzi - dworzan, posłów albo innych osób, które władza królewska traktuje niczym sprzęty domowe. Minęły dwa tygodnie, odkąd małżonek królowej oddał ducha w sędzie, bez pomocy i bez rozgrzeszenia, jak bezimienny nędzarz, żyjący z dnia na dzień na jakiejś bałtyckiej plaży, albo niby bezduszny łachman małego leśnego stworzenia, rozerwanego na kawałki w szponach skrzydlatego drapieznika. W oczach Gertrudy Fengon przez ten krótki czas spotęźniał i stał się bardziej majestatyczny niż dawniej. Na koronacji przybrał imię Klaudiusza, Korambis zaś, podążając za swoim panem w krąg cesarskiej godności języka łacińskiego, nazwał się Poloniuszem.

- Wydaje mi się, że Hamlet nie pragnie ukrzywdzić ani Danii, ani ciebie - zaczęła Gertruda, bez większego przekonania broniąc syna.

- Dania i ja, moja droga, to teraz pojęcia tożsame!

- Naturalnie... Uważam, że to wspaniale! Lecz co do małego Hamleta, to na dworze zaszło ostatnio mnóstwo nieoczekiwanych zmian, on zaś szczerze uwielbiał swego ojca, chociaż nie byli do siebie zbyt podobni, ani subtelną charakteru, ani wykształceniem.

Chłopcu potrzeba czasu, a w Wittenberdze czuje się swobodnie, ma tam, bowiem przyjaciół, jego nauczyciele zaś...

-...głoszą wywrotowe doktryny, nauczają o humanizmie, lichwie czy wartości rynkowej i twierdzą, że monarchia jest czymś mniej niż czystym darem Boga... Ten chłopiec, jak o nim mówisz, wkroczył w trzydziesty rok życia, pora, więc, aby powrócił do domu i do rzeczywistości. Czy ty uważasz, że on naprawdę bawi w Wittenberdze? - ciągnął dalej tyrańskim, oskarżycielskim tonem Klaudiusz, wywołując w myślach Gertrudy smutne wspomnienia swojego poprzednika na królewskim tronie. - Nie mamy najmniejszego pojęcia, czy Hamlet istotnie przebywa właśnie tam. Dla księcia „Wittenberga” to po prostu słowo, oznaczające tyle, co „gdzie indziej”. A Hamlet woli być wszędzie, byle nie w Elsynorze!

- Hamlet nie ciebie unika. Hamlet unika mnie - wypaliła Gertruda.

- Ciebie? Własnej matki? A to dlaczego?

- Darzy mnie nienawiścią, ponieważ życzyłam śmierci jego ojcu.

- Czy naprawdę pragnęłaś śmierci męża? - Król zamrugał powiekami.

Głos Gertrudy stał się teraz ochrypliwy. Od dwóch tygodni w jej oczach znów gościły łzy. Poczowała ich ciepło raz jeszcze, jako że wzbierał w niej płacz.

- Moja rozpacz nie wystarczyła, żeby go udobruchać. Nie chciałam umierać wraz z mężem... Nie chciałam rzucić się na pogrzebowy stos ojca Hamleta, jeśli tak można to ująć, choć oczywiście nikt nie wznosi już dzisiaj stosów pogrzebowych, były to, bowiem barbarzyńskie obyczaje... Ach, te nieszczęsne, odurzone niewolnice... Nie umiałam jednak uwolnić się od myśli, że Hamlet, to znaczy stary Hamlet, nie będzie mógł nas teraz zdemaskować. Przedtem bałam się, że to nastąpi, choć udawałam beztroskę, nie chciałam, bowiem przysparzać ci frasunków. Potem odczułam ulgę i nienawidzę się za to, wyznając ci tę prawdę. Lecz nawet po śmierci Hamlet potrafi wzbudzić we mnie poczucie winy. Oskarża mnie, że nie byłam równie szlachetna, jak on, i że nie dbałam wraz z nim o sprawy publiczne.

- Tak...No cóż. Ja musiałem pędzić z tym poczuciem całe życie, ty zaś zaledwie małżeństwo.

- Podobny dar odziedziczył po swoim ojcu młody Hamlet. To, dlatego księżę potrafi sprawić, że czuję się splugawiona, zawstydzona i niegodna. Muszę ci coś wyznać. Nie, to zbyt straszne, bym mogła to powiedzieć.- Gertruda odczekała chwilę, sądząc, że Klaudiusz będzie próbował ją ośmielić, a potem postanowiła kontynuować mimo braku zachęty z jego strony. - No dobrze, powiem ci... Rada jestem, że mojego syna nie ma w Elsynorze. Dąsałby się i popadłby w przygnębienie. Próbowaliby sprawić, żebym poczuła się jak płytka, głupia i nikczemna kobieta.

- Skąd jednak Hamlet... miałby cokolwiek wiedzieć?

Wszyscy mężczyźni są tacy sami, pomyślała Gertruda. Pragnę, żeby kobieta robiła dla nich wszystko, ale z drugiej strony nie umieją powiedzieć, czego sobie życzą. Klaudiusz chce, by od tej chwili nasze sprawy szły gładko, ponieważ został królem, odcina się, więc od przeszłości i historii. Ale historia nie umiera tak po prostu... i żyje w nas, albowiem to ona zaprowadziła nas tam, gdzie jesteśmy.

- Dzieci po prostu wiedzą takie rzeczy - powiedziała. - Rodzice są wszystkim, czego najpierw uczą się latorośle, które poznają ich w końcu doskonale. Hamlet przeczuwa wszystko. Zawiodłam go okropnie. Chciał, żebym umarła i stała się idealnym, kamiennym posągiem wdowy, trzymającym po wsze czasy straż u grobu jego ojca, w nim, bowiem zamknięto także dzieciństwo księcia. Uwielbienie dla ojca przeradza się u niego w samouwielbienie. Obaj byli jedyni w swoim rodzaju... Za dobrzy, jak na ten świat. W naszą noc poślubną Hamlet nie spojrział nawet na moją nagość. Był zbyt pijany. A ty patrzyłeś na mnie, niech ci Bóg błogosławi.

Wilcze zęby Klaudiusza odsłoniły się w uśmiechu, w ciemnym runie zarostu, niczym mgnienie bieli, przypominające biel blizny w jego włosach.

- Żaden mężczyzna na świecie nie mógłby się oprzeć, żeby na ciebie nie spojrzeć, moja kochana. Byłaś i jesteś delikatna i miękka na całym ciele.

- Jestem grubą, rozpieszczoną niegdysiejszą księżniczką, liczącą sobie już czterdzieści osiem wiosen, lecz kiedy zwiesz mnie delikatną, przyjmuję to określenie jako trafne, o ile jest częścią gry. Hamlet... stary Hamlet... nie umiał jej prowadzić.

- Grał tylko po to, by wygrać.

Gertruda powstrzymała się od wygłoszenia uwagi, że także i Klaudiusz, otoczony nowo nabytym majestatem, wykazuje ostatnio pęd do zwycięstwa. Spędziwszy jednak całe dotychczasowe życie u boku kolejnych monarchów, wiedziała dobrze, że przegrana oznacza zwykle dla króla utratę życia. Wysoki urząd krył w sobie ryzyko zawrotnego upadku.

- Właściwie mam dla niego wiele sympatii - powiedział Klaudiusz. - Znaczą, dla młodego Hamleta. Sądzę, że mogę podarować mu coś, czego nie dostał nigdy od swojego ojca... I on, i ja byliśmy ofiarami tego tępego zabijaki. Jesteśmy do siebie podobni. Subtelność księcia, o której wspominałaś, ma wiele wspólnego z moją. Nasze dusze posiadają swoje ciemne strony. Ponadto obaj odznaczamy się żyłką do podróży, dzięki którym można zostawić daleko za sobą ten mglisty, prowincjonalny kraj, gdzie owce można wziąć za skały, a skały za owce. Hamlet chce czegoś więcej. Chce wiedzieć i znać więcej.

- Zdawało mi się przecież, że przed chwilą mówiłeś, jakoby Hamlet wcale nie jeździł do Wittenbergi.

- Dokąś jednak wyjeżdża. I chłonie tam jakąś wiedzę, która sprawia, że świat napawa go niesmakiem i niezadowoleniem. Powiadam ci, że czuję to samo, co on. Obaj jesteśmy ofiarami umyślowego ograniczenia Duńczyków. Nasz pochodzący od wikingów głód krwi wtłoczę no siłą w formę chrześcijaństwa, którego nikt tutaj nigdy nie pojmował, począwszy od czasów Haralda Sinozębego. Przyjęcie chrześcijańskiej wiary oznaczało dla niego jedynie sposób zapobieżenia niemieckiemu najazdowi na kraj. Chrześcijaństwo przybiera w Danii ponurą postać, jest to, bowiem wiara śródziemnomorska, religia winorośli. Tak czy inaczej jestem pewien, że potrafię sprawić, by książę mnie pokochał. Wszak z własnej woli wyznaczyłem go moim następcą na tronie.

- Hamlet może żywić do ciebie żal, że on pozostał księciem, a tron po jego ojcu zająłeś ty.

- Jak mógłby mieć o to żal? Bawił wciąż poza Danią. Nie okazywał najmniejszego zainteresowania opanowaniem sztuki rządzenia i wiedzy o tym, co może zagrażać monarsze, co zaś umacnia jego władzę - Klaudiusz ściszył głos i przybrał przygnębiony wyraz twarzy. - Są tacy, którzy szepczą, że Hamlet jest obłąkany.

Gertrudę przebiegł dreszcz. - Książę pozostaje przy zdrowych zmysłach. I jest bardzo bystry. Ale jego nieobecność wcale mnie nie martwi. Czuję, że Hamlet sprowadzi na nas nieszczęście, jeśli po wróci do domu.

- A jednak musi wrócić, albowiem w przeciwnym wypadku za murami Elsynoru powstaną buntownicy. Wiem, jak ściągnąć księcia do Danii: zostań moją żoną. Pierwszy odruch nakazał Gertrudzie powitać te słowa z radością, ale ostatnie niespokojne dni kładły się mrocznym cieniem na ich powadze i niby ołowiane ciężarki ściągały serce królowej z powrotem na ziemię.

- Mój mąż, a twój brat, zmarł zaledwie przed dwoma tygodniami.

- Więc po następnych dwóch tygodniach od jego śmierci minie cały miesiąc... A to dość zwłoki dla takich starych wróbli, jak my. Gertrudo, nie odmawiaj mi naturalnego finału mojej długiej i niebezpiecznej miłości. W obecnej sytuacji wzbudzamy zbyt dużą ciekawość, żyjąc w komnatach Elsynoru z dala od siebie. Musimy spotykać się ukradkiem i przemykać chyłkiem, jak gdyby duch pogrzebanego męża nadal strzegł zazdrośnie twojej cnoty. Dlatego nasze zaślubiny uciszą zjadliwe plotki i położą solidne fundamenty pod elsynorski dwór, który zyska w ten sposób i pana, i panią. - „A ponadto ślub z tobą umocni mnie na tronie” - ale tego już Klaudiusz nie powiedział.

- Wątpię, czy to uspokoi Hamleta - zauważyła królowa. Uporczywa dwuznaczność tego imienia, określającego zarazem ojca i syna, króla, jak i księcia, stawała jej kością w gardle, zbyt wielką, by mogła ją przełknąć.

- Jestem całkowicie odmiennego zdania - odpowie dział Klaudiusz. Jak chyba wszyscy władcy, udawał pewność siebie i podejmował decyzje w zaślepieniu. - Wszak małżeństwo przywróci jego matce najwyższą pozycję w państwie, ojca zastąpi zaś stryjem. Dając mu przykład w ten sposób, umocnimy i ustatecznimy jego afekt dla Ofelii, czego pragniecie wszak ty i Poloniusz. Ty w imię zdrowia ciała i umysłu syna, Poloniusz natomiast, dlatego, aby wprowadzić córkę w kręgi najwyższego stanu społecznego. Nie pożałuję starcowi tej unieśmiertelniającej go łaski, bo dobrze przysłużył się nam i naszym amorom.

Klaudiusz wyraził się o ich „amorach” tak bezceremonialnie, że dotknął czulego punktu w duszy Gertrudy. Choć była na tyle śmiała i bezczelna, by oddać się kochankowi, pozostając w małżeńskim stadle z Hamletem, to wtedy sumienie królowej z lekceważeniem przyglądało się okrutnej słabości jej postępowania, traktując je jako realizację wyśnionego romansu, który przydał cesarz pełnym otępienia dniom małżeńskiej nudy, lecz teraz, po śmierci męża, tamten niewczesny wybryk stał się otwartą raną w duszy Gertrudy. Uważała, że w jakimś sensie to ona sprowokowała swoim upadkiem żmiję, która ukąsiła jej śpiącego w sadzie, zdradzanego męża. Niemal w tym samym czasie przepadł gdzieś Sandro i Gertruda nieraz zastanawiała się, dlaczego. Kiedy zapytała o to i Klaudiusza, odpowiedział, że wraz z nadejściem zimy chłopak zatęsknił za domem, pozwolił mu zatem wyjechać na południe, wynagrodziwszy go szczerze. Ale było coś dziwnego w tym, że wszystko stało się tak niespodziewanie i bez jej wiedzy. Dawny Klaudiusz przemawiał do niej z beztróską swobodą człowieka, który nie miał nic do ukrycia, ale od niedawna w jego głosie pojawił się bardziej oficjalny ton, brzemienisty ostrożnością. Lecz mimo wszystko, tak, lepiej zamotać i ukryć całą tę aferę - samotny dom nad jeziorem, skromną armię, zaciągniętą do pomocy w zdradzie, szalone ukontentowanie królowej, płynące ze świadomości, że należy do dwóch mężczyzn jednocześnie, jak również pogański bezwstyd, który objawiała, związana wciąż nienaruszalną i nierozzerwalną przysięgą królewskiego małżeństwa. Gertruda oblała się, więc rumieńcem, jak gdyby raz jeszcze przywdziała dziewicze wianki, i przystała na propozycję Klaudiusza.

Zawarli tę polityczną i korzystną dla siebie umowę, Klaudiusz klasnął w dłonie. Szybko ustalili datę ślubu. Rozstawnymi końmi wyprawili posłańców do Wittenbergi, do Laertesza, bawiącego w Paryżu, a także do stolic życzliwych Danii potęg.

Choć Gertrudę czekała tylko cicha uroczystość, było to bowiem małżeństwo przystrojone w żałobę, jego oczekiwanie rozjaśniało królowej topniejące listopadowe dni. Za drugim razem zawsze pragniemy osiągnąć doskonałość tam, gdzie pierwotnie jej uchybiliśmy. Gości weselnych zjechało znacznie mniej niż dawniej, gdy zacny król Roderyk zgromadził na dworze kwiat duńskich wielmożów wraz z prowincjonalnymi delegatami z najdalszych krańców duńskiej władzy w Szwecji i okolicach Szlezewiku. W modę weszły tymczasem różnokolorowe berety, kaftany w szachownicowe wzory i dwubarwne pantalony, w które stroiły się nawet osoby wiekowe już i stateczne. Ciężkie naszyjniki oraz łańcuchy z kutego złota nosili ciągle jeszcze tylko burmistrzowie i przedstawiciele władzy, a dzwoneczki, którymi siedemnastoletnia Gertruda opasała sobie przed laty biodra, uznano by dziś za dziwaczny przeżytek. Ponadto królowa albo wypłała mniej wina i miodu niż przy tamtej, wirującej, przerażającej i schlebającej Gertrudzie sposobności weselnej, albo zaczęła z wiekiem lepiej tolerować alkohol. W rozmowach czeladzi, którym emocje królowej nie pozwoliły przysłuchiwać się za pierwszym razem, zaskoczyła ją wzruszająca staroświeckość języka, jakiego używali słudzy, rozprawiając o małżeńskiej przysiędze i o tym, czego żaden człowiek nie może rozwiązać - przy czym słowo „rozwiązać” nadawali znaczenie, niespotykane w żadnym innym kontekście. „Dopóki śmierć nas nie rozdzieli”. Gertruda zastanawiała się, jak prędko to nastąpi. I jak w ogóle mogłoby do tego dojść? A jednak niedawno, niby grom z jasnego nieba, ciepłego popołudnia w Dniu Wszystkich Świętych, za sprawą węża ukrytego w nasłonecznionej trawie sadu, z życia królowej odszedł na zawsze człowiek.

Gertruda i Klaudiusz deliberowali nad muzyką i tańcami. Może nie należało śpiewać ani tańczyć na weselu, skoro od śmierci króla Hamleta minął zaledwie miesiąc? Życie jednak musi toczyć się dalej, a część gości przybyła aż z Holsztynu, Blekingu i Rugii. Będzie więc tylko wyciszona muzyka, jak uzgodnili nowożeńcy - lutnia, trzech flecistów i tamburyn, podający rytm - muzyka, która niby wypłowiwały arras pozostanie tłem popołudniowej uczty, jeśli zaś później goście puszcza się w tany, nikt nie będzie wzbraniał im zabawy. Chcąc stworzyć atmosferę stosowną do wstrzemięźliwej uroczystości, małżonkowie poprowadzili kilka taktów ductii, tańca, jak pomyślała Gertruda, przypominającego powolnymi, płynnymi krokami taniec żałobny. Nie widziała wyraźnie otoczenia po przez mgiełkę dymu świec i ognia buzującego w dwóch wielkich, beczkowate sklepionych kominkach wielkiej sali. Przyszło jej do głowy, że po raz drugi wychodzi za mąż zimą, tego roku nie było jednak zamieci, śnieg sypał zaś bardzo skąpo, choć nastał początek grudnia. Widać i niebo ogarnęła powściągliwość. Sunący w tańcu u boku Gertrudy Klaudiusz, który ujmował najpierw dłoń

królowej, a potem puszczał ją i zwracał się w przeciwną stronę, by chwycić jej drugą rękę, wydał się swej nowo poślubionej żonie obcy już z chwilą, w której został jej mężem. Dotyk króla był nieco usztywniony, jak gdyby nabrzmiały nowo przyjętymi obowiązkami. W czasach, gdy spotykali się jeszcze w lesie Gurre, narażając się na niebezpieczeństwo, Gertruda uwielbiała obserwować, jak Klaudiusz odpręża się do granic rozwiązłości i jak się zapamiętuje, chcąc osiągnąć cel, którym było zdobycie królowej na własność bez względu na konsekwencje. Teraz ich życie wkraczało w pokłosie następstw, gdy wirowali w tańcu w rytm tamburynu, próbując ocalić samych siebie po zgonie cudzołożnych, upojnych kochanków, pędzących dawniej życie poza murami zamku. Uwodziciel Gertrudy stał się człowiekiem publicznym, a jego niegdyś odległa ukochana - codzienną powinnością.

Muzyka urwała się, a wtedy Klaudiusz puścił dłoń królowej i pozostawił ją samą, aby powitać gości, najwyższych rangą poddanych jego władzy. Gertruda przyglądała mu się uważnie - monarcha postawił futrzany kołnierz szaty, której skraj lśnił niczym oszroniony, a złoty krzyż na jego piersi odbijał czerwony blask płomieni. Klaudiusz podszedł do Hamleta i Laertes, pogrążonych w rozmowie, albowiem łączyła ich znajomość świata leżącego na południe od Danii. Laertes pysznił się ciemną, hiszpańską bródką, kształtem przypominającą siwą brodę jego ojca, Hamlet natomiast porósł rudym zarostem. Broda księcia była delikatna i nie tak kędzierzawa, jak broda jego rodziciela, a jej rudy kolor odznaczał się odcieniem bladomiedzianych, puszystych włosów na głowie królowej i kępek owłosienia pokrywających inne miejsca jej ciała. Przezroczyta bródka księcia budziła w Gertrudzie wstręt, sądziła bowiem, że zarost syna reprezentuje intymny szczegół jej nagości, drażniący duszę Hamleta, z którym postanowił obnosić się publicznie. Z pozycji swoich dojrzałych trzydziestu lat rzucał wyzwanie królowej, by skorzystała z rodzicielskich praw do ingerencji w jego wygląd. Nie mogła się na to zdobyć, tak samo jak nie potrafiła świadomie kontrolować oddania w miłości i małżeństwie. Pomiedzy nimi, między matką i synem, legło poczucie porażki, które Gertruda żywiła na równi z przekonaniem, że nie była dostatecznie kochana przez ojca Hamleta - stanowiło to przezroczystą, nienazwaną przeszkodę, przez którą księżę przyglądał się jej przeciągle, jak przez błonę czepka, w którym się urodził. Sprawił wielki ból matce, przychodząc na świat. Nikt nigdy nie sprawił jej takiego bólu, jak wtedy Hamlet, gdy Dania zwyciężała w bitwie na wyspie Thy.

Po sposobie, w jaki król krzywił swoje piękne, rumiane, niemal kobiece wargi, poznała, że Klaudiusz rozmawia z Laertesem po francusku, z Hamletem zaś po niemiecku, chcąc jawić się między nimi jako bywały w wielkim świecie mąż, choć jego znajomość cudzoziemskich języków była już nieco kulawa, więc nie tak biegła i świeża, jak w przypadku

rozmówców monarchy. Gertruda obawiała się, że Hamlet i Laertes będą kpić z Klaudiusza, którego kosmopolityzm trącił nieco myszką, lecz obaj młodzieńcy, jak mogła sądzić z daleka, odpowiadali mu dwornie, Laertes z niejakim ożywieniem, Hamlet zaś z miną, którą maskowała jego niepokojąca broda, tak rzadka, że prześwitywała przez nią bladość książęcych policzków. Zadrżała ze strachu o małżonka, który niebezpiecznie zbliżył się do jej syna, czuła, bowiem w lędźwiach, że Hamlet jest mu wrogiem. Nadzieje Klaudiusza, iż zdoła zjednać sobie chłopaka, traktowała jako bałamutne szaleństwo, choć z drugiej strony zaloty Klaudiusza do niej i jego niemożliwa, romantyczna miłość, zakończyły się triumfalną małżeńską konkluzją. Po chwili, ku uldze królowej, Klaudiusz ruszył dalej, musiał, bowiem powitać wszystkich gości - on był tu gwiazdą i ośrodkiem zainteresowania, każdego powinien, więc obdarzyć równomiernie swoją obecnością. Gertruda dobrze wiedziała, jak to jest, od urodzenia wszakże sama była gwiazdą. Jako jedyne dziecko króla Roderyka stała się obiektem zazdrosnych i pożądliwych spojrzeń jeszcze w kołysce.

Poloniusz, promieniejący w nowym, rozłożystym kaftanie, podszedł do niej, a spostrzegłszy, komu przygląda się Gertruda, powiedział:

- Nasz król zachowuje się z godnością, jak człowiek od dawna nawykły do powagi urzędu.

- Muszę przyznać, że nie wiedziałam, iż tak skwapliwie wejdzie w nową rolę. Sądziłam, że to włóczęga... Że jest zaledwie wysoko urodzonym wędrowcem.

- Niektórzy ludzie, wasza wysokość, włóczą się po świecie, lecz powracają w domowe pielesze, nabrawszy sił, aby osiągnąć od dawna wytyczone cele.

Gertruda nie chciała przypuszczać, że Klaudiusz, tak jak jego brat, pragnął dla siebie tronu. Woląca uważać, że korona przypadła mu wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Wprawdzie jej kochanek skupił się wyłącznie na objęciu władzy i wykazał daleko idącą inicjatywę w tej kwestii, szukając aprobaty radu i poparcia thingów, a nadto, pchnąwszy niemieszkając pismo do biskupów Roskilde, Lund i Ribe, zaskarbił sobie ich wierność, Gertruda jednak przyjmowała jego postępowanie za dobrą monetę, tłumacząc sobie, że Klaudiusz zdławił w ten sposób chaos w kraju stojącym na krawędzi katastrofy. Przez cały ten oszałamiający czas od chwili, kiedy znaleziono Hamleta martwego, a w dodatku odrażająco odmienionego, przypominał, bowiem spoczywający od dawna w ziemi posąg, rozpadający się lśniącymi płatom, Gertruda kierowała swą uwagę gdzie indziej, do wewnątrz, ku odwiecznemu nakazowi żałoby, zmuszającemu ją, by przyjęła brzemię rozpacz. Po raz pierwszy w życiu, odkąd zaczęły się jej miesięczne krwawienia, przeszła metamorfozę wskutek niedyspozycji - nie podnosiła się z łoża boleści, jak gdyby jej właściwe miejsce było

u boku Hamleta w jego glinianym grobie, na wstrętym cmentarzysku pod murami zamku, gdzie mgiełka czepiała się zmierzwionej ziemi, a łopaty gadatliwych grabarzy nadgryzały ciągle tamtejszy podziemny świat szkieletów. Czuła się osamotniona - odwiedzała ją jedynie Herda (która sama miała powody do rozpacz, albowiem Sandro wyjechał, jej zaś nabrzmał brzuch), szepczące po kątach damy dworu o skupionych obliczach, ściągniętych poruszeniem, wywołanym zaszła tak niedawno okropnością, i nadworny medyk, dźwigający obrzękłą sakwę oraz kubetek, w którym wiły się pijawki. Królowa musiała więc sama kurować się z objawów choroby ducha, rozmyślając, dlaczego jej rozpacz okazała się płytka i zabarwiona ulgą, jak gdyby król był ciężarem, który wreszcie stoczył się z jej ciała. Nigdy nie widział jej takiej, jaką naprawdę była, przeciwnie, wtlaczał ją w ramy pośpiesznych, powierzchownych ocen, ją, swoją królową. Przyszło Gertrudzie na myśl, że prawa jej syna do tronu zgłosi w jego imieniu jakaś królowa in spe, Hamlet jednak przyjechał tylko na pogrzeb ojca i natychmiast znów zniknął. Matczyny instynkt podpowiadał Gertrudzie, że księżę zdecydowanie odrzuciłby tron Danii, nakładający na duszę różne błahe, lecz i krwawe należności. Także Poloniusz, który poczuł się tak, jak gdyby przywrócono mu godność szambelana, nie występował w interesie księcia, tliła się, bowiem między nimi niechęć - przekazywana z ojca na syna wzajemna antypatia. Gertruda zapadła w chorobliwą drzemkę, przysłuchując się skargom usługujących jej kobiet, i wydało jej się to wszystko zbyt poplątane, niby przęda w koszyku, w którym uciał sobie drzemkę młody kociak. Gdy urodziwa wdowa powróciła na jawę, okazało się, że najważniejsze decyzje zapadły już w innej części Elnorru, a Klaudiusz poprosił ją o rękę. Właściwie nie mogła mu odmówić - najpierw adorował ją z daleka, a kiedy zbliżył się, aby wypełnić ciałem jej wyobrażenie o miłości, okazał się interesujący i wrażliwy na realność jej osoby. Łagodnie i stopniowo wybije królowi z głowy wygórowane oczekiwania i dzień po dniu będzie pielęgnować tę ukochaną, małą księżniczkę, którą w niej ożywił. Być może nie należało wychodzić za niego tak szybko, cóż jednak miała począć? Pograżone w rozpacz królowe przywdziewały czasem zakonne habity, ale Gertrudzie wydawało się, że zakonnice to kobiety nieszczęśliwe - poślubione zajętemu swoimi sprawami Bogu, a równie ziemiste i złośliwe, jak zaniedbywane przez mężów świeckie małżonki. Polubiła miękka, jedwabista brodę Klaudiusza. Lubiała zapach jego nagiej piersi. I podobała jej się jego niespokojna, zuchwała energia obiężyświata, spętana teraz cugłami wymagań władzy królewskiej.

Jej druga noc poślubna różniła się wielce od pierwszej. Wtedy oblubieniec królowej zapadł w sen, teraz natomiast nie potrafił spocząć, choć uroczystość, stosunkowo spokojna, zamarała w zamieszaniu i gwarze uprzejmych pożegnań, a dzwony na północ powróciły echem

zaledwie jednego, samotnego uderzenia, potem dopiero dwoma, jak rozproszony tłum, zbierający się znów w tym samym miejscu w poszukiwaniu zagubionej rękawiczki lub mieszka. Klaudiusz kochał się z Gertrudą triumfalnie, a orzechowy aromat jego ciała łączył się z wonią przywodzącą jej na myśl słonawy zapach, unoszący się nad brzegiem szarozielonej cieśniny Sund. Fale wrażliwości, wzbierające w podbrzuszu królowej, uniosły ją tak wysoko, że mimo woli z jej gardła wydarł się głos przypominający krzyk zagubionego ptaka. Mimo że spełnienie ślubnego pożądanego przyniosło im wiele rozkoszy, Klaudiusz nie mógł zasnąć, a w rozgrzanym, osłoniętym kotarami łożu, Gertruda również nie mogła zapaść w sen. Czując wciąż napięcie w ścięgnach i mięśniach kochanka. Za każdym razem, kiedy jej myśli zaczynały rozplątać się w nonsensie bezładu, powstającego z kapryśnych obrazów rzeczywistości, nagły ruch męża, leżącego obok, ściągał ją z powrotem w przejrzystą noc.

- Spij, mój mężu - powiedziała cicho.

- Nie mogę przestać myśleć o dzisiejszym dniu. Stary Rosencrantz powiadał mi, że trzeba zmiażdżyć młodego Fortynbrasa i raz na zawsze zlikwidować zagrożenie norweskie. Ci czcigodni wielmoże wciąż żyją marzeniami, w których stają do bohaterskiej walki, miażdżą, palą i podejmują ostateczne rozwiązania. A jednocześnie tuczą się na swojej części zysków z handlu, jakie przynosi im powszechny pokój.

- To samo mawiał Hamlet. - Owładnięta sennością Gertruda odezwała się za szybko, wymawiając to zatrute imię - imię jej zdradzonego męża i imię brata zazdrosnego Klaudiusza.

- Poloniusz uważa, że jesteś wspaniałym królem - dodała pośpiesznie.

- Ma osobiste powody, by wierzyć i mieć nadzieję, że tak jest. Kupiłem sobie jego dobrą opinię.

Za co Poloniusz ją sprzedał? - zastanawiała się sen nie Gertruda.

- Powiedział mi... a właściwie dużej grupie osób, które go akurat otaczały... że przeniesiesz nas w czasy króla Kanuta. Nie tego świętego... Pierwszego króla Kanuta.

- Tego, któremu nie udało się powstrzymać pływów fal morskich. (Według legendy odnotowanej w „Kronikach” Holinsheda Kanut I Wielki - ok. 995 - 1035, król Danii i Anglii, rozkazał znieruchomieć falom morskim, by uświadomić schlebającym mu dworakom, że jego potęga posiada jednak granice.)

W głosie Klaudiusza kryta się mroczna, sardoniczna nuta, której brzmienie boleśnie targnęło Gertrudę. Bez względu na blask pochodni ślubnych poślubia się także mroczną stroną człowieka.

- Tego, który podbił Anglię i Norwegię.

- I który, jeśli dobrze pamiętam dzieje jego życia, pielgrzymował do Rzymu, aby odpokutować za swe liczne grzechy.

- Czy i ty zamierzasz tak uczynić? - spytała nieśmiało. Było jej tak przytulnie, że myśl o uciążliwej pielgrzymce zdawała się bardzo odległa. Leżąc w łożu z Klaudiuszem, przypominała sobie czasy dzieciństwa, kiedy mroźnymi nocami spoczywała w kołysce pud kłębowiskiem kłujących i łaskotliwych futer, którymi była dokładnie opatulona, tak, że jej ciało pławiło się w ciepłe, wykradane skórom martwych zwierząt. Marlgar, zakutana w zwieńczony kapturem płaszcz, na chwilę siadała zazwyczaj przy niej w milczeniu, a gwiazdy, widoczne przez pozbawione szyb okna, świeciły jasno, niczym czubki sopli błyszczących w porannym słońcu. Gertruda zastanawiała się, czy skoro ich związek został poczęty w grzechu, mąż ma ją za nieczystą. Obaj bracia dzielili tę ponurą skazę jutlandzkiej religijności, która nie pozwalała im widzieć świata takim, jakim jest, a jest wszak cudem, który codziennie dokonuje się na nowo.

- Na razie nie - odpowiedział Klaudiusz. - Nie, dopóki w Danii nie zapanuje idealny porządek. A wtedy zabiorę cię z sobą, byś mogła zobaczyć wreszcie święty Rzym i inne, skąpane w słońcu miasta po drugiej stronie Alp.

Odwrócił się do niej plecami, dając do zrozumienia, że ma już ochotę spać, teraz, kiedy ją na dobre rozbudził. Nie cierpiała takiego zachowania. Klaudiusz zamieniał ją w Marlgar, każąc królowej czuwać, kiedy on zasypiał.

- Zauważyłam, że rozmawiałeś z Hamletem.

- Zachowywał się całkiem sympatycznie. Rozbawiła go moja kulawa niemczyzna. Nie pojmuję, dlaczego się go boisz.

- Bo sądzę, że nie zdołasz oczarować księcia.

- Dlaczego nie, kochana?

- Hamlet jest nazbyt oczarowany sobą. Nie potrzebuje ani mnie, ani ciebie.

- Mówisz o swoim synu.

- Tak, jestem jego matką. I dlatego go znam. Jest zimny. I niepodobny do ciebie, Klaudiuszu. Ty jesteś ciepły, jak ja. Łakniesz aktywności. Chcesz żyć, chcesz chwycić każdy dzień. A dla mojego syna wszystko to tylko kpina i przedstawienie. Hamlet uważa się za jedynego człowieka w swoim świecie. Choć przyznałby może, że kiedy otaczają go inni, obdarzeni uczuciami ludzie, jego spektakl nieco się ożywia. Traktuje tak nawet i mnie, która kocha go jak każda matka, bo, choć poród przysparza kobietom bólu, matka nie może nie pokochać dziecka już w chwili, gdy akuszerka podaje jej niemowlę, rozbrzmiewające płaczem i jękiem jakby na wspomnienie wspólnej męki rodzicielki i dziecięcia... Więc nawet

na mnie Hamlet spogląda ze wzgardą jako na żywe świadectwo swego pochodzenia i dowód, że jego ojciec padł ofiarą żądz.

Głos Klaudiusza zabrzmiał teraz ostro:

- A jednak, według mojej chłodnej oceny, Hamlet to młodzieniec inteligentny, dużo wie, ma wiele twarzy, jest wyjątkowo czujny na wszystko, co się dokoła niego dzieje, posiada doskonale wykształcenie we wszystkich sztukach, jakie powinien znać szlachcic, i jest przystojny, z czym z pewnością zgodziłaby się niejedna kobieta, choć jego nowa broda zapewne wywiera nieprzyjemne wrażenie, albowiem skrywa więcej, niż odsłania.

- Wydaje mi się, że księżę pragnie poddać się uczuciom i niby aktor wystąpić na jakiejś scenie, nieznajdującej się bynajmniej tylko w jego wyobraźni, lecz nie potrafi jeszcze tego uczynić - powiedziała nieco na oślep Gertruda. - W Wittenberdze, gdzie większość mieszkańców stanowią krotochwilni zacy, błaznujący w przedśionku kwestii prawdziwie istotnych, ułomność Hamleta... czy może wręcz jego szaleństwo, szaleństwo odosobnienia... staje się niewidoczne. Hamlet na zawsze powinien pozostać żakiem. Tu, bowiem, na naszym dworze, w kręgu spraw wielkiej wagi, świat rzuca mu wyzwanie, on zaś odziewa je tylko w słowa i drwinę. Moja nadzieja w tym, że miłość obdarzy go należną powagą. Nadobna Ofelia nigdy nie będzie piękniejsza, jest taka świeżutka i bojaźliwie delikatna. Twój brat był zdania, że Ofelia to zbyt wątła dziewczyna, by mogła przysłużyć się jego królewskiemu rodowi, ale odkąd przekształca się w kobietę, Hamlet darzy ją coraz znacznie większym zainteresowaniem.

- Doskonale - powiedział Klaudiusz, nasycony już mądrością małżonki i gotów porzucić myśli o wspaniałym, minionym dniu weselnym. - Z twojego rozumowania wynika jednakże jeszcze jedna przyczyna, dla której Hamlet nie powinien uciec do Wittenbergi. Prawdziwy związek należy wciąż podsycać, o czym oboje doskonale wiemy.

Gertruda przerwała ciszę, której zachowanie nakazywało jej znaczące milczenie króla:

- Panie?

- Tak, pani?

Późno już. A król powinien powitać słońce jak równego sobie.

- Czy czujesz się winny? - Zauważyła, że ciało Klaudiusza sztywnieje i mocniej bije mu serce.

- Winny, czego?

- Jak to, czego?

Winny naszego... naszego związku, który rozpoczął się, kiedy Hamlet... był jeszcze moim mężem.

Klaudiusz parsknął i mocniej otoczył ramionami swój złoty samorodek, kobietę, w której wzbierało zmęczenie, a wówczas ich łoże, usłane gęsim pierzem, zakotłosało się wyraźnie.

- Stare nordyckie prawo powiada, że to, czego człowiek nie potrafi utrzymać, nie należy do niego. Ja zaś odebrałem Hamletowi coś, z czego posiadania wcale nie zdawał sobie sprawy... Byłaś jak ziemia, której nigdy nie zorał. Dla nieokiełznanej miłości pozostałaś dziewicą.

Choć Gertruda sądziła, że nie jest to cała prawda, stwierdzenie Klaudiusza zawierało jej dość, by mogła się na nim wesprzeć i odpocząć, zapadli, więc razem w sen przy akompaniamencie swych równomiernych oddechów.

Kilka tygodni po ślubie królowa wezwała Ofelię, żeby złożyła jej wizytę w garderobie, w której mieściła się dawniej komnata króla Roderyka. Córka Poloniusza i jego opłakiwanej długo Magrit stała się w osiemnastej wiosnie życia jaśniejącą piękną, nieśmiałą, acz gibką, o bladej skórze bez skazy, giętkim jak wierzba stanie, dumnej piersi i szerokich biodrach, świadczących o tym, że dziewczeczka przedzierzgnęła się w prawdziwe naczynie życia. Miała na sobie błękitną mantylkę, naszyjnik ze złotej plecionki i lejącą się, lekką jak mgiełka suknię, niemal nieprzyzwoitą w swojej przejrzystości. Stapała, podając ku przodowi biust, uniesiony jakby ostrym, gwałtownym westchnieniem, co nadawało jej wygląd, w którym wyczekiwanie mieszało się wzruszająco z ostrożnością i niemocą. Gertruda przyglądała się Ofelii, pragnąc ujrzeć w córce Poloniusza samą siebie w młodości. Spostrzegła, że policzkom dziewczyny brak różowego odcienia, a jej włosy, zaczesane do tyłu sponad lśniących brwi, upięte idealnie równo, wyżej niż kiedyś włosy Gertrudy, są stosunkowo rzadkie i mało puszyste. Nie usiłowały wzbić się nad jej głowę, lecz potulnie spoczywały na płask, przytrzymywane splotem złotego sznura. Oglądana z profilu twarz Ofelii była wyrazista niczym świeżo wybita moneta, ale widziana en face wykazywała pewną nieokreśloność, wyrażającą się w skłonności do kierowania spojrzenia dużych, błękitnych oczu na boki. Lecz, jak nie bez zazdrości skonstatowała Gertruda, kandydatka na żonę Hamleta miała idealnie równe zęby, przypominające dwa szeregi starannie dobranych pereł, które lekko pochylały się w głąb ust, a nieco opuszczone, bladoróżowe dziąsła nadawały im niemal dziecinną krągłość. Chyba dlatego w jasnym uśmiechu Ofelii kryło się jakby coś bojaźliwego, choć zarazem bez troski rozpustnego.

Gertruda gestem wskazała jej to samo niewygodne, trójnogie krzesło, na którym zasiadał Poloniusz, kiedy wzywała go do siebie na wspólne narady.

- Kochanie - zaczęła - jakże się miewasz? Nas, kobiet, jest w Elsynorze tak niewiele, że jesteśmy sobie winne wzajemną osłodę spotkań w cztery oczy.

- Wasza wysokość mi schlebia. Wciąż czuję się dzieckiem na dworze, choć atencja, z jaką się ostatnio spotykam, zapewne wkrótce wywabi mnie z ukrycia.

Górna warga dziewczyny wyglądała prześlicznie, wydęta jednocześnie do wewnątrz i na zewnątrz, niczym zerwany z kwiatu płatek róży, jak gdyby zmęczony świeżym przyływem puszystości. Gertruda pomyślała, że ten szczegół nadaje Ofelii bardzo powabny wygląd, kiedy dziewczyna domyka nieśmiało dolną wargę, pozostawiając jedynie rozwarły klinik, w którym mgliście połyskują jej zęby. Miała też wykwinnie wąskie nozdrza, Gertruda tymczasem zawsze uważała swój nos za zbyt szeroki, a przy tym nazbyt męski, za krótki i za gruby.

- Jako kobiety nie chciałybyśmy nie stać się nigdy obiektem męskich atencji, choć czasem bywają one niepokojące, kiedy się objawiają.

- W rzeczy samej, dokładnie tak, wasza wysokość.

Jeśli usposobienie Ofelii kryło jakąś skazę, była nią zapewne nadmierna uległość, powlekająca milczący sprzeciw, oraz zagadkowość. W oczach dziewczyny, nieprzypominających szarozielonych źrenic Gertrudy, które pod wpływem namiętności ciemniały czasem niczym wody Sundu, odbijało się zatopione w bladym błękitie ślepe, puste niebo.

- Nie musisz mnie tytułować „jej wysokością”, ale nie możesz także zwać mnie „matką”, choć pragnęłabym ci służyć radą i dobrocią jak matka, którą straciłaś. Moja rodzicielka również zmarła przedwcześnie, to też musiałam radzić sobie sama w tym kamiennym świecie, żyjąc pośród wrzawy, jaką czynią mężczyźni.

- Wasza wysokość okazała mi już wiele dobroci. Odkąd sięgam pamięcią, byłaś dla mnie dobra, pani, i darzyłaś mnie zainteresowaniem, kiedy mało, kto zwracał uwagę na moją osobę.

- Zamierzamy otoczyć cię naszą dobrocią jeszcze ciaśniej. Mniemam, że atencję, o której napomknęłaś, okazuje ci mój syn.

Bezchmurne oczy Ofelii rozwarły się szeroko, nie pozbywając się jednak niepokojącego zęza, jak gdyby dziewczyna przyglądała się niewidzialnemu, jak to powiedział kiedyś w gniewie król Hamlet? „W jej mózgu ziele szczelina”.

- Po części tak - zgodziła się dziewczyna, nie zadowolając tą odpowiedzią królowej. - Ponieważ Hamlet i Laertes przebywają w domu, odkąd... odkąd ty, pani, i nasz nowy król...

-...odkąd wzięliśmy ślub, tak.

- Więc Hamlet i Laertes spędzają odtąd razem wiele czasu, a niekiedy dopuszczają i mnie do kompanii.

- Najdroższa Ofelio, w moim przekonaniu jest raczej wprost przeciwnie. To Hamlet, który szuka twojego towarzystwa, uznał widocznie, że z oczywistych względów musi zabawiać także Laertesą.

- Jest jednak prawdą, że księżę i mój brat przepadają za sobą wprost demonstracyjnie, jak również, że wiele ich łączy. Przywykli do szerokich horyzontów, toteż zżymają się na nasze zacofane, ograniczone wyspiarskie obyczaje.

- Miarkuję jednak, choć z wdziękiem temu zaprzeczasz, że jesteś adorowana, i wielce mnie to cieszy.

- Cieszysz się, pani?

- A czemu by nie, moje drogie dziecko? Dla ciebie byłaby to naturalna kolej rzeczy, a dla księcia to już najwyższa pora.

- Mój brat i ojciec przestrzegali mnie, i to doprawdy niejedną raz, przed niebezpieczeństwami, jakie czyhają na dziewiczą czystość, upominając, abym się ceniła i strzegła swojej, a zatem także ich czci.

Gertruda uśmiechnęła się i nachyliła bliżej ku dziewczeczce, jak gdyby chciała poczuć na twarzy ciepło młodości, bijące z twarzy Ofelii.

- Ale ty... zapewne nie przypisujesz tak wysokiej wartości temu, co przed chwilą nazwałaś tutaj czią? Jest to bowiem oderwane pojęcie, wymyślone przez mężczyzn, którym potrafią się pysznić i za które czasem umierają, nas jednak odgradza ono od iluminacji miłości.

Zapadła chwila milczenia, Gertruda nie była, więc pewna, czy została właściwie zrozumiana, wtedy jednak Ofelia odetchnęła głęboko, rezygnując z dalszego utrzymywania wyprostowanej postawy na twardym, trójkątnym krześle, po czym wyznała potulnie:

- Księżę Hamlet w istocie czasem bardzo na mnie nastaje. Od jego słów kręci mi się w głowie, choć bywają niekiedy takie komedianckie, że za ich źródło można uznać obłąd. Po chwili jednak śmiejemy się już razem, i wtedy nie czuję się oszołomiona.

- Hamlet cię oszołamia?

Ofelia przybladła i spuściła wzrok, a Gertruda z zadowoleniem przypatrywała się temu widomemu świadectwu jej gorącej i wrażliwej krwi. Gdyby szczęśliwy los obdarzył Gertrudę córką, pokochałaby Ofelię... Wtedy podała jej pomocną dłoń, by przeprowadzić dziewczynę poprzez burze uczuć, jakich doświadcza płeć niewieścia, i przywiązała ją do siebie bez walki, jaką podejmuje w takiej sytuacji wywijający się niby piskorz syn. Królowa

nie mogła opędzić się od myśli, że jako matka Hamleta poniosła porażkę, sądziła jednak, że mimo wszystko zdoła do niego dotrzeć za pośrednictwem siedzącej teraz przed nią kandydatki na małżonkę księcia.

- Czasami jego komplementy zdają mi się drwiną - wyjaśniła Ofelia. - Schlebiają mi przesadnie. Hamlet cytuje poezje, a bywa, że i sam układa rymy.

- I Klaudiusz także zwraca się czasami ku poezji - ośmieliła się wyjawic Gertruda. - Mężczyźni mają bardziej dwoistą naturę niż my. Przeskakują myślami ze skrajności w skrajność i nie potrafią zająć pośredniego stanowiska. Aby usprawiedliwić wymagania swoich ciał, muszą uwznioślać obiekt pożądania i czynić z niego bóstwo, zbyt wspaniale, by mogło być prawdziwe, lecz z drugiej strony traktują kobietę jak śmieć. Mój syn ma bogatą fantazję i od dziecka fascynował go teatr. Lecz jeśli naprawdę odgrywa zadurzonego po uszy, to wcale nie oznacza, że odgrywa nieprawdę.

- Tłumaczyłam to sobie w ten sam sposób. Obserwowałam Hamleta pilnie, kiedy byłam jeszcze tylko parą oczu, tkwiących na krótkich, gruzłowatych łodyżkach. Nie ukończyłam nawet dziesięciu wiosen, kiedy książę był dwudziestoletnim młodzieńcem. Wydawał mi się, jak wszystkim, kwintesencją tego, czym powinien być książę. Ubierał się wytwornie, miał nienaganne maniery i gładko się wysławiał. Przepęniała go swobodna szlachetność. Teraz jednak, kiedy mnie emabluje, zdarza się często, że jego dobrotliwa błyskotliwość przemienia się niemal w obrzydzenie, jak gdyby w trakcie zalotów ogarniał go strach ścinający mrozem dworną wylewność. Odchodzi wtedy dumnie, nie mówiąc nawet „Bóg z tobą”. To zaś, co mówi, bywa na przemian niezrozumiale ozdobne i prostacko szczerze, bo Hamlet nie skrywa wcale, że, jego zdaniem, ostatnimi czasy mój ojciec zgrzybiał doszczętnie, a przy tym zawsze służył wyłącznie jednemu panu, czyli samemu sobie.

- A co powiada Hamlet na temat swojego stryja i mojego męża?

- Nie zdradza się przede mną ze swą opinią, pani.

Gertruda wątpiła, aby była to prawda, ponieważ odpowiedź padła nieco za szybko, postanowiła jednak drażnić inny temat, który bardziej ją interesował. Jak daleko zaszły ich konkury? W olśniewającym portrecie Hamleta, jaki namalowała przed nią Ofelia, królowa z trudem rozpoznawała swojego samotnego, ponurego syna, który w jej oczach odziedziczył po ojcu chorobliwie bladą, choć zarazem nieco nalaną twarz. Jeśli miłość ma ostatecznie zwyciężyć, byłoby lepiej, gdyby Ofelia pozostała nadal na wpół ślepa.

- I zdaje ci się, jak powiadasz, że Hamlet z ciebie drwi?

- Wśród licznych oznak czułości i zwyczajowych zaklęć.

Gertrudzie nie spodobało się brzmienie „oznak czułości”. Czyżby Ofelia oddała już księciu to, czego za nic w świecie nie będzie mogła odzyskać? Czy posiada dość kobiecego sprytu, żeby wystawiać kochanka na próby, podnosząc tym sposobem wartość samej siebie w jego oczach? Czy może raczej w rozpalonej niewinności oddała mu ostateczne, małżeńskie dziewictwo ciała? W tej słabej na ciele i umyśle piękności, odzianej w cienką jak pajęczyna szatę, czaiło się coś, co wydawało jakby ulotną woń nieczystości. Gertruda ujęła roztrzępotaną w niewypowiedzianym niepokoju dłoń Ofelii, wspartą na kolanie. Zdziwiło ją, że ręka dziewczyny jest cała spocona i lepka od wilgoci.

- Naciesz się młodością, moje drogie dziecko, bo przemija zbyt szybko - wypaliła Gertruda. - Idź za głosem serca, lecz i za głosem rozumu, jeśli tylko potrafisz. Ale skoro mój syn i jego wyniosłe myśli i kapryśne humory dostarczają ci raczej niepewności niż rozkoszy, nie przestawaj z nim dłużej dlatego tylko, aby dogodzić czy to twojemu ojcu, czy królowej.

- Ach, ojczulek nie ma wątpliwości, że powinnam cenić się wysoko... Choć sądzę, że mój związek z księciem przyniósłby mu korzyści.

- Twój ojciec to człowiek wiekowy i nieraz w życiu odnosił już korzyści. Powinnaś myśleć o sobie. Mężczyźni to piękni wrogowie, wśród których żyje kobieta - powiedziała Gertruda, porzucając strategię w przyływie siostrzanych uczuć. - Bez uległości kobiecej świat nie posuwałby się wcale naprzód, a mimo to budzi ona nieufność w mężczyznach, widzących w niej ziarno nieładu, którego ojcem miałby być przypadek. Myślą, że jeśli kobieta uległa jednemu mężczyźnie, równie dobrze może ulegać innym. Niestety, nam, kobietom, natura przekazuje pragnienie uległości razem z mlekiem matki. - Gertruda poczuła, że twarz oblewa jej ciepło, starała się jednak zachować chłodną minę, wiedziała bowiem, że żadna kobieta nie powinna mówić tak wiele o sobie, chyba że jako matka, i to wyłącznie wobec własnej córki.

Ofelia była jednak całkowicie pochłonięta stanem własnych uczuć.

- Ach, nigdy nie zechcę nikogo prócz Hamleta! - zawołała. - Nie potrafiłabym pokochać nikogo tak mocno, jak miłuję jego! Jeśli księżę mnie porzuci, poszukam schronienia w zakonie, gdzie wichry życia nie wieją z taką wściekłością.

Jeżeli Hamlet i Ofelia zachowali czystość, to słowo „porzucić” w odniesieniu do ich związku mogło wydać się królowej dosadne. Rozsądek podpowiadał jednak Gertrudzie, że gdyby księżę istotnie wykorzystał Ofelię wbrew przyjętym wymogom obyczajności, to mógł się z nią tym samym związać jeszcze bliżej. Choć rozmowa dostarczyła królowej poważnych wątpliwości co do umysłowego i cielesnego zdrowia Ofelii, Gertruda wciąż była zdania, że Hamlet jednak powinien się ożenić - małżeństwo stanowiło bowiem najszybszy sposób

wyprowadzenia go ze sterylnej egotyźmu, a ponadto ukróciłoby swobodę jego ruchów i kaprysów, którą Klaudiusz uważał za zagrożenie ze strony bratanka. Małżeństwo czyni człowieka częścią ustanowionego ładu. Gertruda puściła rybią, bezwładną dłoń Ofelii, kształtną, pokrytą delikatnymi, błękitnozielonymi żyłkami na grzbiecie i przegubie.

- Tak bardzo miłujesz Hamleta?

- Nad życie, wasza wysokość, nawet, gdy bywa w stosunku do mnie zaczepny i kiedy peroruje o niestałości kobiecej.

Gertruda zeszywniała.

- O niestałości kobiecej?

- Tak i o naszej podatności na lubieżne pokusy.

- Powiedziałam ci już, że nasza podatność na pokusy to zbawienie mężczyzn, którym czasem zdarza się nawet pamiętać, że są nam winni wdzięczność.

- Hamlet bywa dla mnie nieskończenie czuły, aż wydaje mi się, że mi serce pęknie.

- Doprawdy?

W jakich okolicznościach?

Przypominająca płatek róży górna warga Ofelii uniosła się w zamyśleniu. Dziewczyna zamknęła pod powiekami łagodne niebo swych oczu, a potem odsłoniła je znów i powiedziała:

- Zawsze, kiedy jesteśmy razem, z wyjątkiem chwil, w których księżę myśli o jakiejś innej, bezimiennej kobiecie, lub w ogóle o płci niewieściej. Powiada, że nienawidzi rodzaju ludzkiego, choć miłuje pojedynczych ludzi.

- Za długo studiował niemiecką filozofię - postawiła diagnozę Gertruda. - Dlatego potrafi zwarzyć każdą prostą kwestię. - Który mężczyzna mógłby się oprzeć uczuciu do tej jawnej piękności i zostać przy zdrowych zmysłach?

- Zbliżyłaś się do mojego syna bardziej niż ja, która nosiłam go kiedyś we własnym łonie, pod sercem - oświadczyła królowa.

- Wierz mi, pani, że będę czcił tę bliskość i nie uczynię mu krzywdy.

Gertruda dosłyszała nutkę samozadowolenia w skwapliwej odpowiedzi Ofelii.

- Moje obawy nie dotyczą jego, moja droga, lecz ciebie. Traktuj go tak, jak nakazuje ci instynkt, lecz tylko dopóty, póki nie pogwałcisz własnego instynktu samoobrony. I ty, i on macie jeszcze przed sobą długie życie. A dobrze jest miłować, tak dobrze, że warto przeciągać jak najdłużej kolejne etapy miłości i wyczekiwać z utęsknieniem na ostateczne spełnienie. Nie chcę, byś pomyślała, że jestem cyniczna, kiedy idzie o mężczyzn, pomnij

zatem, że sama jestem żoną, i że nie zamieniłabym mojego szczęścia na wszystkie obietnice niebios.

Gertruda wystraszyła się, jak gdyby wykleła niebo, ale Ofelia, niech będzie błogosławiona jej prostoduszność, usłyszała jedynie żar zaklęcia, nie zaś jego mroźne podobieństwo do bluźnierstwa.

- Wszystko, czego mogę sobie życzyć, pani, to być tak wdzięczną i mądrą kobietą, jak ty. Jeżeli będę kiedyś mogła zwać cię matką, uczynię to z całego serca.

- Ja zaś z całego serca przystanę na miano twej matki - powiedziała królowa, śmiejąc się ze swoich własnych łez, a potem w garderobie rozszedł się zwiewny zapach wonności, gdy obie kobiety padły sobie w ramiona.

Poloniusz natknął się na królową w otoczonej kolumnadą sali, gdzie przypominająca szachownicę mozaika kryła echem posadzkę i ściany aż po wieńczący je pas farby pod sufitem.

- Moja córka zaznała w rozmowie z tobą pociechy i radości - powiedział.

- Ofelia to istny anioł. Gdybym i ja miała córkę, jakże żarliwie wiodłabym z nią dysputy! Jednak o zalotach mojego syna wobec Ofelii nie najlepiej świadczy to, że dziewczyna szuka pociechy i radości u obcych.

- Jest młoda, daleko młodsza od niego, i...

- Jest młodsza od Hamleta niewiele więcej niż ja od zmarłego króla.

- Który okazał się nieczuły i zaniedbywał cię, co wyznawiałaś mi po wielokroć, choć nie zawsze miałem ochotę cię słuchać.

- Czy naprawdę czyniłam to tak często? Starłam się swoje niezadowolenie zachowywać dla siebie. Poza tym nie było ono chyba tak głębokie, jak mogłyby to teraz sugerować twoje dosadne określenia. Króla pochłaniały sprawy państwowe, ja zaś zapewne zbyt brałam to sobie do serca. - Gertruda wołała, żeby starzec przestał czynić aluzje do ich zwietrzałych, acz poufnych zwierzeń i konszachtów z przeszłości. Jeśli ktoś zaciągnął kiedyś dług u Poloniusza, pozostawał jego dłużnikiem na zawsze.

- Tak jak mówiłem, moja córka jest młoda i delikatna - powtórzył Poloniusz. - Hamlet zaś wykorzystuje swoją melancholię, jak i pozycję księcia, by chyba zbyt otwarcie demonstrować niemile, fanaberyjne humory i kpić, by tak powiedzieć, ze wszystkiego, trzęsąc tą młodą rośliną cokolwiek niedelikatnie, jak na dziewicę, wychowaną w aż zapierającej dech ciszy czystości. Laertes także, owszem, jak każdy dorastający mężczyzna, nie zdołał się uchronić przed zarazą szynków i położonych po sąsiedzku domów publicznych oraz domów

gry, jednak mój człowiek, Reynaldo, zadbał o to, by sińce Laertes nie przemieniły się w rany.

- Żałosna jest niewieścia edukacja, ponieważ przychodzi nagle, kiedy kobieta spod władzy cnoty dziewiczej przestępuje nagle pod władzę cnoty małżeńskiej - zauważyła Gertruda. - Oczekuje się po niej, że w ciągu jednej nocy z istoty całkowicie niewinnej zmieni się w kobietę, obdarzoną wiedzą absolutną.

Głuchy na argumenty Gertrudy starzec był już rozdrażniony.

- Cnota to jedyna wartość, jaką posiada kobieta - odpowiedział. - To wszystko, co może zaproponować na targowisku życia. Księżę igra z Ofelią, a ja muszę ją odzyskać. Ich spotkania na osobności powinny się skończyć, dopóki oferta, jaką składa mojej córce Hamlet, nie zabrzmi nieco dźwięczniej. Niech Ofelią odetchnie od wyniosłego, zgryźliwego towarzystwa księcia.

- Jeśli odzyskasz córkę, zatrzymasz ją na zawsze.

- Nie lekceważ Ofelii, pani. Jeśli Hamlet będzie ją rzadziej widywał, tęsknota rozdmucha jego płochy płomień, który zacznie się palić równo, jak należy. Ofelią to Magrit w całej jej świeżości, którą mojej żonie odebrały kolejne poronienia. Jest obdarzona nadprzyrodzonym wdziękiem, którego nauczyła się chyba od leśnych kwiatów. Słyszałaś kiedyś, jak śpiewa?

- Na ucztach i podczas zimowych zabaw karnawałowych, odkąd była dzieckiem. Ma czysty głos, lecz słaby. Załamuje się, gdy śpiewa zbyt wysoko.

- Jej głos jest wzniosły, choć w rzeczy samej nie po winna brać wysokich nut. Królowo, nie obawiaj się o związek, którego oboje pragniemy. Kiedy Ofelią zostanie zmuszona usunąć się nieco w cień, księżę zyska sposobność, aby pomedytować nad wartością mojej córki.

Zniecierpliwiona Gertruda słyszała w głosie trzęsącego się szambelana przekonanie, że wszystkimi ludzkimi sprawami można pokierować, że można manipulować nimi za pomocą zębatek i zapadek niby młynami albo zegarami, jeśli za sznurki pociąga dość mądry człowiek. Wrażliwością królowej natomiast rządził raczej przyptyw fal, przyrodzonych i nadprzyrodzonych, którym poddaje się mądrość, poszukująca zwycięstwa w kapitulacji. Gertruda miała poczucie, że młodych kochanków należy pozostawić raczej samych sobie w uścisku pożądania, by wznieśli się ponad labirynt, który skonstruowali ludzie od nich starsi. Wiedziała jednak, że taką postawę z jej strony Poloniusz i Klaudiusz określiliby jako sentymentalną i irracjonalną, pozostawiała, bowiem wszystko w ręku Boga. Tak czyni ciemna chłopka albo pogański muzułmanin.

Wiekowy doradca przysunął się bliżej królowej i oświadczył:

- Moim, i nie tylko moim, zdaniem, Hamlet ucierpiał, ponieważ zawsze spełniano wszystkie jego kaprysy i żądania. Dorastał pozbawiony dyscypliny, pani.

Szambelan miał na myśli jej małego Hamleta. Od dawna us্পiona miłość do syna zbudziła się w niej teraz w obronnym odruchu. Wątpić w skuteczność matczynej opieki nad synem było przywilejem królowej, nie zaś tego starca.

- Sądziłiśmy, że Hamletowi nie potrzeba wiele. Jego inteligencja i język były obrotniejsze niż moje czy jego ojca, a księżę uprzedzał wszystkie nasze myśli, dotyczące poprawy jego postępowania. Gdy król wziął się do wychowania Hamleta, straciłam kontakt z synem, i mogłam go tylko podziwiać z pełnego szacunku dystansu.

- Król był surowy i pełen dostojeństwa. Górował nad chłopcem niby bóstwo, w zbroi, na końskim grzbiecie. Ludzką postać ojca młodego Hamleta najbardziej przypominał Jorik, ale on był zaledwie moczygębą, i jedyne, czego mógł nauczyć księcia, to tylko błazeństw i głupstw.

- Mówisz tak, jak gdybyś nie lubił upragnionego zięcia.

- To on mnie nie lubi.

- Komuś takiemu jak Hamlet niełatwo jest lubić ludzi. Księżę widzi człowieka ze zbyt wielu punktów widzenia naraz. Ale król pokłada w nim wielkie nadzieje i żywi dlań rozkwitającą sympatię. Wierzy, że zdoła oczarować Hamleta i skłonić go, aby pozostał na dworze, co naszą władzę uczyni niepodważalną.

- Każdą władzę można podważyć, pani, w tym zdrażliwym, rozdartym kraju, pokrytym mierzwą dawnych waśni i rzezi. Lecz jeśli ktoś zdolny jest zachować ład w Danii, to jedynie Klaudiusz. Ja już zawdzięczam mu życie.

- Życie? - Jakie to dziwne, że starcy do końca cenią swoje życie, w którym świat widzi już jedynie kikut lub gałgan, nienadający się nawet do obtarcia pióra z inkaustu.

- Szło mi o to, wasza wysokość, że moja pozycja, urząd i życie związane są ściśle z przysługującymi szambelanowi godnościami. Wierzaj mi jednak, że król, choć niecałkiem jawnie, wyświadczył dobrą przysługę nam obojgu, gdy sytuacja wymagała z jego strony odwagi.

Słowa Poloniusza zaskoczyły Gertrudę. A więc istnieje między nimi jakaś tajemnica. Ułożone w szachownicę płyty posadzki zdawały się załamywać, grożąc, że pękną za chwilę pod nogami królowej, gdy tymczasem starzec usiłował pokryć gadulstwem szparę szczerości, którą nie baczenie odstonił.

- Ach... - brnął dalej szambelan. - Wiele przeszliśmy razem, wasza wysokość. Pamiętasz, pani, ten jasny, zimny dzień, gdy pokonałem na nartach dwanaście mil w świeżo spadłym śniegu, by oficjalnie zaświadczyć, że twoje małżeńskie posłanie nosi ślady krwi? Widziałem je przecież. Nie uchybiłaś swojej królewskiej czci, ani przedtem, ani od tamtej pory. - Poloniusz zastanawiał się przy tym, czy jego córka zachowała, czy poświęciła dziewictwo.

- Krwawienie należy z pewnością do mniej istotnych osiągnięć, do jakich kobieta jest zdolna.

- Nie w pewnych sytuacjach. Pod maską wszelkich ukłonów i grzeczności, światem rządzi krew, czasem zaś jej brak, kiedy istnieją nadzieje na królewskiego dziedzica. Ale dość o tym. Z powodu swojej paplaniny zaczynam popadać w nieskromność. - Szambelan wcisnął głębiej wysoki, zielony, przypominający głowę cukru kapelusz, który ostatnio zsuwał mu się z czoła coraz częściej, im bardziej rzedły mu proste, żółtawe jak łój włosy i im bardziej topniała gruba niegdyś niczym skorupa dyni warstwa tłuszczu pod skórą jego czaszki. Rodzimy się mali, potem przybywa nam ciała, a potem się kurczymy, pomyślała Gertruda. Świat traci nami zainteresowanie, zanim sami przestajemy się sobą interesować.

- Usiłuję cię jedynie przestrzec, pani - trąkotał dalej Poloniusz - że jeśli poleciałem Ofelii, by niczym lichwiarka skąpiła księciu Hamletowi schadzek, to tylko, dlatego, że pragnę pomyślnego finału naszych wspólnych, ślubnych nadziei.

- Ofelia jest twoją córką i możesz jej rozkazywać wedle woli - oświadczyła Gertruda z zamiarem zakończenia tej krępującej rozmowy. - Będę się modlić, by skutek owego zakazu okazał się zgodny z twoimi przewidywaniami. - Świat poświęca tyle myśli rozrodczości ludzkiej, jakbyśmy byli zwykłym bydłem domowym. Gertrudzie wydawało się to zarówno nużące, jak i nieprzystojne. Jeśli uczucie księcia jest ogniste, Hamlet wywróci kopniakiem każdą przeszkodę, która mu stanie drodze. Królowa dobrze wiedziała, jak czuje się jej syn, albowiem jego miłosne zapędy zostały wystawione na próbę, nie mogła jednak mówić o własnych doświadczeniach. Nieszczęsny chłopak, podobnie jak ona urodzony w mielącym wszystko na proch młynie Elsynoru.

Królowa wędrowała po zamku, jak gdyby powróciła doń po latach całego życia. Opłakiwała maleńki, pusty alkierzyk, gdzie pod opieką podrzemującej Marlgar bawiła się trzema szmacianymi lalkami i skąd wyglądała przez okna na szarozielony, upstrzony lodem i grzywami fał pas Sundu... przez okna, ku którym tak często unosiła piekące z bólu oczy znad robótki hafciarskiej albo połyskliwego welinu jakiegoś romansu, jak opowieść o Lancelocie i Ginewrze lub Tristanie i Izoldzie. Były to historie i chansons, opiewające miłość cudzołożną,

lecz w jakimś sensie świętą i nieskończoną. Kiedy haftowała tu ostatni raz? Tkanina rozpięta na krosnach, a przeznaczona na ołtarz zamkowej kaplicy, wyglądała tak samo, jak przed śmiercią króla. Tło wyszywane było złotą nicią i nakładowym sznureczkiem. Haft, wykonany według własnoręcznego szkicu Gertrudy, przedstawiał Marię Magdalenę klęczącą przed obliczem zmartwychwstałego Chrystusa. Długie falujące włosy, wyszyte równoległymi, łańcuszkowymi ściegami biegnących naprzemiennie czarnych i brązowych nici, zakrywały całe ciało Marii, z wyjątkiem różowego kolana, wykonanego ściegiem atlasowym, widzianej z profilu twarzy, o skierowanym ku dołowi spojrzeniu spod opuszczonej powieki, i uniesionej ręki, którą niewiasta jak gdyby odpychała gest błogosławieństwa przyodzianego w białą szatę Pana. Zarys postaci Jezusa został odbity węglem na płótnie według wzoru, wyrysowanego na dziurkowanym pergaminie i oczekiwał teraz, aż Gertruda wypełni go kolorową nitką. W ostatnich miesiącach myśli królowej zaprzętał głównie jej kochanek i mąż, więc trudno było Gertrudzie rozmyślać o innym mężczyźnie, choć był On Mężczyzną Wiecznym. Zaczęła wyszywać Jego postać od stóp, a zarys palców wykonała dość prymitywnym ściegiem łożkowym. W młodości szczyciła się umiejętnością szycia rozdwojonym ściegiem, polegającym na tym, że igła raz po razie rozszczepiała nić, ale już wiele lat temu przestała widzieć wyraźnie koniuszek igły, a spojrzenie królowej musiało coraz częściej odpoczywać, utkwione w monotonnie ubarwionej dali, biegnącej w kierunku Skanii. Zastanawiała się, czy kiedyś odzyska jeszcze na tyle równowagę ducha, by opanować drżenie rąk i zasiąść znów w alkierzu nad haftem przy muzyce flecistów, nasłuchując strzępów rozmów roztrajkotanych dam dworu.

Gertruda wędrowała samotnie w rozległej przestrzeni zamku, pod łukowato sklepionymi arkadami i po spiralnych schodach.

Mijała ukośne parapety okien, wybitych zagadkowo w takich miejscach, gdzie nikt nie mógł przez nie wyglądać, mijała tchnące gryzącym odorem ustępy, wsparte na kroksztynach ponad fosą, zachodziła do kaplicy, która teraz wydawała się jej mniej wspaniała i znacznie rzadziej uczęszczana niż w na wpół pogańskich czasach króla Roderyka, i odwiedzała chętnie wielką salę, w której odbyły się jej obie uczyty weselne i gdzie na wysokich belkach wisały wyblakłe, zetlałe chorągwie, zdobyte w bitwach lub złożone Danii jako wyraz poddańczego hołdu, ściany zdobiły zaś podzielone na cztery części tarcze, przyozdobione krzykliwie barwnymi insygniami wszystkich duńskich prowincji oraz wysp, a także miast katedralnych. Choć upływał drugi miesiąc od objęcia władzy przez Klaudiusza, potwierdzającego swą królewską godność bankietami w nocy i audiencjami za dnia, a zatem zarówno hałaśliwą zabawą, jak i wyważonymi postanowieniami, to mimo wszystko cały kamienny labirynt

Elsynoru, od najniżej położonych lochów po najwyższe, blanki, należał wciąż w rozumieniu Gertrudy do króla Hamleta.

Od ślubu z Klaudiuszem myślała o Hamlecie częściej, a nie rzadziej, czego się nie spodziewała, jako że zarówno zbrodnia cudzołóstwa, jak i gorączka dwulicowości odeszły w przeszłość, pogrzebaną w nowym, uświęconym sakramentalnie małżeństwie. Być może syn Gertrudy miał słuszność, kiedy czynił jej milczące wyrzuty poprzez nie dwuznaczną nieobecność na dworskich uroczystościach albo przywdziewając strój z żałobnej czerni, jak gdyby księżę chciał w ten sposób skarcić matkę. Królewskie zaślubiny odbyły się zbyt szybko, bo oblubieniec Gertrudy szermował argumentami wprost nie do odparcia - ale w atmosferze otaczającej nowożeńców pozostał jednak element niespełnienia i tajemnicy. Gertruda nieustannie spodziewała się, że, jak to często bywało za ledwie w zeszłym roku, ujrzy w zakolu korytarza zmarłego małżonka, wyłaniającego się zza drzwiczek komnaty z twarzą obrzmiałą po codziennej drzemce w sadyku albo kroczącego ciężko przez dziedziniec w pełnej zbroi, kiedy powracał z bitewnych ćwiczeń, parszcząc donośnie, podobnie jak spieniony wierzchowiec królewski, i radując się swym wciąż potężnym, mocnym ciałem. A stary Hamlet spełniał też znacznie mniej przyjemne obowiązki, ponieważ małżonka spotykała go czasem, gdy schodził z długiej galeryjki, wiodącej do kaplicy, w której zabiegał o boskie współdziałanie w rządach nad państwem duńskim. Gertruda zauważyła, że Klaudiusz natomiast rzadko ucieka się do świętobliwych negocjacji - nigdy się nie spowiadał, a kiedy w czasie mszy podawano mu chleb i kielich, zdawał się kulić, jak gdyby zmuszano go, żeby wypić truciznę, od której jednak nie mógł się uchylić w obecności obserwujących go ludzi, gdy blade dłonie księdza podsuwały czarę wina i hostię, okrągłą jak kryte mlecznym szkłem okno nad ołtarzem.

Gertruda wyczuwała obecność króla Hamleta niemal namacalnie, co wyostrzało wszystkie jej zmysły, wyjąwszy tylko wzrok - królowej zdawało się jednak, że słyszy czasem szelest, krok albo stłumiony jęk, a nerwy i drobniutkie włoski jej szóstego zmysłu poruszała niekiedy jakby ocierająca się o nią zjawą, chociaż w korytarzu nie było okien, świeżo zgaszona zaś świeca czy rozniecony ogień nie mogły tchnąć dymem spalenizny, węgla ani pieczonego mięsa. Ducha otaczała aura bólu - król, mniej niż zjawą, lecz więcej niż nieobecność, zdawał się wołać jej imię, jak gdyby w dotkliwej męczarni: „Gerto! „. Tak Hamlet nazywał ją dawniej, w otchłani czasu. Królową ogarniało wtedy przerażenie - a zdarzało się często, że nie miała nikogo do posługi, albowiem Herda była już w zaawansowanej ciąży, w jej wieku zaś brzemiennosc wiązała się z licznymi dolegliwościami, Gertruda nie chciała natomiast przyjąć przypadkowej, trzpiotowatej damy dworu, którą

mogliby jej przysłać z prowincji w charakterze szpiega, utrudniającego władczyni niespokojne patrole Elsynoru. Tak, więc nikt z najbliższego otoczenia królowej nie był w stanie potwierdzić, czy to tylko jej własna wyobraźnia sprawiała, że Gertruda przystawała czasem raptownie, dusząc się niemal, jak gdyby usta zatykała jej rozpalona, lecz zarazem lodowata dłoń.

Czego chciał od niej zmarły król Hamlet? Jako że za grobem stał się wszechwidzący, przejrzał grzechy żony, poznał, więc wszystkie jej lubieżne bezceństwa i okrzyki rozkoszy. Czy jednak kąpiel niebieska nie zmywa z nas brudnych sprostności tego świata? Zmarli, którzy zaznają błogosławieństwa, nie nawiedzają żywych - czynią to jedynie dusze potępione, przywiązane do ludzi żyjących, lecz upadłych, jej zmarły mąż był zaś przykładem cnoty i ideałem króla. „Widać Hamlet chce, żebym wciąż należała do niego” - podpowiadała Gertrudzie intuicja. Król ją miłował, zawsze, a jej niewierność, której, zajęty powinnościami monarchy, nie dostrzegł za życia, przysparzała mu teraz takich cierpień, że Gertruda czuła niemal woń palonego ciała Hamleta i słyszała jego zduszony głos.

Nie były to normalne, naturalne myśli - usiłowała je, więc przewyciężyć. Dawniej Gertrudzie zawsze udawało się wymykać w świat natury i darzyć wiarą rzeczy oczywiste, czyli wszystko to, czego mogła dotknąć; jak barwionych nici, którymi haftowała, albo przypominających piórka i rodzących nasiona kłosów traw, pozostawiając Kościołowi tę ogromną, niedostępną budowlę, której przyroda jest zaledwie obliczem, widzialnym ułamkiem czy też proscenium, na którym rozgrywa się krótki dramat życia. Księża z wielką pewnością siebie głoszą powszechnie, że smutna i krzykliwa ziemia to jedynie preludium do wiecznego żywota pozagrobowego, do świata, w którym Jezus, Mojżesz, Noe i Adam będą rzucać z góry groźne spojrzenia niczym kamienne głowy w katedrze, otoczone oślepiającym blaskiem wotywnych świec. Ostatnio jednak przyrodzony świat jakby nieznacznie rozciągnął się i skrzywił - Gertruda wyczuwała, bowiem, że ktoś ją prześladowuje. Wkraczając do sypialni, usiłowała opowiadać o tym Klaudiuszowi, nie wzywała wszakże mężowskiego imienia i nie zdradzała podejrzeń, że Hamlet, zmarły Hamlet, przebywa na zamku i czegoś się od niej domaga.

Klaudiusz jednak żywił zapewne podobne podejrzania, nie chciał bowiem, żeby po ślubie sypiali w tym samym łożu, które Gertruda zajmowała z Hamletem, toteż małżonkowie przenieśli się do innego alkierza, wchodzącego w skład królewskich komnat, i do nowego, inkrustowanego kością słoniową weneckiego łoża, które po trwającej cały dzień podróży służba dostarczyła wozem z Lokisheim. Jeśli Gertruda wstawała teraz w nocy, z przyzwyczajenia wracała do dawnej sypialni, gdzie zastawała tylko zawarte drzwi.

- Jestem szczęśliwa - mówiła Klaudiuszowi. - Jestem ci wdzięczna, jestem zadowolona, a mimo to, mój najdroższy, coś nie pozwala mi odetchnąć... Coś mnie niepokoi.

- Doznałaś wszak ostatnio wielu silnych wzruszeń - odpowiadał rozsądnie Klaudiusz. - Najpierw nieoczekiwanie zostałam wdową, a potem wyszłam za mąż po raz drugi. - Jego głos, choć pełen czułości, brzmiał roztropnie i bardziej stanowczo, niż spodziewała się Gertruda. - Twoje ciało i duch nie są tak prężne, jak kiedyś - dodał po chwili król. Czyżby ją krytykował? Czyżby już zaczął żałować, że posiadał jej skrzypiące w stawach ciało, którego pożądał, kiedy była młodsza?

- Na przykład martwi mnie Herda. Wydaje się zrozpaczona i przybita, a przecież nie dalej niż za miesiąc jej dziecko przyjdzie na świat i ujrzy wreszcie słońce. Dziwię się, że ono w ogóle rośnie. Herda sądziła, że Sandro ją miłuje.

- Kochał ją, gdy mówił, że ją kocha, ale potem wystraszył się konsekwencji swych miłosnych zapałów. A Herda nie ma powodu, żeby bać się o dziecko. Elsynor jest dość zasobny, by wykarmić jedną gębę więcej. Lecz jeśli matka nie będzie kochać dziecka, niemowlę umrze.

- Mówisz to bez cienia wątpliwości.

- Bez miłości wszyscy umieramy, a w najlepszym wypadku karłowaciejemy. - Aby podkreślić te słowa, Klaudiusz złożył na ustach królowej gorący pocałunek. Wciąż okazywał jej miłość, przecząc uprzedzeniom, wedle których Gertruda sądziła, że tkliwość mężczyzny słabnie, kiedy zostaje uprawomocniona.

- Czy tego właśnie doświadczyłeś w Jutlandii? - zapytała.

- Jutlandia była ponura. Musieliśmy się tam wszyscy zadowalać połową przeciętnej racji miłości.

- I mnie karmiono podobnie, odkąd umarła matka, a było to wtedy, gdy nauczyłam się mówić. Miałam wówczas trzy lata. - Królowa zauważyła w Klaudiuszu męską niecierpliwość, wywołaną jej rozważaniami na temat płonnych uczuć i niemożliwą do przywołania przeszłością.

- Mniemam, że w wieku trzech lat kształtuje się też nasza postawa życiowa i odwaga - powiedział. - Matka cię kochała i dlatego kwitłaś. Zresztą w moich oczach rozkwitasz nadal. - Słuchając własnych słów, Klaudiusz przypatrywał się jej badawczo. Nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc jego uroczyste, mroczne spojrzenie. - Gdy patrzę na twoją uśmiechniętą twarz, dostrzegam wyłom w ścianie ponurej ciemności świata - dodał. - I przez ten wyłom spływa coś lepszego... jakby z tamtej strony. Tant fo clara - zacytował - ma prima lutz d'eslir

lieis don cre crel cors los hvoills. Jasnym uczynił wszystko pierwszy błysk mego wyboru tej, której spojrzenia lęka się serce moje.

Tak romantyczne wyznanie wymagało uścisku i pocałunku, który Gertruda odwzajemniła, całując króla w usta, niezwykle niegdyś żywe w swym jakby odlanym kształcie, usta, które wciąż były w stanie pobudzić ją i podniecić. Nie potrafiła jednak oprzeć się tematowi, który w pewien nieuchwytny sposób stanowił rozdział w ich wzajemnych stosunkach, niczym spuszczone oczko, przez które można byłoby spruć cały rękaw.

- Czy dopomogłeś Sandrowi w ucieczce z Danii?

- Nie - oświadczył dobitnie Klaudiusz. - Jego rejterada zaskoczyła mnie tak samo, jak Herdę. Miałem go za lojalnego sługę. Co dowodzi tylko, że należy ufać jedynie Duńczykom, choć i w tym wypadku lepiej zachować ostrożność.

- Sandro z pewnością potrzebował pieniędzy, nawet, jeśli podróżował pieszo. Musiał gdzieś spać, kupować żywność i wręczać łapówki strażnikom na wszystkich granicach w ziemiach niemieckich książątek.

- Kochanie, dlaczego poruszasz ciągle ten sam temat? Sprowadziłbym Sandra z powrotem, gdyby pozostawał wciąż w moim królestwie. On jednak opuścił je, zanim stało się moje.

Było coś w słowach Klaudiusza - jak dokładnie określony czas i duma z prawa własności - co znów obudziło niepokój królowej. Poczwała napływające do oczu ciepło łez i ucisk w gardle.

- Chodzi mi o to, że nieszczęsna Herda, która postępowała za naszym przykładem, dźwiga teraz ciężkie brzemie, nam zaś pozostało tylko... szczęście!

- Tak, dla mnie ogromne szczęście. Ale nie zachęcaliśmy przecież Herdy i Sandra, by poszli w nasze ślady.

- Wytworzyliśmy jednak klimat rozpusty, a teraz Herda cierpi z powodu jej widomego świadectwa - ciągnęła uparcie Gertruda. Łzy i głos królowej trysnęły jednocześnie w wybuchu bólu.

- Sądzę, kochanie, że stajesz się...

- Nie wiem, co to jest, ale ty coś przede mną ukrywasz! Stało się coś, o czym nie wiem! Poloniusz powiedział, że ocaliłeś mu życie, nie chciał jednak wyznać, w jaki sposób. Sugerował, że i ja powinnam żywić wobec ciebie wdzięczność... Tylko, za co? To znaczy, za co prócz tego, że mnie miłujesz i że uczyniłeś mnie królową po raz drugi?

Klaudiusz spojrział na nią groźnie. Twarz mu pociemniała, toteż płat blizny, obrośnięty siwymi włosami nad skronią, wydawał się teraz jaśniejszy.

- Obawiam się, że nasz zaufany przyjaciel i doradca naprawdę się postarzał. Mówi rzeczy bez związku i rzuca na wiatr tajemnicze aluzje. Mój brat miał słuszność. Szambelan królewski dojrzał już do tego, żeby usunąć go ze stanowiska.

Gertruda chwyciła się sposobności do zawarcia ugody z Klaudiuszem, nie chciała, bowiem, by pogłębiła się przepaść między nimi.

- To prawda, że Poloniusz wciąż wydziwia. Chce zabronić Ofelii widywać się z Hamletem, w nadziei, że później zaloty księcia staną się stateczniejsze. Boi się, że Ofelia wejdzie do łóżka księcia i zhańbi się w ten sposób w jego oczach.

- Czy obawy starca są uasadnione?

Nagły przyptyw zaciekawienia Klaudiusza na chwilę odjął jej mowę.

- Nie wiem - przyznała słabym głosem. - W Ofelii jest coś dziwnego. Spostrzegł to Hamlet, twój brat. Uważał, że córka Poloniusza to nieodpowiednia partia dla naszego syna. Wolał, żeby poślubił raczej ruską księżniczkę. - Gertruda nie chciała przywoływać imienia zmarłego małżonka, ale to Klaudiusz wspomniał o nim pierwszy, i on wprowadził go do ich komnaty.

- Chcę, żeby został z nami - odpowiedział Klaudiusz. Zrozumiała, że królowi idzie o młodego Hamleta.

- Ach, czemu? - wyrzuciła z siebie w przyptywie szczerych, nienaturalnych i niemaczących uczuć. - Hamlet rzuca ogromny cień, jak chmura.

- Hamlet nada naszemu dworowi niezbędną jedność. W trójcy. A poddani nie uznają namaszczonego księcia, który bawi ciągle za granicą. Tak czy owak, lubię Hamleta. Podobają mi się młodzi ludzie, którym nie podoba się Dania. Sądzę, że go rozumiem i że mogę mu pomóc.

- Doprawdy? W jaki sposób? - Ach, ci królowie, pomyślała Gertruda. Zdumiewały ją ich beztraskie wysiłki, zmierzające do zdobycia wszechwładzy.

- Sądzę, że Hamlet obwinia siebie za śmierć ojca - wyjaśnił gładko Klaudiusz. - Wydaje mu się, że pragnął jego śmierci, ponieważ pożądał ciebie.

- Mnie? Hamlet mnie unika. Zawsze mnie unikał.

- Otóż to. Dla niego jesteś jakby za bardzo kobietą. Jesteś zbyt ciepła, by czuł się przy tobie swobodnie. Dlatego uciekł w chłód, idealizując ojca i podejmując studia nad filozofią niemiecką. Miłuje cię, podobnie jak ja, podobnie jak każdy mężczyzna, który ma serce i oczy. Poza tym z księciem łączy mnie coś więcej, obaj pozostawaliśmy, bowiem w cieniu tego samego człowieka, czczego i pustego, jeżeli nie liczyć oskomy na sławę. Młot był ciemnięzycielem. Ty także o tym wiedziałaś, w przeciwnym wypadku nie zdradziłabyś go.

- Słowo „zdrada” wydaje mi się krzywdzące. Sądziłam, że ulegając twej nieustannej natarczywości, uczynię go, z pomocą twojej osoby, jeszcze potężniejszym. Najdroższy, nie jesteś sprawiedliwy wobec brata. W tej materii przestajesz trzeźwo myśleć. Macie...mieliście...wiele wspólnego ze sobą, a odkąd zostałeś królem, upodobniliście się jeszcze bardziej.

- Mój brat niemiło przypominał mi Jutlandię: straszliwą nikczemność jej przygnębiającego widoku, gdzie znajdziesz jedynie błota, mgły, wrzosowiska, owce i skały, dzień po dniu myślące tę samą, śmiercionośną myśl, a mianowicie, że czerpią zadowolenie z tego, iż są tym, czym są, tu, w samym środku targanego wichrami wszechświata. Ale Jutlandia należy do dawnej przeszłości, więc wróćmy do spraw bieżących. Chcę, żebyś kochała Hamleta. Hamleta, twego syna.

- Kocham go. Czyż nie?

- Będąc kiedyś w bardziej szczerym nastroju, wyznałaś mi, że nie. Więc zacznij teraz od nowa. Pozdrawiaj go i zagaduj. Nie spodziewaj się, że niedojrzała dziewczka nadrobi wszystko za ciebie. Przystań się bać księcia Hamleta, Gertrudo.

- Tak, boję się go, to prawda!

To wyznanie, uczynione w chwili, gdy tłące się w Gertrudzie przerażenie wybuchło nagłym płomieniem, zbiło z tropu Klaudiusza, który kołysał się w biodrach, zdziwiając szaty. Celebrował tę czynność, podobnie jak kiedyś król Hamlet.

- Czego tu się bać? Hamlet to jedynie skołatane serce, które błaga, żeby je ukoić. Książę wie dobrze, że przyszłość czeka go tutaj.

- Boję się wojny, którą on nosi w sobie. Ja i ty zawarliśmy pakt, na takich warunkach, jakie podyktowało nam przypadkowe nieszczęście, Dania zaś w pokoju wyniosła cię na tron. Ale mój syn, strojny w szaty koloru nocy i płomiennorudą brodę, zburzy ten błogi układ.

- W jaki sposób mógłby to uczynić? Chłopak nie posiada nic poza nadziejami. Władza należy do nas, do nas obojga. Ja nie mam syna, ale twojemu synowi chciałbym zastąpić ojca.

Swoim zwyczajem Gertruda znów uległa.

- Panie, twoje zamiary są wielkoduszne i pełne miłości. Okrywają mnie wstydem. A gdyby książę je znał, okryłyby wstydem i jego. Z radością pójdę, zatem za twoim przykładem i spróbuję być dla niego matką. - Już podczas rozmowy o Hamlecie z nieszczęsną, zadurzoną w księciu Ofelią, Gertruda odczuła przypływ uczuć dla niego, jak gdyby planując małżeństwo syna, nosiła go znów w sobie - „w łonie, pod sercem”, jak wówczas powiedziała. Niechętny stosunek Gertrudy do więzów, jakimi Hamlet niezłomnie związał się z ojcem, odpływał w przeszłość, a wraz z nim wątpliwości, podważające jej wartość jako matki. Dzięki tkliwemu,

pełnemu współczuciu spotkaniu z Ofelią, Gertruda zauważyła, że przedstawiciele kolejnych pokoleń nie muszą być sobie wrogami, a dzieci nie muszą czekać na upadek rodziców. A jednak... - A jednak, mój drogi mężu, dlaczego ogarnia mnie lęk?

Klaudiusz roześmiał się, ukazując wilcze zęby w gęstwie miękkiej brody.

- Słodka Gertrudo, nabyłaś tego, z czym inni ludzie się rodzą bądź, czego nabywają wkrótce po narodzinach, a mianowicie niepokoju duszy. Zawsze czułaś się na świecie zbyt swobodnie, jak w domu. Ów niepokój, poczucie winy za grzech pierworodny pierwszych rodziców, wznosi ludzi do Boga, odzierając nas z diabelskiej dumy. Jest to znamię boskiej władzy nad światem, znak, który Bóg wszczepił ludziom, byśmy nie sądzili, że znajdujemy się na samym szczycie powszechnej hierarchii bytów. - Tu Klaudiusz roześmiał się znowu. - Tak bardzo cię kocham... Widzę twoje nieufne spojrzenie, bo zastanawiasz się, ile z tego, co mówię, mówię, dlatego, żeby ci dokuczyć. Dokuczam ci, w rzeczy samej, lecz czynię to tak, jak gdybym cię laskotał piórkiem prawdy. Przez całe życie targały mną wątpliwości. Czułem, że nie jestem w pełni człowiekiem albo, że jestem jedynie cieniem człowieka prawdziwego. Teraz jest inaczej, albowiem ty mnie dopełniasz. „Jestem na jej służbie”, jak powiada poeta, del pe tro c'al coma, czyli od stóp do głów. Pójdź, moja żono, niech ujrzę, jak się rozdiewasz. W Bizancjum - mówił dalej Klaudiusz z szerokim gestem nauczyciela - na nieużytkach leżących poza zasięgiem możnych ikonoklastów i surowych mnichów, tysiącletnie ruiny wystawiają do słońca pozbawione dachów kolumnady i popękane posągi nagich kobiet, zapewne bogiń z czasów poprzedzających nieposłuszeństwo Ewy. Ty jesteś ich siostrą. Twoja wspaniałość leje obficie balsam na mojego niespokojnego ducha. W akcie stworzenia, którego jesteś częścią, moja żono, musi mieścić się zbawienie nawet dla najohydniejszego grzesznika. Tyś moją cnotą i moją chorobą morową, przeciwko której nie przyjmę żadnych lekarstw.

- Niepomierne wyolbrzymiasz rzeczywistość, panie - zaprotestowała Gertruda, choć rozdiewała się nadal.

Zimne powietrze w komnacie powlokło ciało królowej mgiełką chłodu, który usztywnił brodawki jej piersi i nastroszył blade włoski na ramionach. Klaudiusz zmierzył małżonkę spojrzeniem, a jego głos i gesty stały się podniosłe.

- Spójrz tylko, drzysz, a twoją szyję i barki kryje rumieniec sięgający piersi, tak niebotycznie wysoką zdała ci się moja szalona pochwała! Ale mylisz się. Moje słowa są szczerze, ty, bowiem czynisz mnie szczerym. Jesteś dopełnieniem mojej duszy, jak to ujmują heretycy trubadurzy. Młodzi tego świata mogą sądzić, że wyrosliśmy już z piękna, lecz nasze zmysły świadczą o czymś przeciwnym. Pozwól Gertrudo, że będę futrzanym kobiercem

rozciągniętym u twoich bosych stóp. Niech moje rozpłomienione stare kości rozgrzeją nasze lodowate łoże!

I Gertruda istotnie dostrzegła coś pięknego w jego mocnych, białych nogach, porośniętych ciemnymi włosami pośladkach i rozkołysanym, wzwiedzionym penisie, kiedy Klaudiusz wślizgnął się pod pierzynę. Z krzaczastej brody króla rozlegało się szczękanie zębów, a jego stopy szukały zawiniętych w pościeli gorących cegieł, które słudzy przynosili im na noc do łoża. Kiedyś Gertruda obawiała się o siebie i o Klaudiusza, bała się, że ich namiętność nie przetrwa przejścia od straszego pustkowia cudzołóstwa do bezpieczeństwa uświęconych prawem zaślubin, stało się jednak inaczej. W tej materii oboje okazali się zarówno stanowczy, jak i godni wzajemnych zachodów oraz trudów pożycia. Dzielić łoże z Klaudiuszem oznaczało dla Gertrudy zespolić się z samą sobą, nadchodzącą ku niej z oddali na ponowne, otwarte i niewymuszone spotkanie.

Król był rozgorączkowany. Ostatnia noc okazała się przejmująco zimna i gwiazdy wyglądały jak bezlitosny rozbryzg lodu na niebie, lecz rankiem słoneczny wiatr jął wzbijać pióropusze piany z przybrzeżnych fal w cieśninie, a elsynorski zamek rozbrzmiał pracowitą krzątanią. Przed południem miała się odbyć na zamku publiczna audyencja. Choć do duszy króla przylgnął niezbywalny niepokój i choć tkwił w niej czarny wyrzut sumienia, jak trucizna, którą wlał do ucha śpiącego brata (a którą jego małżowina, ośrodek wszechświata, zdawała się pić łączywie, jak gdyby chcąc wyssać z nieba nawet zenit), to styczniowe słońce, zalewające wielką salę, przegnało wszystkie upiory. Płomienie ognia w dwóch wielkich, łukowato sklepionych paleniskach bładły w promieniach słońca, wpadającego do wnętrza przez szereg wysokich, nieosłoniętych i pozbawionych poprzeczek okien. Niebo na zewnątrz jaśniało niezmaconym błękitem nowego roku, czystsze nawet nad sumienie świętego. Koło niebios odsłania całą prawdę, pomyślał Klaudiusz.

Minęły dwa miesiące od śmierci jego brata i jeden miesiąc od chwili, gdy w zuchwałym pośpiechu poślubił wdowę po królu Hamlecie. Pierwsze słowa, jakie zamierzał wygłosić wobec dworzan, miały dotyczyć obu tych niefortunnych zbiegów okoliczności. Klaudiusz chciał odmalować wypadki szczerze, lecz taktownie, po czym odesłać je w historyczną przeszłość, by odgrywały rolę budulca fundamentów, na których miała wspierać się odtąd jego władza. Przypomni doradcom, że działał za ich zgodą - przyzna, że kiedy decydował się zawrzeć małżeństwo tak szybko, jego rozsądek zmagiał się wprawdzie z naturą, lecz mimo wszystko on, Klaudiusz, pozostał przy życiu, i musiał myśleć zarówno o sobie, jak i, choć z najpoważniejszym smutkiem, o swoim zmarłym bracie. Życie rozpięte jest właśnie między takimi przeciwieństwami.

Ten wstęp, sformułowany z uroczystą i zręczną równowagą, rozbrzmiewający pogrzebową pieśnią w małżeństwie i zestawiający radość z bólem, posłuży jako okup dla Hamleta, który urządzał tymczasem ostentacyjne przedstawienia, obnosząc się ze swoim żałobnym strojem. Wiele osób słyszało też przypadkiem westchnienia księcia i rzucane na stronie uwagi w wątpliwym guście; Hamlet dawał w ten sposób do zrozumienia, że jest oburzony zachowaniem matki, która tak skwapliwie uległa umizgom jego stryja. Patrząc na sprawę chłodno, Klaudiusz dostrzegał, że między nim a bratankiem (a teraz także pasierbem) może pojawić się lodowata wrogość, ale tymczasem wszystkie jego wysiłki zmierzały do pojednania, jak gdyby starał się pogodzić z nadąsanym dzieckiem, nie bacząc na wynikające z niedojrzałości księcia dotkliwe zniewagi i szeroko otwierając ramiona w geście ojcowskiej wyrozumiałości dla Hamleta,

Klaudiusz zamierzał też przypomnieć słuchaczom, że Gertruda nie jest królową z przypadku, z tronem duńskim łączy ją, bowiem ściśle więzy krwi, można ją zatem uważać wręcz za „monarszą kojarzycielkę” - bo takie brzemiennie w znaczenia określenie nie uszłoby uwagi nikogo, kto mniemał, że prawo Klaudiusza do tronu pozostaje wątpliwe, a jego wybór na króla niewczesny, z uwagi na gorliwy pośpiech, z jakim się dokonał. Również osobę Poloniusza powinien Klaudiusz wyraźnie wprowadzić w krąg królewskiej władzy, dla której szambelan miałby być tym, czym jest serce dla głowy albo ręka dla ust, jako, że pełnił taką samą funkcję u boku obu czcigodnych poprzedników obecnego króla.

Przebiegły stary dworak, gadatliwy i kapryśny, musi otrzymać publiczne zapewnienie, że jego usługi wciąż pozostają w cenie, podobnie jak milczenie w kwestii spisku, w którym uczestniczył, co Klaudiusz powinien jednoznacznie dać mu do zrozumienia. Królowi przysłała do głowy nieprzyjemna myśl, że jeśli Poloniusz miałby kiedyś zostać usunięty ze służby, to tylko w bezgłośny grób, nie zaś do poczekalni, jak przytulne siedlisko nad Gurre So, gdzie szambelana mogłaby ogarnąć pokusa, by powrócić do władzy, sprzedając swe tajemnice. Albowiem morderstwo i uzurpacja to, niestety, kwasy tak potężne, że nieustannie grożą rozpuszczeniem beczki, która je przechowuje.

W obecnej chwili należy jednak napełnić otuchą dwór, państwo oraz poddanych, otaczając ich coraz troskliwszą opieką. Choć Klaudiusz krzepko dzierżył berło w dłoni, wśród ludu dominowała atmosfera niepewności. Rozpoczęły się przygotowania do wojny obronnej, do której zmuszał Danię ten arogancki szczeniak, Fortynbras, chełpliwie pragnący stać się ucieleśnieniem wojowniczego ducha swego ojca, i nawet w dzień szabatu wszędzie rozlegał się ostatnio odgłos kutych halabard i dudnienie młotów, którymi szkutnicy zbijali łodzie bojowe. Nastroje balansowały na granicy fantazji - jedna z plotek głosiła, że strażnicy

pełniący nocną wartę na zamkowych murach, widują od pewnego czasu zjawę w pełnej zbroi. Lecz tego ranka król załagodzi powszechnie niepokoje jasnymi i dźwięcznymi zgłoskami, powołując misję dyplomatyczną: Korneliusz i Woltemand zostaną bowiem wysłani z dokumentem, którego każdy punkt nosi znamię stanowczego namysłu, pojedą zaś do brata zamordowanego Kolla i stryja młodego Fortynbrasa, Norwega, schorowanego wspomnienia epoki herosów, złożonego niemocą i zniedołężniałego, obdarzonego jednak królewską władzą stanowienia zakazów. Pismo Klaudiusza zawierać będzie szczegółowe informacje o tym, że bratanek Norwega z własnej inicjatywy, wykorzystując podatki i majątek, który nie do niego należy, lecz do Norwega właśnie; planuje dokonać nierozważnego, zuchwałego najazdu na Danię. On, Klaudiusz, wie z własnego doświadczenia, że w dzisiejszej dobie nikt nie zechce ryzykować rebelii ani wśród własnych wielmożów, ani wśród ludu, skutkują one bowiem krwawym awanturnictwem dla krótkotrwałych zysków, a wyprawy krzyżowe i ich ostateczne niepowodzenie odebrały wojnom heroiczny charakter. Stary Norweg, zgrzybiały, dotknięty podagrą młodszy brat Kolla, utemperuje, więc ognistego krewniaka, a Dania wzbogaci się dzięki pokojowi, który zapewnia jej przebiegły i roztropny monarcha.

Tymczasem, w oczekiwaniu tych dyplomatycznych triumfów (i chwili, kiedy zagrają mu wszystkie żebra w piersi, a jego głos rozbrzmi nawet w najdalszych zakamarkach wielkiej sali), Klaudiusz ścisnął sprężyste ramię królowej pod osłoną ich powłóczyстых szat, sunęli bowiem teraz razem dostojnie, rozdając łaskawe uśmiechy i skinienia, pośród barwnych szeregów podległych im mieszkańców Elsynoru. Był między nimi Hamlet. Miał kwaśną minę i wyglądał na niewyspanego, a obok rudej brody jego twarz zdobił także trójgromny, aksamitny kapelusz, który książę zdjął z szerokim, ironicznym gestem, kiedy mijali go Klaudiusz i Gertruda. Król zastanawiał się, co było powodem bezsenności księcia, która pokryła jego oblicze wyraźną bladością - czyżby aż po pierwszy brzask spędził noc z Ofelią, hańbiąc swoje ciało? Ofelia nie przyszła - pozostała w łożu, niczym ladacznica w nowicjacie. Młody Laertes, który w przeciwieństwie do Hamleta sprawiał wrażenie zdrowego i wypoczętego, przyodziany w obcisły, spiczasty paryski kapelusz, dobrany do kształtu zarostu młodzieńca, i wytworny, opięty kubrak, sięgający powyżej klapy pludrów, okrywającej genitalia, stał wyprostowany u boku swojego pokurczonego ojca. Uprzedzono króla, że obaj mają wnieść do niego jakąś niewinną prośbę. Choć Poloniusz zdjął stożkowaty kapelusz i skłonił się nisko, odsłaniając łysiejącą głowę i przerzedzone włosy czarnoksiężnika, Klaudiusz zauważył uciekające, rozbiegane, połyskliwe oczy starca. Szambelan mrugnął do króla...Czy to możliwe, czy może raczej było to chwilowe złudzenie, wywołane grą pyłków w promieniach słonecznych? Tak czy inaczej, Poloniusz pozostawił po sobie niemiłe wrażenie i

Klaudiusz, który skinął mu oględnie głową w odpowiedzi, zakarbował w pamięci, że nie powinien zwlekać z odprawieniem szambelana ze służby.

To wspaniałe, że królewskie szaty, ciężkie gronostajowym futrem, którym są obszyte, niosą ze sobą również i duchową inwestyturę, nadającą każdej najdrobniejszej nawet czynności wielką wagę, jak gdyby jeden palec władcy, poruszający się po łuku następstw, posiadał moc miecza. Jako król, w którego pulsującym sercu zbiegał się naród, a także wyrazy czci i nadzieje poddanych, wymierzone w jego osobę niczym strzały z odległych prowincji Thy, Fyn, Món i Skanii, Klaudiusz poczuł się wreszcie prawdziwym człowiekiem, realizującym swoje możliwości, którego każdą myśl i każdą czynność umacniała teraz wieczna doniosłość. Lecz nagle król zaznał czarnych katuszy wyrzutów sumienia, tu, w obecności wszystkich zgromadzonych, a także pod wejrzeniem wielkich i niewidzialnych oczu, które przypatrywały mu się z nieba przez pozbawione krzyżowych poprzeczek okna. Popełnił ohydny zbrodnię, obciążoną kardynalną i odwieczną klątwą. Czemu jednak służyć miała laska, jeśli nie konfrontacji z obliczem występku? Było jeszcze dość czasu, aby wyrównać rachunki modłami i pokutą. Po tym, czego dokonał, i to wydawało mu się możliwe - uzyskanie wstawiennictwa Kościoła było wszak równie łatwe, jak zdobycie chleba powszedniego, i tylko niewiele kosztowniejsze.

Gdy król i królowa, zespoleni w dostojnym tańcu, pokonali trzy stopnie, wiodące na podwyższenie, gdzie stały monarsze trony, wspomnienie chleba przywiodło Klaudiuszowi na myśl okrągłą komnatę w wynajętym domu, wspólne posiłki pod gołym niebem, przeradzające się czasem w ucztę lubieżności, i ów dżdżysty dzień, kiedy krople deszczu bębniły w świeże listowie, postukując bezładnie o dachówki i wzbijając zieloną mgłę za wąskim, ostro sklepionym okienkiem, Gertruda zaś, zamiast go wtedy porzucić, jak wcześniej postanowiła, zsunęła w końcu z ramion jedwabną suknię, którą jej podarował, i ukazała mu się tak, jak ją stworzył Pan Bóg i jak będzie wyglądać w dniu zmartwychwstania, kiedy powstanie z grobu, tego zaś dnia Pan rozdzielać będzie przebaczenie równie hojną ręką, jak bochny chleba i ryby.

Klaudiusz gorączkowo gładził milczące ciało Gertrudy, które należało do niego, żyło i które wyczuwał teraz obok siebie. Rzucił jej spojrzenie - zauważyła, niepewna, czy może się uśmiechnąć w tej właśnie chwili, w kulminacyjnym momencie ceremonii, lecz mimo wszystko obdarowała go krótkim uśmiechem. Za każdym razem gdy Klaudiusz widział królową - jej szarozielone oczy, poważne jak wody Sundu, jej ujmująco wdzięczną, maleńką szczelinę między przednimi zębami, różaną cerę dziecka, podekscytowanego nadzieją i zabawą, jej miedziane włosy, niesforne nawet pod ciężarem złotej korony - za każdym razem

rozumiał wtedy, co jest, najzwyczajniej w świecie, rzeczywiste, co zaś stanowi jedynie czcze przedstawienie, ludzace jak spektakle wędrownych aktorów.

Królewska para zasiadła na tronach, które, choć pozłacane, nie oparły się pleśni, wgrzyzionej w prastare poręcze z dębowego i jesionowego drewna. Powiadano, że zawierają drzazgi z krzyża Chrystusowego i pierwotnego, boskiego drzewa, zwanego Yggdrasil. Klaudiusz przemówił donośnie, by wszyscy mogli go słyszeć. Uważał potem, że mowa się udała. Rozdawał wyrazy ubolewania i pochlebstwa ze spokojnym wdziękiem, objaśnił klarownie, jaką intrygę obmyślił, i dźwięcznie zarysował, jak zamierza zareagować na zagrożenie ze strony Fortynbrasa. Laertes, spełniwszy swój obowiązek, stawiając się na koronacji Klaudiusza, poprosił go o pozwolenie wyjazdu do Paryża, na co oczywiście król wyraził zgodę, obsypując przy tym Poloniusza pochlebstwami, w których jedynie zadufany w sobie stary dworak nie umiał dostrzec ironicznej przesady.

Później, kiedy Klaudiusz zapytał Hamleta o zdrowie, ten zaś odburknął pod nosem kilka dwuznacznych słów, Gertruda zdumiała króla, stanęła, bowiem po jego stronie i jąta prosić księcia, by przestał szukać ojca, który spoczywa w mogile.

- Wszystko, co żyje, musi kiedyś umrzeć w naturalnej drodze, wiodącej ku wieczności - powiedziała łagodnie. Jedną z wcale nie najbliższych przyczyn, dla których król pokochał Gertrudę, był jej kobiecy realizm; dzięki niemu potrafiła trzeźwo przejrzeć na wylot męskie niepokoje i złudzenia.

A kiedy chłopak (Chłopak!... Ukończył trzydzieści lat!) dał zgrabnie do zrozumienia w przytomności całego dworu, że to jedynie on oplakuje prawdziwie króla Hamleta, Klaudiusz wziął resztę na siebie i dalej prawił księciu o sprawach oczywistych: że ludzie umierają, że każdy ojciec traci kiedyś ojca i że mężczyźni nie przystoi trwać w bezbożnej, bo bezustannej żałobie.

- Potraktuj nas jak ojca - polecił Klaudiusz. - Jesteś wszak najbliżej naszego tronu - przypomniał Hamletowi. Potem przedstawił mu w szczegółach swoją miłość do niego, lecz kiedy przemawiał okrągłymi, gładko płynącymi jeden po drugim jambami, przeszkodził mu wrzask, który podniosły, jak odgadł Klaudiusz, szpaki, obdarzone przenikliwymi głosami niż gawrony. Ptaki tłukły się o szyby błękitnych okien w górze sali, wyczuwały, bowiem wiosnę w środku zimy i zaniepokojone zleciały się na rozgrzany słońcem dach, pokryty rozpadającym się łupkiem.

Niektórzy z obecnych wzniesli wzrok ku górze, albowiem rozgrywający się przed nimi dramat trwał chyba już nieco za długo. W górze przepełniony dzień, rzucając romby słońca na różnobarwne ornamenty oraz szeroką dębową boazerię, steraną i pokaleczoną. W

minionych czasach znudzeni rycerze wjeżdżali z łoskotem konno na kamienne schody i urządzali turnieje w sali, w której płowały i butwiały zdobyczne chorągwie. Klaudiusz zakończył rozmowę z Hamletem, oświadczając otwarcie - choć inni ludzie od lat zachowywali w tej materii powściągliwość - że nie życzy sobie, by księżę powrócił znów do Wittenbergi.

- Byłby to bez wątpienia postępek wbrew naszej woli. - Przez chwilę Klaudiusz napawał się władcym tonem swoich słów, ale złagodził je, prosząc niewzruszonego bratanka, żeby się jednak ugiął i pozostał z nimi w Elsynorze. - Będziesz radością i pociechą naszych oczu, najważniejszym z dworzan, naszym bratankiem i synem.

Gertruda odegrała swoją rolę, dodając:

- Nie pozwól, Hamlecie, by modły twojej matki poszły na marne. Błagam cię, zostań z nami. Nie jedź do Wittenbergi.

Uwięziony pomiędzy bliźniaczymi deklaracjami miłości, księżę z nachmurzonym czołem uważnie przypatrywał się promieniejącym kagankom twarzy tych dwojga podstarzałych ludzi - nienawistnych, świetlistych dostojników, utuczonych zadowoleniem, zdrowiem i nieustającym apetytem. Hamlet obiecał, żeby odsunąć od siebie przeciągłe spojrzenia królewskiej pary, wyrażające ich połączone prośby:

- Będę wam posłuszny, jak tylko umiem najlepiej.

- Doprawdy, oto pełna miłości i słuszna odpowiedź! - zawołał Klaudiusz, uradowany tym gwałtownym ustępstwem. A więc mają go. Już należy do nich. Królewska wyobraźnia wybiegła naprzód, ku wspólnym audiencjom, na których udziela przybranemu synowi rozmaitych wskazówek i wdaje się z nim w ożywioną szermierkę słowną, jako, że na zamku jedynie księżę dorównuje mu przecież inteligencją. Klaudiusz pomyślał jeszcze, że zaufanie, jakie okaże Hamletowi w tej rodzinnej relacji, zaskarbi mu także serce matki chłopaka, która odnalazła znów uczucie dla syna.

Nastała era Klaudiusza, która złotymi zgłoskami zapisze się w duńskich annałach. Jeśli nie będzie za często oddawał się hulankom, utrzyma tron, co najmniej przez dziesięć lat. Hamlet miałby wówczas lat czterdzieści, byłby, więc w najbardziej odpowiednim wieku, żeby przejąć koronę. On i Ofelia powiodą za sobą sznur królewskich dziedziców niczym małe kaczątko, a Gertruda, świętobliwa, posiwiała wdowa po Klaudiuszu, zapisze się łaskawie w ludzkiej pamięci. Uradowany takimi przewidywaniami król, który powstał już do wyjścia, oznajmił gromko, że dobroduszna i niewymuszona zgoda Hamleta wielce ucieszyła jego serce, toteż każdy toast, jaki wzniesie dziś on, Klaudiusz, oznajmi chmurom salwa z potężnych armat. Królowa stanęła po chwili u jego boku, promieniejąc w różanej

wspaniałości swego ciała, a jej pożądlive, piegowate oblicze jaśniało dumą, którą napełnił Gertrudę występ Klaudiusza. Król ujął ją za poddającą się posłusznie rękę, twardo dzierżąc w drugiej dłoni berło. Udało mu się. Wszystko będzie dobrze.

Posłowie

Po opisanych wydarzeniach rozpoczyna się, oczywiście, akcja dramatu Szekspira. Czterogodzinnej filmowej wersji „Hamleta” w reżyserii Kennetha Branagha zawdzięczam odświeżenie własnej wizji sztuki i niektórych jej zakulisowych postaci, jak Jorik i król Hamlet. Aluzję do wojaczki Klaudiusza w cudzoziemskiej służbie można znaleźć w siódmej scenie czwartego aktu „Hamleta” (wersy 83-84) a o jego umiejętnościach uwodziciela wspomina Duch w scenie piątej aktu pierwszego (wersy - 43-45). Dzieło Salvadora de Madariagi „On Hamlet” (1948, wyd. poprawione 1964) wymienia wiele niedbałych niespójności w sztuce - jak na przykład ewidentną przezroczyistość Horacego, trwającą do chwili, gdy wreszcie pozdrawia go Hamlet (akt II, scena 2, wers 160), choć Horacy bawi w Elsynorze już od dwóch miesięcy, albo dziwy klimatu, co w ciągu czterech miesięcy przechodzi od „drzemki w sadzie” do „przejmującego zimna” na blankach zamku i obejmuje następnie nawet majowe i czerwcowe kwiaty, które zbiera Ofelia. Ponadto Madariaga zwraca uwagę na nieprzenikniony egotyzm Hamleta, przeprowadzając analogię pomiędzy pogardą księcia dla jego rozmówców i pogardą, jaką żywił Szekspir dla swojej publiczności. Książka Williama Kerrigana natomiast, „Hamlet’s Perfection” (1994), bezwyjątkowo pozytywny i entuzjastyczny komentarz do „Hamleta”, zawiera takie oto pamiętne streszczenie interpretacji G. Wilsona Knighta, pomieszczonej w „The Wheel of Fire: Interpretations of Shakespearean Tragedy” (1930, wyd. poprawione 1949): „Jeżeli nie liczyć jednego skrytobójstwa, Klaudiusz wydaje się zdolnym władcą, Gertruda szlachetną królową, Ofelia skarbem słodczy, Poloniusz nudziarzem, ale nie podłym doradcą, Laertes zaś młodzieńczym wzorem cnót. Hamlet wtrąca ich wszystkich w objęcia śmierci”.